Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 29 (1282) ROK XXV 22 PAŹDZIERNIKA 1982 ROKU CENA 20 ZŁ

- Szkice o ojcu Kolbe i Karolu Szymanowskim
- Warzywa umoczone w reformę
- Dwugłos o „Dolinie Issy"
- Fantastyka, Kolumna Ajencyjna, felietony

MÓJ DZIENNIK OKRĘTOWY 1

Na statku marynarze...

ADAM OCHOCKI

Po ogłoszeniu stanu wojennego zrodził się u nas dowcip.

— Słyszeliście? Już niedługo mają wydawać zezwolenia na indywidualne wyjazdy za granicę...

— ???

— ...ale pod dwoma warunkami. Ubiegać się o nie mogą tylko emeryci w sędziwym wieku i każdy musi przedstawić zgodę na piśmie obydwojga rodziców...

Nie zdążył ten kawał obiec wszystkich kawiarni, a ja już miałem w kieszeni turystyczne paszporty dla siebie i żony. I to bez żadnej protekcji. Emerytem wprawdzie jestem, jednakże do wieku podeszłego nieco mi brakuje, a żonię o kilkanaście lat więcej. Ale bez zgody na piśmie nie obeszło się. Wyraziły ją... Polskie Linie Oceaniczne w Szczecinie. Możemy się zaokrętować, jak sobie tego życzyliśmy, na jeden z frachtowców płynących w połączonym rejsie do Rotterdamu i Antwerpii. Kabina zarezerwowana, papu zapewnione na dziesięć dni podróży i postoju statku w portach. Pięć, sześć dób pływania, reszta na zwiedzanie.

No to byczo! Nie tak bardzo znowu... Jesienią sztormy często dają znać o sobie, a płynące tą trasą statki handlowe to łupinki, z którymi niesamowite harce potrafi wyprawiać nie tylko Morze Północne, ale i nasz poczciwy Bałtyk. Wszystko wtedy się wali dokoła, wiszące mapy przybierają pozycję równoległą do podłogi, zupę trzeba pić z kubków, bo talerza nie można utrzymać w ręku. Że nie wspomnę o innych konsekwencjach takiej huśtawki. Gdy przed laty masowcem „Kujawy" płynęliśmy do portów Afryki, żona dostała na Biskajach takiego lupnia, że do dziś, kiedy ogląda na ekranie kołyszący się wśród fal statek, ogarniają ją mdłości.

Mimo to zapaliłem się do tej rajzy. Przedzierzgnę się z szczura lądowego w marynarza z prawdziwego zdarzenia. O żadnej wachcie, zarzucaniu cumów, staniu „na oku", oczywiście nie ma mowy. Poprowadzę dziennik okrętowy. Dzień po dniu będę spisywał swoje wrażenia. Skoczyłem jeszcze do apteki po „Aviomarine" w czopkach. Gdy zacznie kiwać, włożę ją gdzie trzeba i polecę duszę Bogu.

PIERWSZY DZIEŃ, PIĄTEK, 17 WRZEŚNIA

Sympatyczna pani Elżbieta Hoczaj Waga z działu pasażerskiego PLO ma dla nas nieprzyjemną nowinę: m/s „Swieradów Zdrój", który weźmie nas na pokład, zawinie tylko do Rotterdamu. Za to wypad nie po osiemset złotych taniej od łebka.

Furgonetka PLO dowozi nas do Urzędu Celnego w obrębie zamkniętego terenu portu. Jest nas sześcioro: dwie samotne panie, małżeństwo z Warszawy, no i my. Frachtowce tego typu co nasz mają tylko po trzy 2-osobowe kabiny.

— Co państwo wywożą?

— Dewizy — pokazuję zaświadczenie z banku — rzeczy osobiste i kryształik z „Pewexu" w upominku dla znajomych. Chcę otworzyć walizę.

— Nie trzeba — celniczka powstrzymuje mnie uprzejmym gestem. — To wszystko. A państwo?

Odprawa pasażerów nie trwa dłużej niż dziesięć minut. Zadowoleni z tak bezbolesnej operacji podjeżdżamy furgonetką na Nabrzeże Węgierskie, gdzie stoi zacumowany „Świeradów Zdrój".

Jesteśmy zmęczeni całonocną podróżą, zrzucamy w kabinie ubranie i myjemy się nad umywalką. Pukanie do drzwi. Wchodzi para: pani i pan w zielonych mundurach.

— Państwo pozwolą, grupa operacyjna — przedstawia się pan i wszczyna ze mną rozmowę, a jego towarzyszka zajmuje się żoną.

Gościa zainteresowała leżąca na kanapce teczka tekturowa, w której przechowuję wszystkie dokumenty.

— A to co? — wyjmuje papierowego rubla z 1898 r.

— Mój talizman. To jakby kawałek sznura z wisielca. Podpisany na banknocie kasjer, nazwiskiem Brutus, zdefraudował ileś tam tysięcy rubli i powiesił się. Jako numizmat banknot nie przedstawia żadnej wartości.

— Mam nadzieję, że nie rozstanie się pan za granicą ze swym talizmanem. Czy wywozi pan jakieś dzieło sztuki?

— Tak — wskazuję skromnie leżący obok pierwszy tomik mego „Reportera przed konfesjonałem".

— Uważa to pan za sztukę? — nasz gość jest wyraźnie ubawiony.

— Jeśli to nie sztuka, proszę spróbować samemu coś takiego napisać.

Dalsza rozmowa toczy się już w towarzyskiej atmosferze. Na pożegnanie gość pyta:

— Nie macie nam państwo za złe tej wizyty?

— Przeciwnie. Im częściej i skrupulatniej będziecie to robić, tym mniej prawdziwych dzieł sztuki wywędruje za granicę, a do kraju nie przedostanie się nic, co by nam mogło zaszkodzić.

Południe. Steward zaprasza do messy na obiad. Jedzenie doskonałe. Pochłaniam dwa talerze zupy. Steward komunikuje godziny posiłków. Śniadanie w porcie i w morzu od 7.30 do 8, obiad w porcie 12—13, w morzu 11.30—12.30, podwieczorek od 15 do 15.30, kolacja w porcie 17—17.30, w morzu 17.30—18. A jeśli ktoś z państwa chce się dokarmić, proszę bardzo, lodówka w messie do dyspozycji, czym chata bogata...

Doprowadzamy do porządku kabinę i siebie. Wychodzę na pokład. Ruch w porcie niewielki. Nie ma owej krzątaniny, jaką oglądałem w ubiegłych latach. Ale marynarze mówią, że już się ruszyło i idzie ku lepszemu.

Podwieczorek. Kolacja. Godzina 19.40. Załadunek skończony. Zabieramy do Rotterdamu cynk, pakuły lniane i płyty stolarskie.

Odcumowujemy. Płyniemy Kanałem Grabowskim, Odrą do Zalewu Szczecińskiego, Kanałem Piastowskim, Kanałem Mielińskim. Zostawiamy za sobą Świnoujście i o 23.15 statek wchodzi na Bałtyk. A ja na moją koję i już po chwili zapadam w głęboki sen.

SOBOTA, 18 WRZEŚNIA DRUGI DZIEŃ,

O czwartej rano budzi mnie buczenie syreny okrętowej. Wyglądam przez bulaj. Gęsta mgła, na krok nic nie widać. Buu.. Bu.. Bu... Dla radaru to żadna przeszkoda, przy każdej pogodzie wykryje wszelkie obiekty w znacznym promieniu, ale może w pobliżu płynie jakaś zbłąkana żaglówka? Syrena raz po raz śle sygnały ostrzegawcze. Rezygnuję ze snu. Po śniadaniu wchodzę na mostek nawigacyjny. Przedstawiam się kapitanowi, Leszkowi Plewińskiemu, którego mleko na morzu ściągnęło z koi.

— Chętnie z panem porozmawiam, ale później, jak się pogoda poprawi. Widzialność zaledwie 200 m, nie mogę odejść na krok. Ile leży? — kapitan zwraca się do marynarza przy sterze, Kazimierza Jarzmika.

— Dwieście dziewięćdziesiąt pięć!

— Tak trzymać!

Zapisuję jeszcze nazwisko Lecha Miłkowskiego, „trójki", czyli trzeciego oficera, pełniącego normalną wachtę. Spoglądam na strzałkę radaru, obracającą się dokoła podświetlonego ekranika — i zewnętrznym tra-

MARCIN WOLSKI

Emigrantom

Choć Kanada się słodko uśmiecha,
Australia mirażem kusi,
nie możemy wszyscy wyjechać
— ktoś w tym kraju pozostać musi.

Na tej ziemi fars i tragedii,
co tak trudna jest do kochania,
coś winniśmy tym co polegli
w naszych zrywach, wzlotach, powstaniach.

Jeśli ojce nie żyli na darmo,
nie frajersko walczyli o mowę,
czy nam wolno swych mózgów karmą
paść beztrosko potęgi światowe?

Za wygodę, za pokój z wanną,
pełne sklepy i piękne niebo
za banany, za mięso, za szampon,
rodzić dzieci Niemcom i Szwedom?

Na angielski przełożą wam pacierz
a wspomnienia się same uproszczą
— trudno przecież żyć w rezerwacie
by wyginąć z indiańską godnością.

Tutaj chude brzózki i piachy
i mieszkanie za lat dwadzieścia,
złe prognozy, ponure strachy,
ot, po prostu same nieszczęścia.

Ileż łatwiej jest patrzeć z daleka
gdy się pójdzie z owczą gromadą
a jeżeli ktoś na to czeka
kiedy wszyscy już stąd wyjadą?

Może ktoś już zaciera łapki,
kiedy innym serce się kraje —:
„Załatwili się sami Polacy..."
Więc, gdy o mnie idzie — zostaję!

Finałowy wiersz — piosenka z programu „No to cyrk" zrealizowanego przez Łódzkie Stowarzyszenie Twórców Kultury.

JERZY KWIECIŃSKI

Starzy i młodzi

Kiedy byłem młody, irytowały mnie w najwyższym stopniu wypowiedzi dorosłych na temat młodzieży. Miałem jednakowo dosyć utyskiwań na „dzisiejszą młodzież" lub, dla odmiany, pokrzepiających zapewnień w rodzaju „wy, młodzi, przyszłością narodu", a jako najgorsi wychowawcy zapisali się w mojej pamięci ci, co nieustannie oświadczali, iż szalenie kochają młodzież.

Gdybym wierzył temu, co mi wmawiano, musiałbym uznać, że albo każde następne pokolenie od pradziejów ludzkości, a już na pewno od Piasta i Rzepichy jest coraz gorsze, albo, że dorosłym tylko tak się wydaje, ale niepokoją się, iż przyszłość narodu będzie w naszych rękach mniej świetlana, niż rzeczywistość, którą sami stworzyli. Ale przecież dorośli zwykle nie brali tego pod uwagę, iż ich następcy, zanim przejmą od nich ster życia, upodobnią się do swoich poprzedników (może nawet za bardzo). My znów młodzi, wierzyliśmy zawsze, że się nigdy psychicznie i moralnie nie zestarzejemy i już dzięki temu będziemy od „starych" lepsi.

Nie mam pojęcia, jaka jest dzisiejsza polska młodzież, ale błąd chyba w tym, że usiłujemy zwykle porównywać młodzież danego okresu z pokoleniem dorosłych, z którym ona współistnieje i od którego musi się przecież różnić cechami właściwymi młodemu wiekowi, a tymczasem młodzież jest porównywalna w pełnym zakresie jedynie z młodzieżą generacji poprzedniej, która minęła.

Jestem zresztą przekonany, że z reguły, która ma uza-

TAK SĄDZĘ

1. Nie lubię jubileuszy, ale... 2. Umieć przewidzieć skutki

1. Nie lubię jubileuszy, choć wiem, że są konieczne. Ludzie przecież muszą mieć satysfakcję ze swojej pracy, musi się liczyć tradycja, bo nie możemy ciągle wszystkiego zaczynać od nowa. W naszym dzisiejszym działaniu musimy przecież nawiązywać do przeszłości, choćbyśmy ją nawet krytycznie oceniali. Odnoszę wszakże wrażenie, że namnożyliśmy różnych świąt i dni i teraz, kiedy przede wszystkim powinna się liczyć praca i jej konkretne, wymierne wyniki, nie bardzo wiemy, co z tym zrobić. Obchodzimy więc skromnie — bo takie są wymagania czasów kryzysu — jakby chyłkiem różne dni i święta, które kiedyś miały być formą społecznego uznania dla ludzi różnych zawodów, a dziś trochę nam ciążą. Ale skoro już zostały ustanowione, to trzeba poddać się świeżo ustanowionej tradycji. Być może z czasem i tę sferę naszego życia społecznego uporządkujemy.

Mimo mojej niechęci do jubileuszy wybrałem się do Konstantynowa Łódzkiego, gdzie 50-lecie pracy na Przedmieściu obchodziła Szkoła Podstawowa nr 2. Skromny był to jubileusz, ale jakże wzruszający i potrzebny. Wzruszający dlatego, że zeszli się i zjechali ludzie, którzy tu kiedyś pracowali, aby wspomnieć czas i wysiłek tu pozostawiony. Wielu z nich już na emeryturze. Niektórzy odeszli z tej szkoły do innej pracy, albo wyjechali daleko od Konstantynowa i Łodzi. Przyjechali też jej absolwenci, dziś niekiedy utytułowani naukowymi dyplomami. Przyjechali, bo w tej szkole panowała zawsze atmosfera serdeczności, koleżeństwa i przyjaźni. A że tak jest niech świadczy fakt, że choć szkoła pracuje w bardzo trudnych warunkach, choć niektórzy dojeżdżają aż z Łodzi, a mimo wielu propozycji wolą właśnie w tej szkole pracować i pracują w niej po 20, 15 lat.

Był to jubileusz potrzebny, gdyż unaocznił młodzieży tradycję tej szkoły. Być może pozwolił młodym zrozumieć, że są ludzie, którzy swoją pracę kochają, są do niej przywiązani i że to właśnie oni tworzyli tradycję tej szkoły. Widomym tego przykładem była owacyjnie przyjęta dekoracja Mariana Paśnickiego Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (dopiero teraz?!), człowieka od wielu już lat na emeryturze, a przecież w szkole znanego i nadal — mimo że emeryt — cieszącego się wielkim szacunkiem, uznaniem i autorytetem. „Był surowy, ale lubiany" — mówili o nim jego uczniowie, a dziś ich dzieci i wnukowie patrzą na niego z podziwem i ciekawością.

U nas wiele uwagi przywiązuje się do tradycji uznanych szkół średnich. Szkoła Podstawowa nr 2 w Konstantynowie dowiodła, że trzeba też wiele uwagi przywiązywać do tradycji i tego typu szkół. Tu przecież daje się podstawy wiedzy, zaczątki wychowania. I to się powinno liczyć.

2. Nowe związki zawodowe rodzą się w bólach. I nikt chyba rozsądny nie przypuszczał, że będzie inaczej. Mam tu na myśli nie tylko zajścia uliczne, jakie miały miejsce w Gdańsku czy Krakowie. W Krakowie zginął człowiek, co powiększa jeszcze tragiczny wymiar tych zajść. Myślę jednak o bólach i zmaganiach, jakie mają miejsce w zakładach pracy, gdzie jest właściwa płaszczyzna do odbudowy ruchu związkowego. Nie jest nią przecież i być nie może ulica.

Nikt rozsądny, nikt, kto stara się myśleć realistycznie, kto rozumie złożoność naszych czasów, nie będzie przecież przekonywał o zbyteczności związków zawodowych w naszych społeczno-gospodarczych strukturach. Bez udziału związków zawodowych nie rozwiąże się wielu spraw, nie można skutecznie bronić interesów ludzi pracy. O co więc toczy się walka? O kształt, funkcje i charakter nowych związków zawodowych. O to, czy potrafimy nie powtórzyć błędów sprzed sierpnia 1980 roku i błędów sprzed grudnia 1981 roku. O to również, czy do odbudowy ruchu związkowego wezmą się ludzie mający powszechne zaufanie, szacunek i uznanie, których postępowanie będzie gwarantować niezależność i samorządność przyszłego ruchu związkowego. I to jest sprawa najtrudniejsza.

Gdyby nam nie przyszło żyć i działać w kryzysie zaufania sprawa byłaby znacznie prostsza. Ale tak przecież nie jest. Tworzy się ten ruch w atmosferze nieufności, rozczarowań, zawiedzionych nadziei i niewygasłych emocji. A jest on — jakbyśmy na to nie patrzyli — częścią procesu budowania porozumienia ludzi o różnych orientacjach i światopoglądach. Jest płaszczyzną, na której hasła o potrzebie porozumienia będą z dobrych intencji i pragnień przeobrażały się w konkretne postanowienia, nabierały realnego kształtu. I o tym nie można zapomnieć, jak również i o tym, że ruch ten będzie musiał znaleźć swoje miejsce w procesie kształtowania się socjalistycznego społeczeństwa. To wszystko musi decydować o jego charakterze.

Wiem, jak bardzo różnie przyjęto grupy, które wystąpiły z inicjatywą odrodzenia ruchu związkowego. Wiem, że nie do wszystkich, którzy się w tych grupach znaleźli wszyscy mają i mieli jednakowe zaufanie. To bardzo ważne, aby ludzie, którzy podejmują się odbudowy ruchu związkowego umieli z tego wyciągnąć właściwe wnioski. Musimy bowiem uczyć się trudnej sztuki porozumiewania, która zakłada między innymi również i umiejętność realnej oceny warunków działania i umiejętność przewidywania skutków tej działalności. Wiem, że to nie jest proste. Ale uczyć się tego trzeba, choćby w myśl porzekadła, że na naukę nigdy nie jest za późno.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Przegląd prasy

NIE ZE WZGLĘDU NA STAN ZDROWIA

ale ze względu na przekonanie *„o osobistej współodpowiedzialności za ujawnione zaniedbania"* Edmund Heza — I sekretarz KW PZPR w Toruniu poprosił o uwzględnienie jego rezygnacji z tej funkcji. Komitet Wojewódzki PZPR w Toruniu przyjął tę rezygnację oraz wybrał I. sekretarzem Zenona Dramińskiego. Ale obrady tego plenarnego posiedzenia KW odbyły się bez dyskusji. Dlaczego tak się stało? — odpowiedzi na to pytanie szukał Lech Winiarski, (publicysta „ŻYCIA PARTII" (nr 17 z 13 października 1982 r.).

W Toruńskiem najpierw odbyła się kompleksowa kontrola Inspekcji Sił Zbrojnych, a następnie rekontrola, która ujawniła, że zalecenia pokontrolne nie zostały zrealizowane, że właściwie nic się nie zmieniło w wyniku pierwszej kontroli. A ujawniono szereg różnych zaniedbań, przerost biurokracji, nie liczenie się z potrzebami i interesami ludzi. Po 4 miesiącach od przeprowadzonej kontroli, ujemnych zjawisk nie usunięto. Wyniki tej kontroli — jak pisze Lech Winiarski — nie stały się przedmiotem analizy WRN.

„Dlaczego? Przecież nikt radnym i Radzie takich poczynań nie zakazywał. Przecież stan wojenny nie ograniczył uprawnień organów władzy. (...). Więc może jednak brak własnej inicjatywy? A może „siły przebicia"? Kwestie warte również refleksji nie tylko w skali toruńskiej".

Lech Winiarski interesuje się przede wszystkim tym, czy organizacja partyjna w Toruniu i jej instancje potrafiły dokonać politycznej analizy słabości występujących w pracy organizacji partyjnych i jak potrafiły spożytkować jej wyniki dla doskonalenia swej kierowniczej funkcji. Wnioski z toruńskiego przykładu też powinny mieć charakter ogólniejszy. A wskazują one, że wynikami kontroli wojskowej zajmowały się wyłącznie organa wykonawcze instancji, a członkowie KW tylko *„wysłuchiwali ocen"* dokonywanych przez te organa. Tymczasem autora — i trudno z tym zdaniem się nie zgadzać — *„partia powinna (...) samodzielnie wyciągać wnioski z odsłoniętych przez wojsko słabości — do korygowania własnej działalności"*. Te wnioski z jednej strony powinny służyć do budowania harmonogramów działań doraźnych, jak też — i to jest bardzo istotne — do doskonalenia stylu i metod pracy.

Kilka miesięcy temu

KTT ZAPOWIEDZIAŁ, ŻE NIE BĘDZIE PISYWAŁ FELIETONÓW

i jak do tej pory słowa dotrzymał. Starał się on bowiem — tak uważa — przez wiele lat przekonywać czytelników i — jego zdaniem — bez rezultatów. Ale nie przeszkadza to wcale, że Krzysztof T. Toeplitz od czasu do czasu udziela wywiadu lub sam zabiera głos w obszerniejszym artykule. Widać jednak ma coś do powiedzenia i już nie może wytrzymać, wierząc mimo wszystko, że jego poglądy jednak do kogoś dotrą i ktoś potraktuje je poważnie. Tym razem udzielił wywiadu Kazimierzowi Targoszowi z „PANORAMY" (nr 32 z 10 października 1982 r.). Tytuł wywiadu: „Spór o rację".

W wywiadzie tym padło kilka interesujących stwierdzeń, z którymi — myślę — warto zapoznać Czytelników „Odgłosów".

„... jestem za tym — powiada K. T. Toeplitz — *aby spierając się o różne racje i rozwiązania brać pod uwagę realistyczne uwarunkowania, w jakich się znajdujemy. Niebranie ich pod uwagę prowadzi z jednej strony do niebezpiecznego awanturnictwa politycznego, którego konsekwencje mogą być nieobliczalne zarówno dla Polski, jak i dla świata, z drugiej strony zaś jest źródłem krótkiej pamięci u tych, którzy dzisiaj skłonni są uważać, że wszystko, co przeżyliśmy, już minęło, że możemy o tym zapomnieć i zacząć znów urządzać się po dawnemu. Mówi się, że obecną groźbą jest awanturnictwo, to prawda. Ale moim zdaniem, taką samą groźbą jest owa krótka pamięć. Im więcej objawów krótkiej pamięci obserwujemy obecnie w życiu społecznym, w działaniu aparatu władzy, w propagandzie, tym więcej argumentów zyskuje awanturnictwo. Tych dwóch zjawisk nie da się po prostu od siebie odzielić i oba pogłębiają kryzys zaufania który przeżywamy"*.

K. T. Toeplitz uważa, że najważniejsze jest dziś wyjść z kryzysu gospodarczego, zatrzymać proces degradacji gospodarczej kraju. Jego zdaniem *„najważniejszą i pierwszą wolnością człowieka musi być wolność od niedostatku, od nędzy, od degradujących go pod względem fizycznym i psychicznym warunków życia"* i o tą wolność trzeba usilnie walczyć. A to zależy od naszych wysiłków, od naszej pracy. I dlatego jego zdaniem *„opozycją jest (...) każdy, kto pogłębia proces naszego upadku, kto mu sprzyja, zarówno wychodząc na ulicę, jak i sabotując w jakikolwiek sposób ratowanie naszego bytu ekonomicznego"*.

POWRÓCIŁA „LITERATURA"

ale już jako miesięcznik. Nr 1 jest numerem październikowym i przynosi kilka interesujących pozycji. Na podstawie tego jednego numeru trudno powiedzieć, jak się „LITERATURA" ukształtuje. W numerze oczywiście zwracają uwagę przede wszystkim teksty Jerzego Putramenta, który — jak wiadomo — ostatnio wiele nie publikuje. Tym razem opublikował felieton pt. „Wołomin", spóźniony jednak o kilka miesięcy. Jerzy Putrament przeżywa jeszcze mundialowe emocje. Zresztą — jak sam przyznaje — felieton ten pisany był w czerwcu 1982 roku: *„Piszę to wszystko rankiem 28 czerwca"*. I choć Jerzy Putrament przeżywa jeszbardziej o zjawisko niż tylko o mundialowe emocje, to przecież można było oprzeć ilustracje tego zjawiska na innych przykładach. Awans do poziomu Wołomina nie występował tylko w telewizyjnych sprawozdaniach mundialowych.

Mniejsza zresztą o felieton. Nr 1 „LITERATURY" przynosi też fragment VIII tomu „Pół wieku". Opisywane wydarzenia dotyczą grudniowego przełomu 1970 roku. Jerzy Putrament uchodzi za człowieka dobrze poinformowanego. Był świadkiem wielu historii. Był przecież członkiem KC PZPR. Widział i wiedział wiele. Jeśli to opisuje — to czytelnik ma prawo wierzyć, że jest to dokument. Nie wszystkie nazwiska zostały ujawnione, ale takie to są już trudności przy pisaniu pamiętników czy wspomnień z najbliższej przeszłości, której autorzy, uczestnicy, statyści i widzowie żyją. Tu nie można się mylić. A jeśli już czegoś się nie wie i trudno jest sprawdzić — to albo to trzeba uczciwie przyznać, albo nie pisać. Nie można w sposób lekceważący odnosić się do faktów, które mają wymiar historyczny. Oto przykład:

„Zniesiono podwyżki cen na mięso. Warszawa przyjęła ten fakt dość spokojnie, jak w Łodzi — nie wiadomo".

I kilka wierszy dalej:

„W parę dni później prezydium Związku, przebieg spokojny, w niektórych oddziałach jakieś sprawy lokalne. (...) W Łodzi były jakiej próby strajków".

I to wszystko w odniesieniu do lutego 1971 roku. I to wszystko dokładnie nieprawda.

W Łodzi nie było żadnych prób strajków. Cała Łódź stała, strajk objął niemal wszystkie fabryki przemysłu lekkiego. Do Łodzi przyjechała delegacja rządowo-partyjna z Piotrem Jaroszewiczem i Janem Szydlakiem. Po rozmowach z robotnikami, kiedy robotnicy nie chcieli zgodzić się na przerwanie strajku bez zniesienia cen na artykuły spożywcze, Piotr Jaroszewicz pojechał rano do Warszawy — rozmowy trwały całą noc — i wieczorem wystąpił w telewizji i odwołał podwyżkę cen. Taka była kolejność.

Inna sprawa, że informacja o łódzkich wydarzeniach z lutego 1971 roku była żadna i być może jest to powodem, że nawet ludzie dobrze poinformowani — zdawałoby się, a J. Putrament był wówczas członkiem KC partii — popełniają kardynalne błędy nieświadomie fałszując historię. Podobny błąd popełnił Kazimierz Koźniewski w jednym z artykułów drukowanych w pierwszej połowie 1981 roku w „Życiu Literackim", przypisując „zasługę" zniesienia cen na żywność... stoczniowcom gdańskim.

„Literatura" startuje, a

„ARGUMENTY" MAJĄ 25 LAT

Stąd wiele wspomnień, opowieści o przeszłości, cytatów. Na szczególną uwagę zasługuje artykuł Andrzeja Wielińskiego o zespole „Argumentów" („ARGUMENTY" nr 32 z 17 października 1982 r.). Pierwszym naczelnym redaktorem „Argumentów" był Emil Wojnarowski, obecnym jest Wiesław Myśłek. „Po drodze" był też Sergiusz Kłaczkow, który po szefowaniu w „Głosie Robotniczym" „wyemigrował" do stolicy. Lista pracowników i współpracowników też jest długa. Warto ją poznać.

„Argumentom" życzymy następnych 25 lat!

LUCJAN BOGUSZ

Dni Literatury Białoruskiej

W żywych związkach pomiędzy pisarzami Polski i Białorusi ważne miejsce zajmuje łódzkie środowisko literackie. Pisarze łódzcy — **Jan Huszcza, Igor Sikirycki, Tadeusz Chróścielewski** i inni od lat z powodzeniem prowadzą działalność przekładową i popularyzatorską służącą zbliżaniu pokrewnych i tradycyjnie bliskich sobie literatur bratnich narodów.

Tradycyjne „Dni Literatury Białoruskiej" w Polsce mają w tym roku szczególny charakter — zbiegają się ze stuleciem dwóch klasyków literatury białoruskiej — **Janki Kupały i Jakuba Kolasa.**

Z okazji „Dni" **Łódź** gościła w dn. 13—14 października br. delegację pisarzy białoruskich. Przewodniczył jej znany poeta, krytyk i tłumacz, przewodniczący Zarządu Związku Pisarzy Białorusi oraz białoruskiego oddziału Towarzystwa Przyjaźni Radziecko-Polskiej — **Maksim Tank.** W skład delegacji wchodził także przewodniczący Białoruskiego Związku Towarzystw Przyjaźni i Łączności Kulturalnej z Zagranicą **Leonid Sarwiro** oraz pisarze: **Wiesław Adamczyk, Iwan Czigrinow, Adam Maldzis i Anatolij Grieczannikow,** a także radca Ambasady ZSRR w Polsce **Aleksy Kawko.**

Goście spotkali się z władzami polityczno-administracyjnymi miasta z członkiem Biura Politycznego i I sekretarzem KŁ PZPR — **Tadeuszem Czechowiczem** i prezydentem m. Łodzi, przewodniczącym łódzkiego oddziału TPPR — **Józefem Niewiadomskim.** Maksim Tank otrzymał z rąk Tadeusza Czechowicza medal wybity z okazji 550-lecia Łodzi. Delegacja pisarzy białoruskich wzięła udział w otwarciu wystawy „Literatura Białoruska w zbiorach Biblioteki Uniwersyteckiej w Łodzi" oraz w spotkaniu z tłumaczami i wydawcami, jakie zorganizowało Wydawnictwo Łódzkie.

Ta szczególnie zasłużona dla popularyzacji literatury białoruskiej oficyna wydawnicza uczciła „Dni" edycją poezji Jakuba Kolasa pt. „A tak śpiewa dutka miła". Utwory Janki Kupały ukazały się nakładem „WŁ" w roku ubiegłym. W najbliższym czasie wydawnictwo planuje dalsze książki pisarzy białoruskich, w tym m. in. antologię poezji.

W trakcie spotkania w Wydawnictwie Łódzkim ogłoszono wyniki konkursu na najlepszy przekład z literatury białoruskiej dokonany w 38-leciu PRL. Jury, któremu przewodniczył doc. **Florian Nieuważny,** przyznało dwie nagrody — **Janowi Huszczy i Eugeniuszowi Kabatcowi.**

Ogłoszono następny konkurs, na nie publikowany jeszcze przekład dwóch wierszy poetów białoruskich. Rozstrzygnięcie w kwietniu przyszłego roku.

Pisarze białoruscy goszczący w Łodzi spotkali się z czytelnikami na licznych spotkaniach autorskich

Foto: M. Zajdler

Konkurs na przekład poezji białoruskiej

Z okazji obchodzonych w Polsce Dni Literatury Białoruskiej Wydawnictwo Łódzkie oraz ZŁ TPPR ogłaszają konkurs na najlepszy przekład wierszy białoruskich.

W konkursie mogą wziąć udział, zarówno tłumacze zawodowi, jak i amatorzy, z tym że prace ich będą rozpatrywane i oceniane odrębnie. Konkurs dla tłumaczy zawodowych ma charakter zamknięty. W konkursie otwartym mogą wziąć udział wszyscy, którzy nadeślą pod adresem organizatorów nie publikowane dotąd przekłady dwóch dowolnie wybranych wierszy białoruskich powstałych po 1945 r.

Prace opatrzone godłem należy nadsyłać do dnia 31.I.1983 r. pod adresem: Wydawnictwo Łódzkie, Łódź, ul. Piotrkowska 171 z dopiskiem na kopercie „Konkurs na przekład" (3 egz. przekładów, czytelnie przepisany egzemplarz oryginałów wybranych wierszy oraz zalakowana koperta zawierająca godło, imię, nazwisko i adres tłumacza).

Rozstrzygnięcie konkursu oraz wręczenie nagród nastąpi w czasie Dni Przyjaźni w kwietniu 1983 r., a nagrodzone prace zostaną wydrukowane w antologii poezji białoruskiej przygotowywanej przez Wydawnictwo Łódzkie.

„Odgłosy" za 15 zł

Prasa z ubiegłego tygodnia przyniosła wypowiedź prezesa RSW „Prasa — Książka — Ruch" nt. zmian w systemie kolportażu oraz obniżki cen tygodników w prenumeracie.

Spieszymy donieść naszym Czytelnikom, że od 1 stycznia 1983 r. „Odgłosy" w prenumeracie kosztować będą 15 zł, (kwartalnie — 195 zł, półrocznie 390 zł, rocznie 780 zł).

Placówki pocztowe przyjmują zgłoszenia na prenumeratę do 15 listopada br. Pośpieszcie się!

Rozmowa z RYSZARDEM BALICKIM, członkiem Rady Społeczno-Gospodarczej

Między opinią a władzą

Przypomnijmy, że Radę Społeczno-Gospodarczą powołał Sejm PRL uchwałą z dnia 26 marca 1982 roku. Funkcjonuje więc już pół roku. To dużo czy mało?

— Raczej to drugie. Nie pracujemy nawet jeszcze w pełnym składzie. W Radzie winno być 120 członków. Jest w tej chwili 94. Reszta miejsc rezerwowana jest dla przedstawicieli odradzających się związków zawodowych. Merytorycznych posiedzeń było, jak dotąd, raczej niewiele. Ciągle zdobywamy niezbędne doświadczenie, poszukujemy najlepszego, zgodnego ze sposobu funkcjonowania Rady.

— Zadania i kompetencje zostały rozpisane. Status Rady i jej członków ustalił Sejm PRL.

— Z formalnego punktu widzenia jest jasność, ale tak w ogóle to jest jeszcze sporo niedopowiedzeń, nieporozumień, czy jakby to jeszcze określić.

— To znaczy?

— Na przykład to, że dla niektórych członków Rada stanowi jakby forum dla załatwienia interesów grup i środowisk, które reprezentują. Pojmują swoją obecność trochę tak, jak kiedyś członkowie władz wybrani w demokratycznych wyborach — „jestem tu po to, aby bronić interesów swoich, czyli tych, którzy mnie tu rekomendowali". Jako przykład może służyć fakt, że na pierwszym posiedzeniu Rady jeden z członków usiłował poprzez Radę załatwić koszule robocze dla współpracowników.

To może nie jest źle — powie ktoś i doda — wiedzą bo co tam są. Tylko, obawiam się, że w tych partykularyzmach moglibyśmy zabrnąć donikąd.

— Co więc robić? Jaką przyjąć postawę?

— Rozumiem, że powinnością członków Rady jest przede wszystkim informować o odczuciach, nastrojach i opiniach społecznych w ogóle i na konkretny temat, w stosunku do konkretnej sprawy. Nie uważam za konieczne, a nawet myślę, że jest to postawa niewskazana, aby próbować uporczywie przy okazji dyskusji nad jakimś projektem forsować swoje zdanie, własny jedynie pogląd, czy pouczać posłów, administrację państwową o tym, jak powinni pewne sprawy rozwiązywać. Naszym zadaniem jest sondować opinie i rzetelnie o nich informować, a nie rozgrywać partię szachów politycznych z kimkolwiek.

— A jednak odpowiedzialność istnieje...

— Podejmowanie uchwał, to rzecz Sejmu, zaś konkretnych działań — rządu. Co do odpowiedzialności wobec ludzi: poseł jest wybierany przez grono swoich wyborców i przed nimi odpowiada formalnie i politycznie. Nasza odpowiedzialność jest odpowiedzialnością głównie w sensie moralnym. Na spotkaniach z ludźmi staram się uzyskać w miarę szeroką, reprezentatywną opinię, pogląd, ich zdanie o konsultowanym projekcie ustawy. Nie odwrotnie. To znaczy nie jest tak, że staram się pozyskać ich poparcie dla swojego zdania. Sonduję również nastroje, rzadziej oczekuję propozycji co do sposobów rozwiązania konkretnej sprawy. Bardziej obchodzić mnie muszą opinie, nastroje, odczucia. Od rozwiązań szczegółowych są specjaliści.

— A jak to wygląda w praktyce? Przecież nie zbieracie opinii w ogóle i o wszystkim?

— Oczywiście, choć słuchając zdania na temat określony, nie sposób nie wysłuchać i wszystkiego poza tym, co ludzie mają do powiedzenia, wierząc, że to trafi gdzieś do władzy. Obecnie procedura konsultacji wygląda tak, że Prezydium Sejmu przekazuje nam projekt danej ustawy do zaopiniowania. Najpierw przygotowuje opinię powołany do tego zespół, a potem sprawa trafia na plenarne posiedzenie Rady.

— Tak jest obecnie. Czy z tego wynika, że jest potrzeba i jest możliwość zmienienia tego sposobu?

— Z dotychczasowego krótkiego doświadczenia nasuwają mi się już dwie uwagi. Po pierwsze — są takie projekty dokumentów, które powinny być raczej konsultowane z fachowcami. W takich sprawach trudno o opinie ludzi zupełnie w tematyce niezorientowanych. Od razu powiem, że za taki przykład uważam projekt ustawy o postępowaniu w sprawach nieletnich. Po drugie — są przygotowywane w Sejmie takie ustawy, które aż proszą się o szeroką konsultację. Wiele uwag, a nawet pretensji, zgłosili członkowie Rady pod adresem marszałka Sejmu, o to, że nie trafił na Radę projekt ustawy o związkach zawodowych. Był on konsultowany wcześniej z przedstawicielami związków, to prawda. Ale nie zaszkodziłoby mieć w takiej sprawie, jak przyszłość ruchu związkowego, jeszcze jedną opinię.

Chodzi mi o to, aby Rada posiadała pewną możliwość zgłaszania do Prezydium Sejmu problemowej propozycji spraw, które pragnie poddać konsultacji społecznej. Rada ma pełnić funkcję służebną w stosunku do Sejmu, ale nie powinna to być jedynie rola usługowa o bardzo ograniczonym zasięgu spraw i problemów.

— Myślę, że praktyka społeczna i jej potrzeby najlepiej zdecydują o kompetencji Rady. Miałem jednak okazję słyszeć różne opinie o tych kompetencjach. Z jednej strony są to ciągoty niektórych do zwekslowania Rady na pozycje swoistego poletka uprawianego przez grupy interesu i nacisku. Ale były także głosy przemawiające za przekształceniem Rady w swego rodzaju „niższą izbę parlamentu".

— Jestem w równym stopniu przeciwny jednym, jak i drugim poglądom. W socjalizmie nie powinno być niższych i wyższych izb, demokracji dla wybranych i dla tych „niższych". Rada Społeczno-Gospodarcza nie może rywalizować z Sejmem o kompetencje władzy. Byłoby to sprzeczne z Konstytucją PRL. Nie może także czynić nacisków na władzę. Musi być rzetelna w opiniowaniu spraw. Trzeba będzie jednak baczniej uwagi, aby nie dopuścić do ziszczenia się marzeń i ciągot niektórych przedstawicieli administracji państwowej, którzy chętnie by widzieli w jej członkach grupę „naiwnych załatwiaczy".

Skoro już jesteśmy przy problemach struktury, uważam, że aby cokolwiek u nas zmienić na lepsze trzeba najpierw i każdorazowo odpowiedzieć na pytanie: czy socjalizm w Polsce jest i być musi ze względu na tzw. geopolityczne uwarunkowania, czy też dlatego, że obstaje za nim zdecydowana część polskiego społeczeństwa. Obaj jesteśmy przekonani, że dlatego, iż jest to ustrój akceptowany przez naród. Wychodząc z takiego założenia myślę, że należy zawsze i jedynie tworzyć takie struktury organizacji politycznej, które będą zgodne z zasadami systemu i interesem społecznym.

— Jest to prawda, której kwestionować nie sposób. Ale niezależnie od poszukiwań najlepszych, ze społecznego punktu widzenia najbardziej skutecznych i pożytecznych form funkcjonowania Rady, to one przecież już pracują. Co można powiedzieć o ostatnim posiedzeniu.

— Przyjęliśmy trzy opinie. Ogólnie pozytywną ocenę otrzymał projekt ustawy o przeciwdziałaniu alkoholizmowi. Zgłosiliśmy szereg uwag i tę najważniejszą, że ustawa spełni swoje funkcje, będzie skuteczna, kiedy zarówno zobowiązane do tego organa administracji, jak i społeczeństwo bezwzględnie realizować będą zawarte w niej postanowienia. Wyrażając takie przekonanie Rada opowiedziała się za uchwaleniem przez Sejm tej ustawy. Podobnie z pozytywną opinią spotkał się projekt ustawy o postępowaniu w sprawach nieletnich. Przy czym wyraziliśmy nasze przekonanie, że skuteczne efekty będzie można osiągnąć jedynie w wyniku prowadzenia przez państwo systematycznej działalności profilaktycznej. Taka działalność ogranicza do minimum potrzebę stosowania ustawy.

— A co z projektem ustawy o postępowaniu wobec osób uchylających się od pracy? Jak mi wiadomo, wśród załóg robotniczych wiązane są duże nadzieje z tym dokumentem.

— Nadzieje te, jak sądzę, wynikają z pragnienia porządku i sprawiedliwości. Ale problem sam w sobie nie jest łatwy. Część członków Rady uważa, że ustawy tego typu — z różnych względów — nie należy podejmować. Większość członków Rady, choć wypowiedziała się za koniecznością uregulowania problemu ludzi uchylających się od pracy, sam projekt oceniła negatywnie. Jest to bowiem — naszym zdaniem — przede wszystkim projekt o rejestracji a nie postępowaniu wobec osób uchylających się od pracy. Jego realizacja spowoduje wzrost biurokracji i kosztów administracyjnych przez niepotrzebne podejmowanie szeregu działań, które jednakże nie dają gwarancji rozwiązania problemu. Projekt zawiera także szereg nieprecyzyjnych określeń. Zespół Rady zaproponował, aby wprowadzić obowiązek pracy, realizowany przede wszystkim drogą tworzenia organizacji pracy, w tym głównie dla mężczyzn, dla osób, które uchylają się notorycznie od pracy, żyją na koszt społeczny. Proponowano także, aby w przypadku konieczności stosowania sankcji zrezygnować z kary grzywny a stosować areszt.

W konkluzji doszliśmy do wniosku, że projekt ustawy nie spełni oczekiwań ludzi pracy, ponieważ nie rozwiązuje newralgicznego problemu, jakim jest spowodowanie bezwzględnego zatrudnienia ludzi, którzy żyją na koszt społeczeństwa. Dlatego uznaliśmy że w zaproponowanym kształcie byłoby niewskazane uchwalić taką ustawę. Spowodowałoby to jedynie rozgoryczenie i dalsze niezadowolenie ludzi uczciwie pracujących.

— Surowa opinia.

— Tak, dlatego, że sprawa jest ważna i kontrowersyjna. W tej sytuacji nie można pozwolić sobie na byle jaką ustawę. Na „odfajkowanie" problemu.

— A posiedzenie najbliższe?

— Będzie poświęcone prezentacji opinii o rządowym projekcie planu trzyletniego i projekcie ustawy o nowym prawie lokalowym. Znów dokumenty bardzo ważne. Dyskusja zapowiada się i ciekawie, i burzliwie. Już poprzednio wymieniono na te tematy opinie. Na przykład większość członków Rady jest przeciwna administracyjnemu sposobowi załatwiania sprawy wolnych sobót. Nie jesteśmy przeciw pracy w wolne soboty, ale należy ją najpierw dobrze zorganizować, a potem wprowadzać sukcesywnie, jednakże po uzyskaniu społecznej aprobaty, zgody załóg pracowniczych. Ale jest to przecież tylko wycinek kompleksu spraw zawartych w projekcie „drugiej trzylatki".

Rozmawiał: KAROL JÓZEF STRYJSKI

Starzy i młodzi

Dokończenie ze strony 1

sadnienie psychologiczne, w każdej epoce młodzież jest pod niejednym względem potencjalnie wartościowsza od współczesnych dorosłych. Bo czyż wyróżniającą cechą młodego wieku nie jest świeżość i otwartość wyobraźni, wyczulenie na niesprawiedliwość, na obłudę i zakłamanie, gotowość do czynnego występowania w imię tego, co wydaje się słuszne. Te cechy młodych wywołują w nas, dorosłych, pewien rodzaj żalu za dawnymi porywami młodości, a nasza niewiara w to, że świat mógłby iść ku lepszemu, skłania nas często do tłumienia w młodzieży tego, co jest w niej najcenniejsze. Niemal każdy z rodziców pragnąłby, żeby jego dziecko wyrosło na człowieka wartościowego pod każdym względem — prawego, altruistycznego, zdolnego do ofiar i wyrzeczeń w imię wyższych celów, ale też niemal każdy wpaja w dziecko zasady mniej lub więcej odwodzące od tego celu, zaczyna bowiem w swoim oddziaływaniu wychowawczym dawać pierwszeństwo przyszłej pomyślności dziecka pod względem materialnym i zawodowym, uczy je więc — słowem i przykładem własnym — jak być miłym i układnym wobec tych, od których zależymy, nie mówić prawd źle widzianych przez otoczenie, nie zdradzać się z poglądami i upodobaniami nie mogącymi liczyć na akceptację tych, od których będzie zależeć taka czy inna promocja i kariera życiowa — poczynając od pierwszych lat szkolnych.

Czasem dziecko bierze sobie te praktyczne wskazania zbyt skrajnie i dosłownie, popada w cynizm i — jak to określamy — psuje się. My, dorośli wychowawcy, nieskłonni do dopatrywania się winy u siebie, czujemy się natychmiast raźniej moralnie, kiedy możemy złożyć odpowiedzialność na otoczenie dziecka, na złe towarzystwo rówieśników, a także nierzadko na „zgubny" wpływ wychowawczy polityki państwa. Czy nie słuszniej byłoby przyjąć, iż na wrażliwą psychikę dziecka najsilniej oddziałują ujemne wpływy wychowawcze osób najbliższych uczuciowo, nie zaś nieprawości „wielkiej polityki", którą w młodym wieku poznaje się przecież najpierw przez pryzmat ocen i opinii osób starszych, a dopiero później uzyskuje się zdolność do samodzielnego osądu tych jakże złożonych i trudnych problemów.

Z pewnością wielka polityka wywiera na społeczeństwo wpływ wychowawczy, nierzadko ujemny, ale zwłaszcza w odniesieniu do najmłodszych nie jest to wpływ bezpośredni. Gdyby bowiem w ten sposób oddziaływała, to publicznie głoszone, przeważnie arcysłuszne hasła, znajdowałyby pozytywny oddźwięk. Polityka, jak sądzę, oddziałuje pośrednio, przez system wartości, wynikający z warunków społeczno-politycznych. Ale — co chyba oczywiste — oddziałuje w pożądanym przez siebie kierunku tylko ta polityka, której system wartości zostaje przez społeczeństwo zaakceptowany. Toteż ośmielę się wypowiedzieć tu paradoks, niemile brzmiący dla niejednego ucha, iż polityka sprzed sierpnia 1980 roku dlatego właśnie wpływała ujemnie na postawy moralne, ponieważ system wartości, który z sobą niosła, był przez znaczną część społeczeństwa chętnie akceptowany, i to głównie przez środowiska o dalekich od socjalizmu postawach.

Jakaż to więc była polityka społeczna? Taka, która upatrywała pomyślność ogółu społeczeństwa w powodzeniu materialnym jednostek i wąskich środowisk. Jakich środowisk? Tych, przed którymi otworzono szansę łatwego bogacenia się, czerpania niezwykle wysokich dochodów nie z pracy najemnej (praca wynikająca ze stosunku pracy), a więc nie na stanowisku robotniczym czy bezpośrednio produkcyjnym lub urzędniczym, nauczycielskim czy na przykład w społecznej służbie zdrowia, lecz głównie z takiej pracy, której wykonywanie możliwe jest niemal wyłącznie pod warunkiem posiadania środków produkcji lub znaczniejszego wkładu kapitału.

Przypomnijmy sobie, jak to w środkach masowego przekazu, zamiast dawnych przodowników pracy, wyróżniano wówczas i stawiano za wzór głównie tych, którzy własne środki potrafili jak najszybciej wielokrotnie pomnożyć. Abstrahuję od ewentualnych korzyści odnoszonych przez społeczeństwo, dzięki zwiększaniu się ilości rynkowych produktów, bo niezależnie od tego fakt zbijania majątku powinien być zupełnie wystarczającą rekompensatą za życiową zapobiegliwość.

Roztaczany szeroko miraż tego rodzaju „kariery" oddziaływał coraz silniej na wyobraźnię również tej ogromnej większości społeczeństwa, której sytuacja życiowa uniemożliwiła pójście tą samą drogą, rodziło się więc poczucie upośledzenia, zniechęcenia do codziennej, żmudnej pracy, która nie dawała, bo nie mogła dawać, zwłaszcza młodym, szans wybicia się poziomem i stylem życia ponad ogół. W proteście robotniczym z sierpnia 1980 roku słychać było wyraźnie i głosy buntu przeciwko nierówności społecznej, ci jednak, którzy tym politycznie pokierowali, potrafili zręcznie odwrócić uwagę pracujących mas od podstawowego problemu społecznego, nie tylko bowiem nie zakwestionowali nienormalności przedsierpniowego rozwarstwienia społecznego, ale świadomie rozprzestrzenili jego ideę w najszerszych kręgach pracowniczych, w tym wśród młodzieży pracującej, nie napotykając na tej drodze przez szereg długich miesięcy żadnego konsekwentnego przeciwdziałania o motywacjach klasowych.

Wydaje mi się, jestem nawet o tym przekonany, że odbudowanie socjalistycznego systemu wartości, upatrującego pomyślność jednostek w awansie zbiorowym środowisk pracy, jako głównego gospodarza państwa, stwarzając realistyczną perspektywę dla młodych, jest jedyną drogą do odrodzenia moralnego. Bez sprawiedliwości społecznej trudno mówić o moralności.

Nie znam się na ekonomii, a jako utrzymujący się z pracy mam trudności ze zrozumieniem, dlaczego interes ekonomiczny miałby być sprzeczny z interesem społecznym (jak nieraz słyszę), zamiast mu służyć, nie pojmuję też, dlaczego człowiek pracujący na „cudzym" (czyli wspólnym), a nie na „swoim własnym" musi bezwzględnie partolić robotę i tylko rozglądać się, co by tu ukraść „z niczyjego". Podejrzewam więc, że inną ekonomię piszą ci, co wierzą, iż w zbiorowym, wspólnym trudzie dla ogółu, a przez to i dla siebie samego, kształtuje się godność człowieka, a inną piszą ci, którzy wzrośli w przekonaniu, że „wrodzone i odwieczne" cechy natury ludzkiej najpełniej rozkwitają w procesie przywłaszczania wartości wypracowywanej przez innych. Zresztą, jak wiadomo, świat w tej kwestii jest mocno podzielony i ktoś musi wziąć górę.

Gdyby prawa ekonomii nie miały na uwadze celów społecznych, byłyby tym samym amoralne. Owszem, prawa nauk ścisłych z samej ich istoty funkcjonują poza systemem pojęć moralnych, ale ekonomia nie jest nauką ścisłą, lecz społeczną. Przede mną odkryli to inni i wolno mi opowiadać się właśnie po ich stronie.

Co napisałem po to, by wywieść ze społecznych przesłanek pogląd, iż sprzeczności i napięcia pomiędzy starymi i młodymi nie dadzą się zamknąć jedynie w fizjologicznym i psychologicznym ujęciu różnic pokoleniowych, ale wiele przemawia za tym, że tylko w nie sprzyjających warunkach społeczno-politycznych przyjmują one postać konfliktu pokoleń, który jest niejako zastępczym rozładowaniem się nie rozwiązanych problemów społecznych.

Antagonizm pomiędzy starymi i młodymi, pomijając niegroźne przecież zadrażnienia na tle obyczajowym, głównie z braku wyrozumiałości dorosłych dla cech wieku młodego, wyrażających się odmiennie w różnych epokach, ten więc antagonizm sprowadza się do niespełniania się aspiracji młodych w materialnym i zawodowym awansie i do obaw starszych o zdobyte pozycje. Jeśli te aspiracje młodych w stosunku do realnych możliwości szybkiego ich zaspokojenia są u nas od wielu lat wygórowane, i między innymi z wymienionych przyczyn, zawinionych przez politykę społeczną szeregu ostatnich lat, to nie wynika z tego wcale, że młodzi utracili prawo do naszej specjalnej uwagi i troski.

Nie chodzi mi bynajmniej o jakiekolwiek deprawujące przywileje, związane z zupełnie sztucznym wyodrębnianiem kategorii „młodzieżowości", traktującym pełnoletnich młodych ludzi przedmiotowo, jako obiekt kokieteryjnych pochlebstw, zwodniczych obietnic i pozornych ułatwień życiowych. Jest to model protekcjonalny i zarazem obezwładniający, wpuszczający młodych w „maliny" zabawy i rozrywki, opóźniający dojrzałość społeczną, niestety skutecznie. Gdybym był młody, poczułbym się dotknięty takim traktowaniem mnie jako infantylnego bobasa, któremu się kupuje kosztowne zabawki, byle tylko nie brał na siebie dorosłych obowiązków i nie zyskiwał prawa do wtrącania się w sprawy dorosłych, do czego zresztą formalnie upoważnia pełnoletniość.

Ale pełnoprawny udział w życiu społeczeństwa to praca (od której zwalnia tylko nauka, która też jest pracą) i możność otrzymywania zapłaty zgodnie z wartością wykonywanej pracy, na miarę możliwości gospodarki. Nie dziwię się nikomu z młodych, kto nie potrafi pogodzić się z myślą, że pracując wydajniej i wytwarzając produkt jakościowo lepszy miałby otrzymywać zapłatę nie wyższą, niż gorszy od niego pracownik długoletni. Sądzę, że zasada awansu poziomego powinna bezwzględnie znieść bariery ustanowione przez wiek i staż pracy. Z samego faktu, że żyje się i pracuje dłużej nie powinny jeszcze wynikać żadne przywileje w stosunku do tych, których jedyną „winą" jest młodość. W interesie całego społeczeństwa dobra praca jednostek powinna im się opłacać.

Tylko faktyczne zrównanie w prawach i obowiązkach, czemu powinna sprzyjać reforma gospodarcza, może, moim zdaniem, wyeliminować poczucie nieprzydatności i brak perspektyw życiowych odczuwany przez młodych. Pod warunkiem wszakże, iż tuż za murami fabryki nie rozpleniają się fortuny tych, którzy działalnością nie uzasadnioną ekonomicznymi koniecznościami, często raczej obrotnością niż rzetelnym wysiłkiem uzyskują dochody przekraczające wielokrotnie pobory ministra rządu PRL, nie mówiąc o wojewodzie. Pod warunkiem także, iż nie będzie się tolerować, że nie pracując nigdzie można mieć się nieźle i kpić z tych, co są „głupi", bo tyrają.

Trudno się uwolnić także od obaw, czy istniejące dysproporcje nie stwarzają potencjalnego niebezpieczeństwa nacisków na pracowników administracji różnego szczebla, a tym samym nie rodzą niepożądanych podejrzeń, że urzędnicy (a więc i urzędy!) zawsze chętniej „trzymają" z tymi co mają więcej. W kapitalizmie jest to wspólnota interesu finansowego.

Sądzę, że tematu: starzy i młodzi — nie wolno rozpatrywać w oderwaniu od sytuacji społecznej, od czasu i miejsca, gdzie z sobą współistnieją. Być starym lub młodym to ani zaszczyt, ani hańba, lecz nieodwracalna kolej rzeczy. Każdy więc powinien pamiętać, kim już kiedyś był, albo wiedzieć, kim jeszcze kiedyś będzie. To ułatwia wzajemne zrozumienie.

JERZY KWIECIŃSKI

Nasz czas przeszły

MYŚL POLITYCZNA ROMANA DMOWSKIEGO (3)

Konkurent z prawicy

Nie dane było Romanowi Dmowskiemu przeżywać w Odrodzonej Polsce pierwszych dni wolności. Choroba i czas rekonwalescencji — ale chyba nie tylko — spowodowały, że przybył do Warszawy dopiero 15 maja 1920 roku.

Nie mógł, czy nie chciał, wystąpić do walki o władzę? Z listów, które pozostawił, wynikałoby, że raczej to drugie. Był realistą i wytrawnym politykiem. Dostrzegał nastroje rewolucyjne u progu niepodległości i trafnie oceniał, że jego koncepcja państwa nie znajdzie szerokiego poparcia. *„...Przez pewien, jeszcze nie wiem, jaki jeszcze czas* — pisał — *lepiej będzie, że rządy w kraju nie będą w naszych rękach. Trzeba się starać tylko, żeby były takie, ażebyśmy mogli je tolerować, a nawet popierać...".*

Doceniał Piłsudskiego, mającego poparcie także znaczących sił lewicy społecznej, uważanego przez wielu za człowieka lewicy. Rozumiał, że w istniejącej sytuacji społecznej i międzynarodowej w starciu o władzę z Piłsudskim nie miałby żadnych szans.

I była jeszcze jedna sprawa, którą Roman Dmowski niewątpliwie rozumiał, chociaż się z tym nie ujawniał. Społeczeństwo pamiętało także pewne ciemne karty z jego przeszłości — walkę z rewolucją w 1905 roku, negatywny stosunek do bojkotu szkoły rosyjskiej, a także działalność antysemicką. Przypomniał Dmowskiemu to wszystko wkrótce po jego powrocie do kraju Zygmunt Kisielewski na łamach PPS-owskiego „Robotnika".

Nie angażował się Dmowski w żadną działalność państwową. Będąc posłem do Sejmu Ustawodawczego praktycznie nie brał udziału w jego pracach. Powołany w skład Rady Obrony Państwa, wkrótce ją opuścił po starciu z Józefem Piłsudskim, któremu, gdy załamała się ofensywa kijowska, wytknął szkodliwość jego politycznych koncepcji.

W kręgach zwolenników Dmowskiego sądzono, że zdecyduje się kandydować na stanowisko prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, tym bardziej, że Józef Piłsudski wydawał się nie być zainteresowany kandydowaniem. Być może uważał, że czas jego jeszcze nie nadszedł. Był w tym okresie pod wpływem kształtującej się na Zachodzie idei faszystowskiej, nie widział jednak dla niej w początku lat dwudziestych miejsca w Polsce.

Zabójstwo prezydenta Gabriela Narutowicza spowodowało, że prawica polska, a w niej narodowa demokracja, znalazła się w politycznej izolacji i szanse Dmowskiego na poparcie społeczne wyraźnie zmalały. Raz jeszcze, na krótko, uwikłał się w aparat władzy obejmując tekę ministra w chjeno-piastowskim gabinecie Wincentego Witosa. Liczono, że odrodzi się wytrawny dyplomata z Konferencji Pokojowej w Paryżu, tymczasem Dmowski nie dokonał na swym urzędzie niczego godnego uwagi, był zresztą ministrem zaledwie kilka tygodni.

Przez 12 lat, od 1922 do 1934 roku, Roman Dmowski mieszkał na wsi w kupionym — niemałym zresztą wysiłkiem — majątku Chludowo pod Poznaniem. Tam właśnie napisał i zamieścił w „Gazecie Warszawskiej" cykl artykułów pt. „Jak odbudować Polskę". Uzasadniając wybór takiego właśnie tematu pisał we wstępie do swego pierwszego artykułu, że *„...zrozumienie wypadków i działań, które nas doprowadziły do niepodległości, bardzo małe w ciągu pięciu lat naszego istnienia państwowego zrobiły postępy...".*

Książka Romana Dmowskiego stanowiła rozwinięcie sporu o czas przeszły, jaki występował od pierwszych dni niepodległości między endecją a obozem Józefa Piłsudskiego, sporu o to, czy Piłsudski, czy Dmowski większe dla odrodzenia Rzeczypospolitej położyli zasługi.

Kiedy ukazała się książka Romana Dmowskiego, obaj antagoniści nie uczestniczyli w sprawowaniu władzy. Dmowski konsekwentnie od początku, Piłsudski — nie mogący pogodzić się z brakiem uznania dla jego formuły władzy państwowej — od niedawna przebywał w swej samotni w Sulejówku. Dwaj wybitni politycy, ludzie dla sprawy niepodległości wielce zasłużeni, w zaciszu wiejskich dworków analizowali sytuację i przygotowywali się do walki o zwycięstwo swych koncepcji. Niedaleka przyszłość pokazała, że raz jeszcze Józef Piłsudski okazał się skuteczniejszy od swego konkurenta z prawicy.

Polityka Dmowskiego — oficjalnego niezaangażowania się, obejmowała także ruch polityczny, którego był duchowym przywódcą. Główny ideolog Związku Ludowo-Narodowego, nie pełnił w nim żadnych kierowniczych funkcji. Określano go jako „prezesa honorowego", co z formalnego punktu widzenia o niczym nie świadczyło.

Wiosną 1926 roku wyjechał Roman Dmowski do Rzymu i Paryża, aby zorientować się w sytuacji międzynarodowej. Sądzić można, że we Włoszech chciał bliżej zapoznać się z intrygującą go i pozytywnie odbieraną ideą faszystowską i państwem faszystowskim. Skrócił swój pobyt na wieść o dokonanym przez Piłsudskiego przewrocie. Raz jeszcze konkurent okazał się szybszy, a może po prostu bardziej konsekwentny?

Na przewrót majowy i jego następstwa w przemianach politycznych zareagował Dmowski utworzeniem w 1926 roku Obozu Wielkiej Polski. W wywiadzie udzielonym „Kurierowi Warszawskiemu" uzasadniał swoją inicjatywę w sposób następujący:

„...Od początku istnienia naszego obecnego państwa patrzyłem na organizację polityczną, w istniejących dziś stronnictwach, jako na rzecz tymczasową, przeżytek stosunków przedwojennych... Życie coraz jaskrawiej wykazywało, że rozbicie na mnóstwo stronnictw coraz bardziej obezwładnia nasz naród, hamuje organizację i rozwój państwa... Bezwład polityczny społeczeństwa stawał się coraz większy. Tylko przy podobnym bezwładzie możliwy był przewrót majowy, osiągnięty nie tak wielkimi siłami. Po zamachu majowym widać było już wyraźnie, że szersze koła narodu czują się jak ciało bez głowy, że w kraju nie ma politycznego kierownictwa... Nikt nie wiedział do czego dążą żywioły rządzące, miało się nawet i ma się ciągle wrażenie, że one same nie zdają sobie sprawy z celów, jakim mają służyć... Inicjatywa ruszenia z tego martwego punktu sama narzucała...".

Obóz Wielkiej Polski powołano 4 grudnia 1926 roku na zjeździe w Poznaniu. Jego program tak oto przedstawił Roman Dmowski:

„...Mamy w Sejmie szereg stronnictw politycznych, usiłujących w dzisiejszych warunkach sprostać swemu zadaniu. Nie naszą rolą jest paraliżować ich działalność... Lepiej jest, ażeby stronnictwa, które zaliczamy do narodowych, pozostały w dzisiejszej chwili tym czym są i pracowały nadal tak, jak to uważają za najlepsze. Do nas należy, nie mieszając się w ich pracę, nie wkraczając na sejmowy teren działania, rozwinąć pracę w kraju, skupiając rozbite dotychczas siły narodowe w jeden wielki obóz służący jednemu wielkiemu celowi, łączący dla tego celu, wspólnego wszystkim Polakom zasługującym na to miano, ludzi różnych poglądami osobistymi, przekonaniami, wreszcie położeniem społecznym i wynikającymi z niego interesami. Gdy taki silny obóz stanie w kraju dalsze trwanie dzisiejszego układu stronnictw w Sejmie będzie niemożliwe... Postępowanie narodu musi być konsekwentne, ujęte w pewne karby, poddane dobrowolnej dyscyplinie... tak postępować może tylko naród należycie przygotowany. Oto dlaczego tworzymy szeroką organizację sił narodowych i dlaczego nazwaliśmy ją Obozem Wielkiej Polski...".

I dalej, dając wyraz swym tendencjom do tworzenia systemu totalitarnego, stwierdzał, że *„...od innych obozów politycznych różnimy się przede wszystkim typem organizacji opartym na zasadach hierarchii, dyscypliny i odpowiedzialności osobistej kierowników za każdy dział pracy...".*

Utworzenie przez Romana Dmowskiego Obozu Wielkiej Polski stanowiło zwrot w jego metodach politycznego działania — przyjął wybór na prezesa Wielkiej Rady — organu kierowniczego obozu.

Co proponował jako przywódca ruchu w miejsce zwalczanego systemu parlamentarnego?

Odżegnywał się oficjalnie od faszyzmu włoskiego, twierdząc, że w takiej postaci jest u nas nie do przyjęcia, próbował jednak tworzyć coś, co byłoby faszyzmowi podobne, a do przyjęcia w polskich warunkach. *„...W państwie narodowym* — stwierdzał — *musi istnieć zorganizowany naród...".* Jego zorganizowanie narodu było bardzo odległe od zasad demokracji, natomiast bliskie istocie totalitaryzmu. W tej sprawie, jak i w wielu innych stanął Dmowski w połowie drogi. Chciał państwa zorganizowanego tak, aby stanowiło alternatywę demokracji parlamentarnej, ale sprzeciwiał się faszystowskiej zasadzie wodzowstwa, własnych rozwiązań nie proponując.

„Państwo narodowe" — Dmowskiego wykluczało zasadę równości jego obywateli, odmawiając pełni praw politycznych mniejszościom narodowym, w tym szczególnie atakowanej mniejszości żydowskiej. Swoje państwo narodowe chciał przeciwstawić światu zawładniętemu przez mafię masońsko-żydowską. To obsesyjne przekonanie było źródłem wielu fałszywych ocen, a w następstwie błędów politycznych Romana Dmowskiego.

Był Dmowski gorącym zwolennikiem wykorzystania katolicyzmu dla realizacji idei państwa narodowego, chociaż z drugiej strony przeciwstawiał się wykorzystywaniu Kościoła do spraw polityki. W swojej pracy „Kościół, naród i państwo" pisał:

„Katolicyzm nie jest dodatkiem do polskości, zabarwieniem jej na pewien sposób, ale tkwi w jej istocie, w znacznej mierze stanowi jej istotę. Usiłowanie oddzielenia u nas katolicyzmu od polskości, oderwania narodu od religii i od Kościoła, jest niszczeniem samej istoty narodu...".

Obóz Wielkiej Polski, wbrew przewidywaniom Dmowskiego, nie znalazł spodziewanej szerokiej bazy społecznej. Stało się to m.in. dzięki zręcznej polityce Piłsudskiego, który raz jeszcze ubiegł swego przeciwnika i dogadując się z konserwatystami przechwycił część potencjalnych członków Obozu.

W 1928 roku doprowadził Roman Dmowski do przekształcenia się Związku Ludowo-Narodowego w Stronnictwo Narodowe, sterując tę nową partię jeszcze bardziej na prawo i nie dopuszczając do współdziałania z opozycją demokratyczną przeciwko dyktaturze Józefa Piłsudskiego. Bez reszty poświęcił się Dmowski działalności w Stronnictwie Narodowym, gdy władze państwowe zakazały dalszej działalności Obozu Wielkiej Polski. Z jego inicjatywy do wpływów w Stronnictwie Narodowym doszli młodzi działacze, zwolennicy bardziej radykalnego postępowania, w rezultacie czego utworzył się w Warszawie faszyzujący Obóz Narodowo-Radykalny, który uległ następnie rozpadowi na dwie części — ABC i Falangę, stanowiącą skrajnie prawicowe skrzydło ruchu narodowego.

Dokonane rozłamy trzeba niewątpliwie zapisać na konto Romana Dmowskiego. Były one w znacznym stopniu następstwem jego — co jakże często się powtarzało — niezdecydowania i niekonsekwencji. Najpierw przekonywał młodzież narodową do formuły państwa totalitarnego, a następnie, oficjalnie przynajmniej, odrzucał faszyzm, bez żadnych własnych sugestii.

W 1931 roku wydał Roman Dmowski swą kolejną książkę „Świat powojenny i Polska". Był Dmowski w tej pracy konsekwentnie antyniemiecki. Starał się ukazać niebezpieczeństwo ze strony zbrojących się Niemiec, przestrzegał przed współdziałaniem niemiecko-polskim, które — jak pisał — *„...da im przede wszystkim Pomorze i Śląsk polski i widzę już nowy traktat polsko-niemiecki, w którym Polska te ziemie dobrowolnie Niemcom odstępuje...".* Geopolitycznym położeniem Polski się kierując prezentował Roman Dmowski realizm w polityce wobec Związku Radzieckiego. Będąc przeciwnikiem komunizmu twierdził jednak, że wbrew agitacji antyradzieckiej *„...Sowiety wojny nie chcą...",* i że *„...ta wojna, czy przegrana, czy wygrana, dla Polski bytaby klęską...".*

„...Sowiecka Rosja — pisał — *jest Rosją, a więc trwałym, nadto pierwszorzędnym czynnikiem zewnętrznego położenia naszego państwa. Jako taka musi być ona jednym z głównych przedmiotów naszej myśli politycznej; musimy rozumieć jej istotę, jej znaczenie, jej siłę, jej położenie, wreszcie jej politykę, taką, jaka z tych wszystkich warunków wynika...".*

Był Roman Dmowski w swej książce także konsekwentnie antyżydowski. W rozdziale „Kwestia żydowska" pisał:

„...koniec wojny 1914—18 przyniósł Żydom najświetniejszy bodaj triumf, jaki odnieśli kiedykolwiek w ciągu całych swoich dziejów... Pozycja ich pod koniec wojny i w latach powojennych w największych państwach, zwłaszcza w Anglii i Stanach Zjednoczonych, stała się tak silna, że do zajmowania w nich pierwszorzędnych stanowisk nie mieli już potrzeby deklarować się jako Anglicy czy Amerykanie...".

I kończąc, stwierdzał: *„...W chwili zakończenia wojny światowej wpływowi na terenie międzynarodowym Żydzi zapewniali bez ceremonii, że nie dopuszczą do tego ażeby Polska była państwem narodowym i miała istotnie narodowe rządy. Czy długo jeszcze będą mogli dawać takie zapewnienia...".*

W 1934 roku nękany kłopotami finansowymi sprzedał Chludowo i zamieszkał w Warszawie u swych przyjaciół — rodziny Niklewiczów. Tam też rozpoczął pisać książkę mającą stanowić podsumowanie jego politycznego dorobku. Chciał w niej zawrzeć analizę przemian dokonujących się w powojennej Europie i na świecie, a także sformułować pewne cele przyszłościowe. Liczył na to że napisze ją w kilka miesięcy, a cztery lata jakie mu jeszcze pozostały, okazały się okresem zbyt krótkim.

Reagował Roman Dmowski zawsze żywo na wydarzenia międzynarodowe i analizował je pod kątem przydatności dla swoich koncepcji. Dojście Adolfa Hitlera do władzy przyjął pozytywnie, ale szybko zorientował się w rzeczywistych zamiarach dyktatora i przestrzegał przed niebezpieczeństwem grożącym Polsce, co zresztą było zgodne z jego tradycyjną antyniemiecką polityką.

W 1938 roku wyjechał do Drozdowa, majątku rodziny Niklewiczów i tam, po kilku miesiącach postępującej choroby, 2 stycznia 1939 roku zakończył życie. Pogrzeb Romana Dmowskiego — pochowano go zgodnie z ostatnią jego wolą w Warszawie na Bródnie, obok grobów matki i braci — stał się wielką manifestacją obozu narodowego, ale zgromadził i wielu przeciwników obiektywnie oceniających jego niemałe zasługi dla Polski.

Rząd sanacyjny zachował milczenie. Spadkobiercy marszałka nie mogli, czy nie chcieli przełamać niechęci wobec zawsze groźnego konkurenta z prawicy.

ZENON JANUSZ MICHALSKI

Anatomia rewolucji

„Naiwne byłoby pytanie, czy opłaca się robić rewolucję. Rewolucji nie robi się na czyjeś zamówienie: eksploduje ona wówczas, gdy inne drogi są zablokowane. Prawdziwy rewolucjonista nie wierzy we wszechpotęgę przemocy. (...) Dzieje rewolucji są więc historią dla dorosłych, a nie lekturą do poduszki. Są zawsze dyskursem o tragizmie i o nadziejach naszej ludzkiej kondycji" — stwierdza *Jan Baszkiewicz* w swej najnowszej pracy poświęconej dziejom rewolucji burżuazyjnych. Autor jest wybitnym polskim historykiem, wytrawnym znawcą dziejów Francji, spod jego pióra wyszło też wiele prac z historii instytucji ustrojowych i kultury średniowiecza oraz poczytne biografie Robespierre'a i Dantona. Najnowsza książka J. Baszkiewicza otwiera zapowiedzianą przez wydawcę, Spółdzielnię Wydawniczą „Czytelnik", serię *„Wielkie problemy dziejów człowieka".*

Rozważania swe rozpoczyna autor od przedstaweinia historii pojęcia rewolucji. W interesującym przeglądzie ukazuje jak zmieniały się na przestrzeni wieków wyobrażenia, sądy i pojęcia na temat rewolucji, analizuje tendencje i kierunki filozofii, socjologii i historiografii burżuazyjnej oraz marksistowskiej, ich osiągnięcia. Zastanawia się nad kryteriami podziału i cechami wyróżniającymi takie zjawiska jak zamach stanu, pucz, rewolta i rewolucja. Potocznie pojęcia te używane są dość dowolnie, niejednokrotnie błędnie, zatem istotne stają się przypomnienia i stwierdzenia historyka, że „od rewolucji przewrót różni się brakiem istotnych przekształceń w klasowej podstawie systemu. Pucz lub zamach stanu często tylko zmienia układy personalne: tak jest zazwyczaj z przewrotami pałacowymi".

Aprobując marksistowską definicję rewolucji autor rozwija ją i pogłębia wskazując, że „zagadnienie władzy to centralny problem tak rewolucji, jak i politycznego przewrotu. Jednakże w rewolucji stawką nie jest jedynie zmiana ekipy rządzącej, naruszenie lub obalenie konstytucji. Prawdziwa rewolucja łączy zadania polityczne i socjalne". Poszukując zaś odpowiedzi na pytanie jak odróżnić rewolucję od wielkiej, masowej rewolty społecznej stwierdza w konkluzji: „Świadomość i organizacja: to chyba klucz do wyjaśnienia „bezpłodności rewolt" (...) Te dwie słabości odróżniają rewoltę od rewolucji, choćby i nieudanej".

Rozpatruje J. Baszkiewicz z różnych punktów widzenia sam proces rewolucyjny i jego dialektykę, wyróżnia rytm wewnętrzny rewolucji, pojedyńczej i całego ich cyklu, rewolucji w jednym kraju i epok rewolucyjnych w skali międzynarodowej, odwołując się w toku analizy do licznych przykładów z historii rewolucji burżuazyjnych oraz do opinii wybitnych myślicieli.

Autor przygotowując czytelnika do recepcji jego wywodów w najważniejszej części pracy, daje w części drugiej faktograficzne kompendium rewolucji burżuazyjnych poczynając od krajów europejskich (Niemcy, Niderlandy, Anglia, Francja i inne), dalej obu Ameryk i Dalekiego Wschodu. Nie jest to kronikarski zapis wydarzeń w różnych rewolucjach, lecz uporządkowany analityczny opis ułożony według cykli rewolucyjnych poszczególnych krajów w kolejności ich wchodzenia na drogę rewolucji burżuazyjnych.

W części trzeciej pracy J. Baszkiewicz postanowił „położyć rewolucję burżuazyjną na stole sekcyjnym i zbadać bliżej jej anatomię". Jest to najobszerniejsza i zarazem zasadnicza część nowatorskiej metodologicznie książki, moim zdaniem najbardziej interesująca, a w wielu fragmentach pasjonująca.

Zastanawia się autor jak rodzą się rewolucje biorąc pod lupę badacza ich różnorodne przyczyny. Bada różne aspekty i symptomy sytuacji rewolucyjnej, kryzysu społecznego i politycznego, problem świadomości rewolucyjnej stwierdzając w konkluzji: „Sytuacja rewolucyjna nie przekroczy progu rewolucji, jeśli wielkie siły społeczne nie zdobyły świadomości rewolucyjnej, a więc gotowości i zdolności do rewolucyjnych akcji masowych". Jednak i wtedy konieczny był detonator rewolucji, który to problem, niejako modelowy scenariusz momentu rewolucyjnego, również jest odtworzony w książce.

Kolejnym ogniwem w procesie badania anatomii rewolucji jest dla autora analiza jej sił motorycznych, problemu wyjątkowo skomplikowanego. Poszukuje J. Baszkiewicz odpowiedzi na pytanie czy możliwe jest kierowanie rewolucją burżuazyjną, obserwuje aktywność rewolucyjnych klas (burżuazji, chłopstwa, demokratycznego drobnomieszczaństwa, warstw plebejskich — później proletariatu, szlachty), wzajemne relacje między tymi wielkimi siłami społecznymi, problem hegemonii w rewolucji. Do szczególnie zajmujących należą rozważania na temat roli sztabów politycznych, partii i przywódców w rewolucjach burżuazyjnych. Trafne jest stwierdzenie autora, że „żywiołowe eksplozje nie przekształciłyby się w rewolucję, gdyby nie działania politycznych sztabów. Ich rola w rozbudzaniu i orientowaniu świadomości rewolucyjnej jest ogromna", jest punktem wyjścia do rozważań nad genezą i mechanizmami kształtowania się elit rewolucyjnej kadry przywódczej, kluczowej roli środowisk inteligenckich w sztabach rewolucyjnych, analizy procesu powstawania systemu partyjnego, tendencji i podziałów partyjnych, oblicza poszczególnych nurtów, zwłaszcza radykalnego.

Autor poświęca wiele uwagi przywódcom, podkreśla, że ich „rola jest ogromna. Są oni rewolucji potrzebni, bo luźne struktury partyjne i właściwy burżuazji indywidualizm wymagają leaderów zapewniających spójność orientacjom politycznym i rządowym ekipom. Przywódców potrzebują również wielkie siły społeczne". Na kartach książki przewijają się zwięźle, lecz plastycznie i trafnie zarysowane sylwetki wybitnych przywódców rewolucji burżuazyjnych jak Wilhelm Orański, Oliver Cromwell, George Washington, La Fayette, Maksymilian Robespierre, Louis Antoine Saint-Just, Georges Danton, Giuseppe Garibaldi, Jose Marti i innych. Znajdujemy tu także frapującą analizę mechanizmów, które pozwoliły ujawnić się zdumiewającym talentom politycznym.

Pokazuje autor reakcję klas panujących na wybuch rewolucji — kapitulacja, poszukiwanie kompromisu i kontrrewolucja — złożoną dialektykę wzajemnych stosunków tych postaw, rolę przemocy rewolucyjnej, rozpatrując takie jej aspekty jak bierny opór, strajk powszechny, powstanie zbrojne, walka partyzancka i działania regularnej armii. Zastanawia się nad różnymi aspektami i formami rządu rewolucyjnego, podnosi sprawę niebezpieczeństw wynikających z biurokratyzacji systemu władzy rewolucyjnej podkreślając, że „szczególnie tragiczne powikłania przyniosła biurokratyzacja, a zatem i degeneracja terroru rewolucyjnego", a problem ten szerzej omawia posługując się egzemplifikacją rewolucji francuskiej.

Na koniec Jan Baszkiewicz stawia pytanie, czy można mówić o kulturze politycznej rewolucji burżuazyjnej i daje odpowiedź twierdzącą. W interesujących rozważaniach na ten temat wydobywa elementy ciągłości kultury politycznej przenoszone do obyczajów rewolucyjnych.

PAWEŁ SAMUS

Jan Baszkiewicz, Wolność, równość, własność. Rewolucje burżuazyjne, Warszawa 1981, Czytelnik, ss. 278.

Ustawa

W dniu, w którym Sejm uchwalił między innymi „Ustawę o związkach zawodowych", telewizja pokazała film Antoniego Bohdziewicza „Wilczy bilet". Mógł to być przypadek: wspomniany film prezentowano w cyklu, którym od jakiegoś czasu TVP przypomina dorobek tego reżysera. Nie pamiętam ani recenzji z okazji premiery (lipiec 1964), ani też kontekstu społeczno-politycznego, jaki inspirował powstanie i realizację filmu, historii robotnika, zwolnionego z pracy za niewygodną dla dyrekcji krytykę działalności fabryki. „Wilczy bilet", typowy publicystyczny produkcyjniak, ze względu na swój temat, mógł powstać zarówno dziesięć lat później jak i teraz, aczkolwiek sloganowość dialogów, uproszczona konstrukcja bohaterów i inne niedostatki dramaturgiczne nadają obrazowi Bohdziewicza patynę tak charakterystyczną dla pierwocin socrealizmu lat pięćdziesiątych.

Nie piszę tu recenzji, bo i po co. A wspominam odkurzoną w sobotni wieczór fabułę, tylko dlatego, że w momencie, gdy sprawa związków zawodowych stała się kluczowym tematem dnia, film ów skłania do paru refleksji. Jednym z negatywnych bohaterów, postacią kreśloną wyłącznie czarnym konturem jest przewodniczący Rady Zakładowej, który miast uosabiać związkowo-robotnicze ideały, prezentuje swoją postawą to wszystko zło, co przez lata odkładało się na powierzchni ruchu związkowego. Jak mówię, nie pamiętam co wówczas, to znaczy w połowie lat sześćdziesiątych, skłoniło decydentów od polityki kulturalnej, aby taką diagnozę — choć film nie uogólnia swojego przesłania — przecież negatywną, na temat roli związkowca w fabryce przedstawić. Wszelako ten film, a i inne tytuły, zarówno filmowe jak i powieściowe, które podejmowały krytykę działacza związkowego, mogą dziś świadczyć, iż schorzenia ruchu związkowego funkcjonowały w świadomości tak władzy, reflektującej się samokrytycznie od czasu do czasu, choć bez głębszych konsekwencji, jak i pracobiorców, którzy musieli dobijać się o swoje prawa najczęściej poza gabinetami Rad Zakładowych. Przykładem kolejne kryzysy społeczne w naszym kraju, w których związki zawodowe biernie, za parawanem władzy państwowo-partyjnej, oczekiwały na rozwiązania. Porozumienia sierpniowe dokonały w takim obrazie radykalnego wyłomu. Związki zawodowe miały stać się autentycznym reprezentantem dążeń, aspiracji ekonomicznych i społecznych wielomilionowych rzesz pracowniczych. Czym były w rzeczywistości i jak nimi kierowano? Te pytania jeszcze przez długi czas będą przedmiotem roztrząsań polityków, socjologów, ekonomistów i wreszcie każdego z nas. Teraz, w październiku 1982 roku — nie mam pod ręką „Tygodnika Powszechnego", aby bezbłędnie policzyć, który to już tydzień minął od daty 13 grudnia — kiedy Sejm przyjął „Ustawę o związkach zawodowych", sytuacja ruchu związkowego, klarowna pod względem prawnym (Ustawa w zasadzie zawiera podstawowe koncepcje budowane po sierpniu na fundamencie porozumień szczecińsko-gdańsko-jastrzębskich i późniejszych negocjacji) w praktyce będzie natykać się na rozmaite postawy.

Mówią jedni (idealiści to czy ironiści?), że w socjalistycznym państwie, które w szczególny, właśnie socjalistyczny, sposób winno zabezpieczyć wszelkie prawa swoich obywateli, w państwie, w którym dominuje społeczna własność środków produkcji, związki zawodowe są niepotrzebne. Inni przeczytają w ustawie tylko artykuł 52, który postanawia że „rejestracje związków zawodowych dokonane przed dniem wejścia w życie ustawy tracą moc prawną", czyli — jak streścił obrady Sejmu z właściwą sobie dbałością o rzetelność informacji „Głos Ameryki" — przyjęto ustawę o likwidacji NSZZ „Solidarność". Jeszcze inni, przywykli przez ostatnie miesiące do tego, że bez obaw przechodzą obok drzwi ze śladem po szyldzie „Rada Zakładowa", sami zabiorą się do wypełniania litery ustawy, mając w pamięci dawne, CRZZ-owskie, spokojne czasy. Takie domniemania można by kontynuować przez następne kilka akapitów. Tylko po co? Sądzić należy, że ci wszyscy, dla których związki zawodowe są konieczną formą demokracji, kolegialności, społecznego przyglądania się poczynaniom administracji, ochrony i obrony praw pracowniczych i obywatelskich, są formą przeciwdziałania samowoli i urzędniczej arogancji, że ci wszyscy właśnie znajdą w ustawie właściwe ramy do działania. Bez względu na to, jaki znaczek i jaki obrazek w klapie nosili przedtem.

GRZEGORZ GAZDA

Foto: M. Zajdler

Warzywa umoczone w reformę

RYSZARD BINKOWSKI

Jeśli najtańszym źródłem energii cieplnej jest węgiel brunatny i miał węglowy spalany w wielkich elektrociepłowniach, to ze względu na czynnik społeczno-ekonomiczny najprościej postawić koło elektrociepłowni kilkanaście hektarów szklarni, podłączyć się i z głowy. Nie trzeba budować kotłowni, nie zatruwa się spalinami środowiska, nie trzeba kupować drogiego mazutu, a ludność miasta ma pod nosem świeże ogórki i pomidory. Dzięki takiej koncepcji, na rogatkach Łodzi, w Janowie, wyrósł piękny zakład szklarniowy. I wszystko by grało, gdyby nie fakt, że po pierwsze to ten zakład do końca jeszcze nie wyrósł, o czym potem, a po drugie — jak łupnęła zima stulecia, to elektrociepłownia wysiadła i w szklarniach roślinki zaczęły, jak się to mówi, kopać w kalendarz. A potem albo woda była niedogrzana, albo znowu wyskakiwała awaria, i tak dookoła Wojtek. Wreszcie się poprawiło, ciepło dostarczano rytmicznie, aż na początku tego roku się ucieło. To znaczy ciepło było, ale zreformowane...

Chodzi o to, że w globalnych kosztach produkcji szklarniowej koszty ciepła nie powinny przekraczać 40 proc., jeśli warzywa mają być sprzedawane klientom po przystępnych cenach. Wchodząc w reformę gospodarczą Państwowe Gospodarstwa Ogrodnicze przed piętnastoma miesiącami nie podniosły cen na swe produkty. Od nowego roku podniosły je średnio o 120 proc., natomiast stawki za ciepło dostarczane do szklarni wzrosły kilkakrotnie. Pod tym względem zresztą panuje całkowita anarchia, każdy doi z PGO, ile tylko może. Rekord Polski padł w Ostrołęce. Otóż jeśli przed rokiem koszt ogrzewania 6 ha szklarni wynosił za cały sezon średnio 8 mln zł, to dzisiaj skoczył w najlepszym wypadku trzykrotnie. Natomiast we wspomnianej Ostrołęce elektrociepłownia zażądała od PGO 118 mln zł!

Mózg staje, gdy się zacznie myśleć, jak to niektóre przedsiębiorstwa grają bezczelnie grubymi, chciwymi palcami na strunach reformy. Niestety, w podobnej sytuacji znalazł się łódzki Janów, który stoi przed widmem deficytu. Pracownicy wprawdzie oddelegowali swego dyrektora, Kazimierza Orzechowskiego, na sekretarza rolnego Komitetu Łódzkiego partii, ale on im też nie pomoże. Jak reforma, to reforma, a najlepsze to trzecie „S", czyli samowola cenowa.

Janów wszedł w reformę gospodarczą w trakcie budowy, z długami, a im dłużej się buduje, tym koszty większe. Rolnictwo ma być jedno, ale gospodarstwa państwowe płaciły do 1 lipca br. wyższe stawki za energię elektryczną, niż odbiorcy indywidualni. To zniesiono, ale nadpłaty PGO nie zwrócono. Pewnie dlatego, że jako pierwsze pracowały na zasadach trzech „S", korzystając przez pół roku ze starych cen zaopatrzeniowych.

Dyrektor Łódzkiego Kombinatu Państwowych Gospodarstw Ogrodniczych, Andrzej Rzeźniczak, stwierdza oględnie:

— *Prowadziłem rozmowy z elektrociepłownią przy udziale władz, ale bez rezultatu. I ceny za ciepło są nieproporcjonalnie wygórowane w stosunku do cen produktu finalnego w szklarni. A według ogrodników koszt ogrzewania nie powinien przekraczać 30 proc. wartości sprzedanej produkcji. Tak twierdzą ogrodnicy w całej Polsce, prywatni i państwowi.*

— To co dalej?

— *Jak koń ciągnie tonę na wozie przez lata i dołoży mu się ze dwa kwintale, będzie ciągnąć dalej. Ale jak się właduje trzy tony, nie ruszy...*

— Smutne porównanie. Ale poezją nie usunie się widma deficytu. Kto buduje Janów?

Rzeźniczak patrzy na mnie ponuro, z cieniem podejrzliwości w oczach. Myśli pewnie, że jak zacznie wykładać ostro, co go boli, to ze stołka go nie wykopią, najwyżej pójdzie na emeryturę. Ale on ma ambicję skończyć z tym cholernym Janowem. A jak taki pismak zapali się, jak mu się pióro rozhusta swawolnie, to wykonawca się wścieknie i nigdy nie skończy inwestycji. Pochrząkuje przeto z powagą zatroskany dyrektor Rzeźniczak i znów mówi oględnie:

— *Inwestycję szklarniową w Janowie realizuje jako główny wykonawca: Przedsiębiorstwo Budownictwa Rolniczego w Łodzi. W pierwszym okresie roboty budowlane szły dość sprawnie. Kompletująca się załoga Janowa miała możliwość rozpocząć produkcję, tak że na placu budowy, w niedokończonych szklarniach rosły dorodne ogórki i pomidory. Budowa Janowa miała być zakończona kompletnie jesienią 1980 roku. Jednakże realizacja drugiego etapu budowy szklarni i zaplecza trwa nadal i nie widać rychłego końca. W tym roku przy sprzyjających warunkach postęp robót jest bardzo znikomy. Nie wybudowano dotąd zbiorników wodnych, służących do podlewania roślin, hotelu pracowniczego i stołówki, warsztatów naprawczych, płyty betonowej na składowanie torfu i nawozów, ogrodzenia oraz innych obiektów. Taki stan utrudnia poważnie prowadzenie normalnej produkcji. Przedsiębiorstwo Budownictwa Rolniczego zamiast angażować się w budowę, śle inwestorowi aneksy przesuwające termin realizacji w nieskończoność. Poza trudnościami gospodarczymi ponosimy wysokie koszty wynikające ze wzrostu kosztów budowy. Taki stan nie wpływa mobilizująco na pracę ofiarnej załogi...*

Ja myślę! Bo przekładając słowa Andrzeja Rzeźniczaka na język konkretów należy stwierdzić, że ludzi w Janowie jasna krew zalewa. Co tu bowiem mówić o wypracowaniu zysku w obowiązujących prawach reformy gospodarczej, kiedy nie można rozwinąć w pełni produkcji. Do tego dochodzą ubytki i straty, za które nie ponoszą winy pracownicy. Gdyby były zbiorniki, to by się w nocy napełniały wodą i byłoby czym w dzień podlewać rośliny. A tak, trzaśnie pompa i wody nie ma. Za konewkę i do hydrantu! Z braku hotelu część samotnej załogi zajmuje mieszkania rodzinne. To znaczy, że jeden kawaler mieszka w M-2 lub M-3, w którym mogłaby mieszkać rodzina. A przez tę płytę składową, tzn. przez jej brak, Janów bez przerwy nękają kontrolerzy NIK. Bo torf i nawozy walają się tu i tam, przez rok marnują się tony, wsiąkają w błoto. Poza tym na miejscu można się przekonać, że zamiast solidnego ogrodzenia, które Przedsiębiorstwo Budownictwa Rolniczego powinno było wznieść najpierw, stoi nędzna prowizorka. Poharatana, pocięta, złodziejstwo grasuje po nocach, obrabia szklarnie. I z tego załoga ma wypracować zysk?

Ale tak szczerze mówiąc to w niektórych zakładach PGO sami pracownicy wynoszą pod fartuchem wiązkę goździków, torebkę pomidorów, rybkę ze stawu wyciągną, przerzucą przez płot worek jabłuszek. A powinni sobie wzajemnie patrzeć na ręce, bo co będzie z tym zyskiem do podziału? Ten, co kradnie, nie zbiednieje, a uczciwy będzie poszkodowany. To co? Brak świadomości, nieznajomość praw reformy i bodźców motywacyjnych? W polu i w szklarni nie widać tak jasno, ile się zarobiło, jak np. przy akordzie w fabryce. W PGO, owszem, jest fundusz premiowy, ale jeszcze niezbyt doskonały. Pewnie dlatego, jak się zrobi gorąco, kobiety siadają w cieniu, żeby odpocząć.

— *Mój Boże!* — broni kobiet dyrektor. — *Tego lata nasi ludzie w szklarniach przeżyli piekło!*

Potem mówi z rezygnacją:

— *W telewizji bierze się średnią krajową i w gospodarstwach państwowych wychodzi zysk. A w cieniu tej średniej wiele zakładów boryka się z ogromnymi trudnościami. U nas w gorszej sytuacji niż Janów jest PGO Widzew...*

Chodzi o ten Widzew pod Pabianicami. Wyczuwam, że Andrzej Rzeźniczak wolałby nie mówić ze mną na ten temat. Otóż w Widzewie, w latach 1973—74, Bułgarzy zbudowali wspaniały zakład szklarniowy o powierzchni 13,4 ha. Zaraz potem dyrektor pokazywał mi z dumą ten obiekt, przy czym ze szczególną satysfakcją oprowadzał mnie po nowoczesnej kotłowni, z mnóstwem różnych światełek, guzików na całej ścianie, w pełni zautomatyzowanej, która w sezonie miała spalać 17 tys. ton mazutu. Kraj obwieszony był krzepiącymi hasłami, zewsząd biła w oczy świetlana przyszłość, dobrobyt i potęga, któż więc nie pozwoliłby sobie na jakiś ekstra obiekt?

Aliści po kilkunastu latach obraz naszej potęgi nagle przybladł i resort rolnictwa w sezonie 80/81 przydzielił PGO Widzew zaledwie 7.912 ton mazutu za 16.615 tys. zł. Nastąpiło opóźnienie nasadzeń, spadła poważnie produkcja. I z takim bilansem Widzew został wpuszczony w reformę gospodarczą.

Dopóki nie zmieniono cen zaopatrzeniowych, jeszcze jakoś szło. Ale w bieżącym roku gospodarczym 82/83 za mazut trzeba płacić nie 2,10 zł, lecz 9,10 zł za kg. W związku z tym mazutu spali się za 102 mln zł. Do tego doszły podwyżki płac i innych świadczeń, wzrosły ceny słomy, obornika, środków chemicznych, nawozów, części zamiennych itd. Ilość zatrudnionych nie uległa zmniejszeniu, gdyż jest to po prostu niemożliwe. W sytuacji gdy cena mazutu skoczyła o 433 proc., zaś ceny warzyw z Widzewa średnio tylko o 90 proc., same koszty energii stanowią prawie 70 proc. wartości całej produkcji, wskutek czego zarysował się ujemny wynik finansowy w wysokości 39 mln zł.

Nikt nie neguje zasadności wprowadzania reformy gospodarczej. Bez reformy nie wyjdzie się z kryzysu. Ale, jak widać, wielu przedsiębiorstwom utrudniają życie w reformie nie tylko zaszłości, ale także współczesna, wręcz rozbójnicza polityka cenowa. I wydaje się, że wszyscy próbują się ratować jedynie za pomocą windowania cen.

Ale w przypadku PGO tak nie jest. W Widzewie planowany deficyt zamierza się obniżyć do 22 mln zł. Produkcja oraz sprzedaż rozsady pomidorów i ogórków powinny dać 5 mln zł. Jeżeli warzywa będzie się uprawiać na podłożu słomianym, to nie trzeba parować ziemi, dzięki czemu zaoszczędzi się 3 mln zł na paliwie. Ponadto istnieje nadzieja, że wiosna będzie lekka, w związku z czym zużyje się o 1000 ton mniej mazutu za 9 mln zł. Tyle że spełnienie ostatniego życzenia nie zależy od ludzi, lecz od Pana Boga.

Można by jeszcze podwyższyć ceny warzyw o 20 proc., ale to w znikomym stopniu poprawi sytuację. Wobec tego pozostaje zwrócić się o poręczenie do organu założycielskiego, aby Bank Gospodarki Żywnościowej zechciał wesprzeć finansowo PGO Widzew.

W skali całego Kombinatu nie ma strat, jest zysk. Np. w PGO Gospodarz ledwie wiąże koniec z końcem, koszty rozpoczętej przed reformą budowy stawów rybnych wzrosły pięciokrotnie, ale na szczęście tę inwestycję finansuje państwo pieniędzmi uzyskanymi z grzywien za zatrucia rzek. Nie można też mówić o zdecydowanie złej gospodarce i nieudolności w zakładach PGO. Średnie plony pomidora np. wynoszą tutaj 12 kg z metra kwadratowego i choćby na głowie stanął, więcej się nie urodzi.

Reforma wyzwala nowe inicjatywy. Zbiór płodów rolnych i owoców odbywa się teraz na akord. Dobrym tego przykładem jest sprawa cebuli w jednym z zakładów. Onegdaj załoga zbierała ją przez miesiąc, za miesięczną pensję, przy czym okoliczna ludność zdążyła pociąć siatkę i ukraść znaczną część cebuli. W tym roku załoga pracowała na akord zarabiając dziennie po 700 zł. Zebrano cebulę w ciągu tygodnia, i to wszystką.

— *Tam, gdzie nie wchodzi w grę koszt ciepła, jest zysk* — mówi Rzeźniczak. — *Zakład Rolny w Żerominie daje zysk. Ponadto mamy tam gorzelnię, gdzie akurat robi się spirytus z jabłek...*

Z jabłkami wszędzie ten sam cyrk. Kombinat PGO nie może sprzedać tyle, ile by chciał. Brak kontrahenta. Na wystawie sklepu pegeerowskiego przy ul. Północnej w dniu 22 września widziałem ładne jabłka po 12 zł za kg. Obok, na straganie takie same kosztowały 25 zł. Czy PGO nie mogą pohandlować na straganach? Mogą, ale nie potańcują z cenami, jak kjenci i handel uspołeczniony, gdyż obowiązuje ich cennik państwowy.

— *Żeby sprzedać dziesiątki ton jabłek na rynku, trzeba by oderwać od produkcji większość ludzi* — mówi dyrektor. — *Zamierzamy jednak rozszerzyć sieć naszych sklepów firmowych. Tylko, że jak na złość proponuje się nam najgorsze lokale. Gdyby np. władze Pabianic udostępniły porządny lokal, moglibyśmy uruchomić sezonową sprzedaż pomidorów z Widzewa.*

To jest ważne. W sklepach firmowych warzywa i owoce są świeże i tańsze niż w handlu uspołecznionym, nie mówiąc już o ajentach.

Z chwilą wprowadzenia reformy niektóre zakłady poczęły się nosić z zamiarem wystąpienia z Kombinatu. No bo z jakiej racji pracować na czapę administracyjną i wspierać taki deficytowy Widzew?

— *Za mój stołek pracownicy nie płacą* — stwierdza Andrzej Rzeźniczak. — *Mamy niewielką marżę w sklepach firmowych, która pokrywa koszty administracji. Ponadto marże dały dodatkowo 3600 tys. zł zysku który podzielono między wszystkie zakłady. Gdyby Widzew był poza Kombinatem, dziś nie miałby pieniędzy na wypłatę dla załogi...*

Ale Kombinat z kolei należy do Krajowego Zrzeszenia Przedsiębiorstw Ogrodniczych. Okazuje się, że płaci tylko 250 tys. zł rocznie. Korzyści są znaczne, gdyż dzisiaj trudno zdobyć na własną rękę środki chemiczne, nasiona, urządzenia, itp. Ponadto zrzeszenie ma wreszcie zapewnić zakładom stały eksport i odpisy dewizowe. Ogólnie rzecz biorąc eksport z przelicznikiem 80 zł za dolara nie wygląda intratnie, ale to tylko pozory. Bo kiedy eksport trwa cały rok, to ceny eksportowe są wyższe od średnich krajowych, a poza tym kupione za granicą wysokowydajne nasiona dają plony, które rekompensują ewentualne straty.

— Dyrektorze, nie ma nakazów?

— *Nie ma.*

— To jak ustalacie profil produkcji?

— *Każdy zakład robi to samodzielnie, w zależności od warunków i możliwości. Ale jak chodzi o produkcję zasadniczą, to ustalamy wspólnie. Nie możemy dopuścić, żeby rynek został zawalony np. samymi ogórkami, które są najbardziej opłacalne.*

Żeby współdziałanie było sprawniejsze, żeby energiczniej wdrażać reformę, dyrekcja Kombinatu PGO wystąpiła o powołanie samorządu pracowniczego. Każdy zakład utworzy własną radę pracowniczą, a ich przedstawiciele wejdą w skład samorządu Kombinatu.

„...ciałem przeważył Ziemię..."

10 października bieżącego roku cały świat poznał nowego świętego. Ale zanim w tym dniu w obecności 150 tysięcy wiernych zgromadzonych przed Bazyliką św. Piotra papież Jan Paweł II wypowiedział tradycyjną formułkę „Uznajemy i ogłaszamy błogosławionego Maksymiliana Marię Kolbego świętym i wpisujemy Go w poczet świętych oraz postanawiamy, żeby z pobożnością był czczony jako męczennik w całym Kościele Powszechnym" — wielu ludzi było świadkami niebywałego zjawiska. W sierpniu 1941 r. w oświęcimskiej fabryce śmierci ginie franciszkanin z Niepokalanowa oddając swoje życie dla ratowania życia innego człowieka. Wkrótce potem rozpoczyna się kult tego niepozornego zakonnika, z którego pozostała tylko garstka prochów w krematoryjnym piecu. Dla milionów ludzi na całym świecie ojciec Kolbe staje się symbolem zwycięstwa dobra nad złem, zwycięstwa człowieczeństwa nad bestialstwem i zbrodnią.

Rajmund Kolbe, późniejszy święty Maksymilian przyszedł na świat 8 stycznia 1894 r. w Zduńskiej Woli w rodzinie niezamożnych tkaczy. Zduńska Wola była wówczas typowym miastem przemysłowym. Trudne warunki życia robotniczych rodzin, gnieżdżących się w ciasnych domach wzniesionych jeszcze przez założyciela miasta Stefana Złotnickiego, spowodowały, że Kolbowie — podobnie zresztą jak wielu innych tkaczy, zaczęli się rozglądać za inną pracą.

Prawdopodobnie w końcu ubiegłego stulecia cała rodzina Kolbe wyjechała do Łodzi, następnie do pobliskich Pabianic. W mieście tym zakładają wkrótce niewielki sklepik z artykułami kolonialnymi. W sklepiku Juliusza można nabyć brzytwę, można się ogolić i pogawędzić. Właściciel chętnie rozmawia o Polsce, o walce z caratem i przyszłości swojej ojczyzny. Najbardziej wtajemniczonym wręcza tajne pisemko „Kiliński i Polak", za co w każdej chwili może zostać aresztowany.

W tej patriotycznej, polskiej rodzinie upływają pierwsze lata życia Rajmunda, jednego z trzech synów. Początkowo kształcą go rodzice, później edukację uzdolnionego chłopca przejmuje miejscowy aptekarz. W 1906 r. Rajmund zdaje do drugiej klasy Szkoły Handlowej, a rok później decyduje się na wyjazd do Lwowa. Ma już za sobą pierwsze nauki o franciszkańskiej idei, bowiem z wielkim zainteresowaniem słuchał kazań głoszonych w Pabianicach przez o. Peregryna Haczelę, prowincjała lwowskiego, prowadził jednocześnie ożywione dyskusje ze swoimi braćmi.

Pobyt w lwowskim seminarium nie jest bynajmniej spokojnym okresem nauki i kontemplacji. Nie sprzyja temu sytuacja kraju. Dziejowe burze zdają się nie omijać i samego Rajmunda. W którymś momencie pragnie nawet wstąpić do rewolucyjnych organizacji i walczyć o wyzwolenie Polski. Ale oprócz patriotycznych zrywów jest jeszcze jedna sprawa, pochłaniająca jego umysł i nie bardzo jakoś przystająca do klasztornego życia. Kolbego interesuje technika, marzy o lotach kosmicznych człowieka. W okresie pobytu w Rzymie pisze na ten temat artykuł pt. „Etereoplan".

Po kilku latach pobytu w lwowskim seminarium przełożeni wysyłają go na naukę do Rzymu. W stolicy katolicyzmu spędza siedem lat. Uzyskuje doktorat z filozofii, kończy teologię. Po ukończeniu Uniwersytetu Gregoriańskiego i Papieskiego Wydziału Teologicznego św. Bonawentury trafia do krakowskiego seminarium. Wykłada tu historię Kościoła i filozofię.

Ale zanim nastąpi powrót do Polski brat Maksymilian z sześcioma alumnami Międzynarodowego Kolegium Serafickiego w Rzymie w dniu 16 października 1917 r. zakłada organizację religijną pod nazwą Militia Immaculatae, w Polsce zwaną Rycerstwem Niepokalanej. Kieruje nią aż do śmierci.

W trakcie studiów Kolbe choruje na gruźlicę. Pobyt na leczeniu nie hamuje rozwoju jego organizacji. Po zatwierdzeniu jej przez papieża przybywa uczniów. Rozlegają się też głosy domagające się szerszej informacji o idei rycerskiej franciszkanów. Kolbe ma już gotowy pomysł, ale długo się zastanawia nad sposobem jego realizacji. Wiele organizacji religijnych posiada własne gazety — myśli ojciec Kolbe — ale nie są one dostępne dla przeciętnego Polaka. Trzeba zatem spowodować by trafiły do każdego wiernego. Jak to zrobić? Trzeba po prostu wydawać tanią gazetę, w wielkim nakładzie, pisaną prostym i zrozumiałym językiem.

Nie wszyscy wierzą w powodzenie jego akcji, ale Kolbe nie zraża się brakiem pieniędzy, nie przeraża go olbrzymia inflacja. Na początku 1922 r. wydaje pierwszy numer miesięcznika „Rycerz Niepokalanej". Uboga szata graficzna i stosunkowo niewielki nakład (5 tys. egzemplarzy) nie zniechęcają czytelników, wprost przeciwnie, żywo redagowany „Rycerz" wzbudza nawet zainteresowanie.

Wydawać się mogło, iż u progu lat dwudziestych wydawnicze zainteresowania Kolbego uzyskają kształt wymyślony przez ich autora. Tak się jednak nie stało, bowiem choroba znów zmusza go do długotrwałej kuracji. Zastępują go przy redagowaniu pisma współbracia, ale Kolbe chce wszystkiego dopilnować osobiście.

Gdy drukarnia franciszkanów przenosi się do Grodna, o. Kolbe ma już coraz więcej pomocników. Z okazji pięciolecia wydawnictwa otrzymuje podziękowania od papieża, biskupów polskich i wielu wiernych. Ci ostatni podkreślają, iż dzięki czytaniu „Rycerza Niepokalanej" sporo się nauczyli i nie popadli w wtórny analfabetyzm.

W 1926 r. o. Kolbe znów choruje i wyjeżdża do Zakopanego. W redakcji zastępuje go rodzony brat, o. Alfons Kolbe. Dyrektor wydawnictwa ma teraz więcej czasu na przemyślenia. Postanawia przenieść drukarnię bliżej stolicy i rozwinąć działalność wydawniczą. Pomysł stworzenia nowego klasztoru-wydawnictwa w Teresinie wydał mu się najbardziej realny.

Realizacja zamiaru Kolbego nie trwała długo. Gdy książę Jan Drucki-Lubecki ofiarował odpowiedni teren na budowę klasztoru, pośpiesznie przystąpiono do robót budowlanych. Jeszcze przed zimą wzniesiono baraki, w których umieszczono kaplicę, halę maszyn z zecernią i redakcją, kuchnię, jadalnię i sypialnię. W końcu listopada 1927 r. przeniesiono tu wydawnictwo liczące wówczas 20 pracowników. Nowe osiedle nazwano Niepokalanowem.

Nie minęły nawet dwa lata od założenia Niepokalanowa i kilka miesięcy od utworzenia seminarium, gdy o. Kolbe postanawia tworzyć podobne placówki w innych rejonach świata. W lutym 1930 r. wraz z kilkoma braćmi wyjeżdża na Daleki Wschód, zamierzając osiedlić się w Chinach, Japonii, Indiach, a następnie w Libanie. Misyjna działalność napotyka jednak na liczne przeszkody. Po niepowodzeniach w Szanghaju dociera zatem do Nagasaki, gdzie dopiero dzięki życzliwości japońskiego biskupa J. K Hayasaka zakłada wydawnictwo. Mimo podupadającego zdrowia w diecezjalnym seminarium wykłada filozofię.

O niespożytej energii o. Kolbego świadczy najlepiej fakt, iż już po miesiącu pobytu w Nagasaki ukazuje się pierwszy numer „Rycerza" w wersji japońskiej i w nakładzie 10 tys. egz. W 1936 r. pismo osiąga już nakład sześciokrotnie większy.

W 1936 r. przełożeni odwołali o. Kolbego z Japonii i powierzyli mu obowiązki gwardiana w Niepokalanowie. Bardziej jednak chodziło o ratowanie zdrowia brata Maksymiliana, dla którego Japonia była terenem bardzo trudnym i wyczerpującym siły. Liczono także, iż Kolbe wprowadzi kolejne ulepszenia organizacyjne.

W latach trzydziestych Niepokalanów stał się już bardzo prężnym ośrodkiem życia religijnego i wydawniczym. Drukowano tu sporo pism. O. Kolbe, baczny obserwator życia w kraju i zwolennik nowych technik w propagandzie, oprócz prasy zamierzał jeszcze wykorzystać radio. 8 grudnia 1938 r. po raz pierwszy przemówił w studio niepokalanowskiej krótkofalówki. Trwały także przygotowania do uruchomienia własnego lotniska i do zakupu samolotu dla utrzymywania łączności między centralnym domem a filiami wydawnictwa.

Kolbe dostrzegał groźbę wojny. 6 kwietnia 1939 r. w imieniu swoim i ponad 600 braci z Niepokalanowa przekazuje Rydzowi-Śmigłemu 1200 zł z przeznaczeniem na uzbrojenie armii polskiej. Pieniądze pochodzą z oszczędności na zużyciu cukru. Zbliża się wojna. Na krótko przed tragicznym Wrześniem pisze do gwardiana japońskiego Niepokalanowa: *„Nie wykluczone, że gdy list ten dojdzie, coś może się już zdarzyć".*

Wojna zahamowała rozkwit dzieła o. Kolbego. 5 września wielu braci opuszcza Niepokalanów. Niewielka gromadka zakonników wraz z o. Kolbe nie opuszcza murów klasztoru. W końcu miesiąca wszyscy udają się na tułaczkę po niemieckich obozach. 8 grudnia udaje im się powrócić do Niepokalanowa, ale nad klasztorem pojawiają się czarne chmury.

O. Kolbe mimo wojny nie chce przerywać działalności. Jeszcze w grudniu władze niemieckie w Sochaczewie otrzymują jego prośbę o pozwolenie wydawania „Rycerza". Zachował się jeden z listów w tej sprawie skierowany do władz, w którym Kolbe pisał m.in.: *„Co do miesięcznika RYCERZ NIEPOKALANEJ uważam, że przyczyni się do dobra ogólnego, a to z następujących powodów: 1. Ja i Pan za lat 100 czy 200 żyć już nie będziemy i wtedy ustaną wszystkie sprawy choćby najpilniejsze i najważniejsze i pozostanie tylko jedna: czy i gdzie wtedy będziemy?... Wreszcie chciałbym zaznaczyć, że nie czuję nienawiści do nikogo na świecie".* Pismo to nosi datę 16 lutego 1940 r. Jeden numer „Rycerza" ukazał się drukiem. Było to wydarzenie niezwykłe nie tylko dla garstki zakonników Niepokalanowa.

W klasztorze o. Kolbe dostrzegał nie tylko ośrodek życia religijnego. W trudnych dniach okupacji braciszkowie naprawiali maszyny i narzędzia okolicznych chłopów. Budynki klasztorne otwarto dla kilku tysięcy wysiedleńców z Wielkopolski i Pomorza, wśród których byli zarówno Polacy jak i Żydzi.

Niemcy bacznie obserwowali działalność o. Kolbego. Wiedzieli, że jest znany, i że cieszy się szacunkiem. Próbowali więc wykorzystać jego nazwisko i namówić go do przyjęcia obywatelstwa niemieckiego. Oczywiście o. Kolbe odmówił.

17 lutego 1941 r. na teren klasztoru przybyli gestapowcy. O. Maksymilian dyktował właśnie nową książkę. Wraz z czterema innymi mieszkańcami Niepokalanowa wywieziony został na Pawiak. Spokojny, opanowany, wzbudzał szacunek, ale i nienawiść. Tak zresztą będzie później, gdy przyjdzie mu żyć za drutami Oświęcimia.

Koniec maja 1941 r. O. Kolbe jest już w transporcie więźniów do obozu zagłady. Gdy wkrótce staje się numerem 16670, odarty z zakonnych szat, bezbronny i schorowany nie traci wiary w zwycięstwo. Spowiada więźniów, pociesza i w chwilach załamania przynosi kojący spokój.

Jest coś zadziwiającego w postępowaniu Kolbego w tych ostatnich miesiącach jego życia. Mimo bicia, mimo ponadludzkiej pracy zachowuje postawę godną człowieka. Dzieli się swoją

Budowa ośrodka im. ojca Maksymiliana Kolbe w Zduńskiej Woli
Foto: E. Kudaj

Franciszek Gajowniczek z żoną Heleną

skromną kromką chleba. Mimo tych wszystkich okropieństw, jakich nie szczędziła ludziom fabryka śmierci znajduje w sobie tyle siły, by wygłosić szkic teologiczny dla grona swych najbliższych towarzyszy.

Któregoś dnia z bloku 14, tego samego w którym przebywa o. Maksymilian, ucieka jeden z więźniów. Do więźniów zgromadzonych na apelplatzu przemawia zastępca Hessa, lagerfuhrer Fritzsch, znany ze swojej zbrodniczej działalności w obozie. Wybiera dziesięciu, którzy mają zginąć śmiercią głodową. Jest wśród nich Franciszek Gajowniczek, dawny podoficer 36 pułku piechoty, ojciec dwóch synów. Ofiara Fritzscha jest zrozpaczona. Wszystko to obserwuje o. Kolbe. Prosi oprawcę o zgodę na zastąpienie nieznanego więźnia. „Bo on ma żonę i dzieci — wyjaśnia — a ja jestem samotny".

Świadkowie tamtej sceny wspominają, iż hitlerowski oprawca był zdziwiony. Takiej reakcji się nie spodziewał. W rozmowie z Kolbe przeszedł nawet z formy „ty" na „pan", co nie przeszkodziło mu jednak wypełnić swojego zbrodniczego postanowienia.

O. Kolbe umieszczony został w bunkrze głodowym. Żył jeszcze przez pewien czas. 14 sierpnia otrzymał śmiertelny zastrzyk fenolu. Ciało jego spłonęło w krematoryjnym piecu.

Franciszek Gajowniczek mieszka dziś w małym domku przy ul. Pstrowskiego w Brzegu. W pokoju na pierwszym piętrze znajduje się podobizna duchownego, pod którą czasem zapalają się świeczki. Sędziwy gospodarz patrzy wówczas na oblicze człowieka, który bezinteresownie oddał za niego swoje życie.

Franciszek Gajowniczek poznał doskonale życie i działalność o. Maksymiliana. Ten nieznany mu wcześniej człowiek stał się niezwykle bliski zarówno jemu, jak i jego rodzinie. Dla Gajowniczka, więźnia nr 5659, ojciec Maksymilian to nie tylko oświęcimska ofiara z nr 16670 na pasiaku, ale symbol człowieczeństwa.

Dla Gajowniczka o. Maksymilian stał się treścią życia. Uczestniczył przed laty w beatyfikacji Kolbego, 10 października znalazł się wśród wiernych na placu przed Bazyliką św. Piotra.

24 maja 1948 r. rozpoczął się proces informacyjny w sprawie beatyfikacji o. Maksymiliana. Przez wiele lat zgromadzono kilkadziesiąt ksiąg dokumentów dotyczących postaci o. Maksymiliana. Po burzliwych dyskusjach udało się w końcu całą sprawę doprowadzić do końca. 10 października o. Kolbe rodem ze Zduńskiej Woli stał się świętym.

W tym miejscu warto przypomnieć znamienną wizytę w naszym kraju delegacji zachodnioniemieckich biskupów z czerwca br. Ostatniego dnia wizyty w Polsce delegacja z kard. Józefem Höffnerem odwiedziła Oświęcim, tu wspólnie z biskupami polskimi nastąpiło podpisanie petycji do papieża. Czytamy w niej m.in.:

Ojcze Święty, my biskupi polscy, wspólnie z biskupami niemieckimi zwracamy się do Waszej Świątobliwości z gorącą prośbą, by Wasza Świątobliwość raczył uznać i łaskawie podać do publicznej wiadomości, że bł. Maksymilian Kolbe poniósł śmierć męczeńską i stał się w pełnym tego słowa znaczeniu męczennikiem wiary katolickiej.

(...) Cała ideologia narodowego socjalizmu (hitleryzmu) była jaskrawym przeciwieństwem etyki chrześcijańskiej. Przejawiało się to szczególnie w miejscu totalnej zagłady wielu milionów ludzi, gdzie z premedytacją łamano wszelkie prawa Boskie i ludzkie".

Na zakończenie przytoczmy jeszcze fragment przemówienia zmarłego przed rokiem kardynała Stefana Wyszyńskiego, prymasa Polski, wygłoszonego w Bazylice Dwunastu Apostołów w Rzymie w 1971 r.

„Wczoraj w obliczu ludów i narodów ojciec święty Paweł VI podniósł ubogiego z prochów i pyłów krematoryjnych i z książętami „na ławie posadził" w Królestwie Bożym. Oddano Mu najwyższą cześć. Rozważmy, że mocarze, którzy zmagali się w tej potwornej wojnie, poszli w niepamięć, albo przeszli do dziejów z najstraszliwszą, zaszarganą opinią. (...) Dlatego możemy śmiało powiedzieć, że wojnę światową wygrał ojciec Maksymilian Maria Kolbe.

Rodzinne miasto Maksymiliana Kolbego. Tu w drewnianym domu przy ul. Browarnej (dziś nosi imię Świętego) przyszedł na świat oświęcimski męczennik. Kilka ulic dalej w pobliżu kościoła powstaje Ośrodek Pamięci Maksymiliana Kolbego. W zrekonstruowanym domu o. Maksymiliana powstanie niezwykłe muzeum, w którym będzie można zobaczyć pamiątki po wielkim zduńskowolaninie, a także liczne dokumenty ukazujące męczeństwo Polaków, podczas ostatniej wojny. Ksiądz Kazimierz Chłopecki, proboszcz i troskliwy administrator twierdzi, iż już niedługo obiekt ten służyć będzie społeczeństwu.

W rodzinnym mieście pamięć o o. Maksymilianie jest ciągle żywa, jak żywa jest w pamięci milionów ludzi na ziemi, którzy przez kilkadziesiąt lat oczekiwali na moment kanonizacji. Znamienną refleksję zawierają słowa zduńskowolskiego poety Feliksa Rajczaka:

On swoim ciałem przeważył
Ziemię
I tych co na niej posiali
Ciemność

RYSZARD PORADOWSKI

LUCJAN CIEŚLAK

Wyprzedził swój czas

Mający chlubne tradycje, sięgające jeszcze czasów Władysława IV, ród Szymanowskich zamieszkiwał w Tymoszówce na Ukrainie, a więc na terenach dla Polski etnicznie obcych, w starym dworku szlacheckim, jakich wiele było rozsianych wówczas na tych terenach. Teresa Chylińska pisze, że *„...ojciec naszego kompozytora, Stanisław — podobnie jak jego przodkowie — troskliwie pielęgnował ojczyste tradycje kulturalne i szlacheckie obyczaje"*, że *„z dumą podkreślał niezależność Polaków od zaborcy"*.

I. Przemiany społeczne, jakie dokonały się w Rosji w drugiej połowie XIX wieku, szczególnie po ogłoszeniu ukazu o zniesieniu pańszczyzny, rodzina Szymanowskich niewiele odczuła. Zasobny i bogaty dwór od dawna już nie korzystał z pańszczyźnianych form pracy, co też nie pociągnęło za sobą powstania konfliktów między miejscową ukraińską ludnością a właścicielem dworu. Może właśnie tym należy tłumaczyć przynajmniej niewrogi stosunek tej społeczności do Szymanowskich podczas rewolucji 1917 r. Dom Szymanowskich był więc jakby wyspą, oazą polskości wśród etnicznie obcej ludności. W takim zakątku, z dala od rdzennej Polski, upływały dziecięce lata młodego Karola. Zrozumiałe, że wychowywany w domu o takich tradycjach kompozytor musiał mieć od dzieciństwa zaszczepioną przez rodziców miłość do kraju ojczystego.

Ostatnie dwudziestolecie XIX wieku, na który przypada dzieciństwo Karola Szymanowskiego, przynosi Rosji przemiany w każdej dziedzinie życia społecznego, ekonomicznego, politycznego, a także artystycznego. Rewolucyjny ruch postępowej inteligencji lat 60-tych, słynne „rosyjskie oświecenie", jego demokratyczna ideologia, której wyrazicielami w muzyce była „Potężna Gromadka", znacznie osłabł, ponadto nastąpił rozłam wśród *na* ogół zwartej dotychczas inteligencji. Ten rozłam znalazł także odbicie w sztuce. Powstały wówczas dwa nurty:

— modernistyczny — oparty na estetyce, jak ją dawniej określano „sztuki czystej", przejawiającej się w eksperymentatorstwie, nowatorstwie, nawiązujący do kierunków zachodnich. Ten kierunek — jak twierdzi Zofia Lissa — wyrósł na podłożu *„filozofii subiektywizmu, agnostycyzmu, na podłożu biernej postawy społecznej, ucieczce przed rozwiązaniem trudnych problemów społecznych, jakie w tym czasie stawiało życie przed inteligencją;*

— realistyczny — nawiązujący do dawnych rosyjskich tradycji.

Ta niespójność kierunków przejawiała się również wyraźnie w muzyce. Z jednej strony mamy do czynienia z kontynuacją tradycji „Potężnej Gromadki" i Piotra Czajkowskiego, a z drugiej poszukiwanie nowych dróg, nawiązujące do tendencji, jakie zaznaczyły się na zachodzie, reprezentowane w Rosji przez Aleksandra Skriabina, Włodzimierza Riebikowa, Mikołaja Czerepnina, a także jedynego dodekafonisty rosyjskiego — Mikołaja Rosławca, a przed pierwszą wojną światową — Igora Strawińskiego i Sergiusza Prokofiewa.

W jakim stopniu ta sytuacja polityczna, społeczna, a przede wszystkim artystyczna miała wpływ na kształtowanie się osobowości twórczej Karola Szymanowskiego, który — jak już wspominałem — stosunkowo wcześnie zaczął komponować? Problemy polityczne i społeczne w zasadzie aż do pierwszej wojny światowej nie znajdowały żadnego oddźwięku w dworku Szymanowskich, a tym samym i u Karola, gdyż ani ideologia organizacji robotniczych, ani reakcyjna polityka carsko-burżuazyjnych sfer — wobec patriotycznie nastawionego polskiego środowiska, jakie skupiało się w dworku Szymanowskich — po prostu nie miały tu szans oddziaływania Możliwe jedynie mogły być wpływy ówczesnej muzyki rosyjskiej.

Kompozytor wspominał, że jako kilkuletnie dziecko zobaczył w Elizawetgradzie (dziś Kirowograd) wystawioną przez objazdowy zespół teatralny „Rusałkę" Aleksandra Dargomyżskiego. Do czasu wyjazdu na studia do Warszawy (1901) to właściwie wszystkie kontakty z muzyką rosyjską (a więc prawie żadne). Wprawdzie — stwierdzał kompozytor — opera ta zrobiła na nim wielkie wrażenie, ale nie musiało być ono trwałe, skoro w domu — pisze Teresa Chylińska — w salonie koło fortepianu królowały stale sprowadzane nuty F. Chopina, W. A. Mozarta, L. van Beethovena, R. Wagnera i R. Straussa. Zainteresowanie niemieckimi twórcami szczególnie wzrosło po podróży do Szwajcarii, kiedy to jako 12-letni chłopiec, zobaczył w Wiedniu „Lohengrina" R. Wagnera. Do domu z tej podróży przywiózł Szymanowski znów cały plik utworów niemieckich twórców, których dzieła pilnie studiował. I tak nad kształtowaniem się jego osobowości artystycznej zaciążyli niemieccy romantycy.

Jak z powyższego wynika, uprzedzenia narodowe odgrodziły wówczas młodego K. Szymanowskiego od nowych prądów, jakie rodziły się w ostatnim dwudziestoleciu w Rosji i skierowały go ku muzyce zachodniej.

II. A jak kształtował się jego światopogląd od chwili rozpoczęcia studiów? Głęboki patriotyzm kazał ojcu Szymanowskiego posłać Karola w 1901 r. na studia do Warszawy. Nasza stolica — w porównaniu z Moskwą czy Petersburgiem — była raczej ubogą krewną tych wielkich już metropolii, gdzie kwitło bujne życie muzyczne i grupowali się wielcy artyści. Studia muzyczne w Warszawie pozbawiły Karola kontaktu nie tylko z wielu czołowymi ówczesnymi twórcami rosyjskimi, ale także z rewolucyjnym środowiskiem studentów rosyjskich. Trudno się też dziwić, że nie ma żadnych informacji o jakimkolwiek jego udziale w ruchach rewolucyjnych w 1905 r., które przecież ogarnęły i nasz kraj.

Wychowany w zamkniętym przed rosyjskimi wpływami dworku tymoszowieckim, a w Warszawie pod opieką stryja Marcina Szymanowskiego, Karol poświęcił się całkowicie muzyce. Józef Chominski stwierdza, że dopiero wówczas — w Warszawie — oddziałał na niego modernizm rosyjski, a właściwie tylko Aleksander Skriabin. W okresie swych studiów u Zygmunta Noskowskiego podobno przesiadywał całymi dniami nie tylko nad analizą twórczości Fryderyka Chopina, ale i Aleksandra Skriabina, jako że ten modernista rosyjski wysnuwał dalsze konsekwencje z muzyki F. Chopina, czego polscy następcy naszego wielkiego mistrza nie byli w stanie zrobić. J. Chominski doszukuje się nawet analogii w postawach estetycznych obu twórców. Stwierdza, że wychowanie obu w cieplarnianej rodzinnej atmosferze i uwielbieniu ze strony najbliższego otoczenia sprzyjało rozwojowi u nich egocentryzmu, co w konsekwencji doprowadziło ich do wybujałego indywidualizmu. Zainteresowania różnymi dziedzinami sztuk — literaturą, sztukami plastycznymi, a nawet filozofią, pozwoliły na wczesne uformowanie się osobowości twórczej obu kompozytorów. Postawa artystyczna Skriabina stała się też dla Szymanowskiego drogowskazem. Widział on swoje zadanie — jak i Skriabin — w ustawicznym doskonaleniu języka muzycznego i rozwijaniu jego środków. W tym właśnie przejawiała się jedna z najistotniejszych cech osobowości obu tych kompozytorów.

Muzyka służyła im zawsze do wyrażania określonych idei. U Skriabina — wobec rozbicia ideologicznego ówczesnej inteligencji, ulegającej mistycyzmowi, pesymizmowi, ucieczce w świat sztuki, odrzucającej na ogół marksistowską filozofię materialistyczną — wyrażała się w osobliwej koncepcji filozoficznej jego dzieł, która co prawda jest dziś w Związku Radzieckim podważana, jako pochodząca od osób trzecich. Bez względu jednak na to jak ocenilibyśmy twórczość Skriabina od strony ideologicznej, jedno nie ulega wątpliwości: jest ona wyrazem głębokich przeżyć człowieka, wyraża jego dążenia, wzloty i wewnętrzne konflikty, porusza najistotniejszą stronę psychiki ludzkiej, mianowicie nieugiętą wolę twórczą jako odpowiedź artysty na przejawy otaczającego go świata, odtwarza w genialny sposób cały niepokój ówczesnej epoki, wraz z jego walką, przeciwieństwami społecznymi i ideologicznymi oraz powikłaniami. Skriabin w sztuce widział moc oczyszczającą, prowadzącą człowieka do światła i prawdy. Tego rodzaju ideologia tkwiła swymi korzeniami w ówczesnej filozofii idealistycznej.

Tą ideologią odbiła się również w Karola Szymanowskiego — jeszcze nawet w drugim okresie twórczości — w powieści „Efebos", która, jak wiemy, stała się punktem wyjścia dla opery „Król Roger". U obu twórców zresztą widoczne są wyraźne pokłady filozofii mistycznej; u Szymanowskiego doszukać się ich można w III symfonii „Pieśń o nocy".

III. Jednak nie dość głęboko musiała ona tkwić w psychice K. Szymanowskiego, skoro w późniejszym okresie, a zwłaszcza po 1920 roku, zacznie go interesować społeczna rola kultury muzycznej i jej wychowawcze znaczenie, co się wyraziło w jego wielu artykułach na ten temat. Korzenie tych zainteresowań tkwią jednak w innym podłożu.

Koncepcje nowatorskie muzyki Karola Szymanowskiego — podobnie zresztą jak całej „Młodej Polski" — nie spotkały się ze zrozumieniem środowiska warszawskiego. Zasada „dwóch wrogów" nie widziała miejsca dla twórców, którzy reprezentowali inny nurt, niż kontynuacja tradycji moniuszkowskich. Ze wszechmiar szanowany Aleksander Poliński, nie odmawiając twórcom „Młodej Polski" talentu, stwierdzał w 1907 roku, że *„kompozytorzy znajdują się w sferze jakiegoś złego ducha, który ich twórczość deprawuje, stara się wyzuć z oryginalności indywidualnej i narodowej i przemienić w papugi naśladujące niezdarnie głosy Wagnera i Straussa"*.

Trudno dziwić się też, że takie przedsiębiorstwa jak polskie wydawnictwa czy warszawska filharmonia nie kwapiły się z popularyzacją dzieł kompozytorów „Młodej Polski". Najboleśniej odczuwał to Karol Szymanowski, co jednak nie zraziło go do obranego już kierunku twórczości. Uznanie znalazł w ojczyźnie Wagnera i Straussa, czego dowodem są jego sukcesy w Wiedniu i Berlinie.

Głosy o mającej wkrótce wybuchnąć wojnie, o zbrojnych przygotowaniach rodaków przy boku Austrii do walki o odzyskanie niepodległości nie dochodziły do świadomości Karola Szymanowskiego. W ciągłych podróżach pomiędzy Tymoszówką, Warszawą, stolicami państw zachodnich, a nawet Afryką, nie miał czasu na udział w jakichkolwiek przedsięwzięciach politycznych. Swoją rolę widział w dalszym ciągu w tworzeniu muzyki.

Okres wojny spędzonej w Tymoszówce, kiedy to kompozytor nawiązał kontakty ze światem muzycznym Petersburga i Moskwy, co przyniosło mu wiele sukcesów, był dla naszego kompozytora jednocześnie okresem, kiedy poznawał społeczność rosyjską świata muzycznego (na zrozumienie problemów społecznych narodu rosyjskiego trzeba było jeszcze poczekać). Urok muzyki I. Strawińskiego, a przede wszystkim wrażenia wyniesione z podróży do Włoch i Afryki, burząc dotychczasową koncepcję jego muzyki, zabarwiły ją orientalizmem i starożytnością. Słuchacze rosyjscy z uznaniem przyjmowali twórczość K. Szymanowskiego i uważali go za jednego z wyrazicieli modernizmu.

Tymczasem dla Karola Szymanowskiego przyszły złe czasy; najgorsze w 1917 roku. Parcelacja ziem Tymoszówki i przejęcie budynków gospodarczych wraz z dworkiem przez państwo, postawiło Szymanowskich w trudnej sytuacji materialnej. Ciągłe walki różnych ugrupowań politycznych nie ominęły i Elizawetgradu, gdzie Szymanowski schronił się wraz z rodziną. Czy zrozumiał wówczas istotę przemian społecznych, jakie zachodziły w Rosji? Nie od razu. To, że opowiedział się po stronie czerwonych, że był nawet komisarzem „po dielam isskustw" i współredaktorem miejscowego organu prasowego — jeszcze wszystkiego nie tłumaczy. Był przecież wychowany od dzieciństwa w duchu miłości ojczyzny i wrogo nastawiony do rządów carskich, a to wystarczyło, żeby stanąć po stronie przeciwników cara. Stopniowo jednak musiał zgłębić istotę przemian społecznych, od których był od urodzenia izolowany, zrozumieć ich sens, bo w 1924 roku, w odpowiedzi na antyradziecką propagandę dotyczącą muzyki tego kraju, w artykule zamieszczonym w „Rzeczpospolitej", pisał, że *„w Polsce stosunek do muzyki rosyjskiej od dawien dawna musiał mieć polityczne zabarwienie i że właśnie w tym wypadku niemożliwością było wymagać od nas sprawiedliwego i bezwzględnego obiektywizmu. Dziś zasadniczo obojętnym winien być polityczno-społeczny stan narodu zdolnego wnieść istotne wartości do ogólnoludzkiego skarbca kultury"*. Widocznie nie uważał za złe przejęcie władzy przez lud, skoro naród rosyjski — jego zdaniem — i w tym ustroju społeczno-politycznym mógł wnieść nowe wartości do muzyki.

Zachodzi pytanie czy rewolucja znalazła jakieś odbicie w twórczości K. Szymanowskiego? Żadne! A przynajmniej nie znalazłem odpowiednich informacji. Szymanowski był Polakiem—patriotą i uważał, że jego miejsce jest w Polsce. Przy czym nie znalazłem w jego wypowiedziach ani słowa w jakiej Polsce — socjalistycznej czy burżuazyjno-demokratycznej. Z całą pewnością mogę stwierdzić, że gdyby takie pytanie zadano wówczas Szymanowskiemu, odpowiedziałby, że w *„wolnej Polsce"*. I do takiej przybył, by na swoim odcinku wziąć udział w jej budowie. Nie wiązał się jednak z żadnymi partiami politycznymi.

IV. W okresie budowy naszej państwowości od podstaw nie było jeszcze miejsca dla muzyki. Dlatego też Paweł Kochański w 1920 roku, po koncercie o niezbyt licznej frekwencji, powiedział do kompozytora:

„Tutaj teraz nie sztuka ludziom w głowie; wszystko się dopiero od podstaw odbudowuje, my jesteśmy trochę jak luksusowy dodatek. Ludzie mają teraz inne potrzeby codzienne — prostsze".

Przyczyna niepowodzeń koncertu miała jednak głębsze podłoże. K. Szymanowski odczuł to od razu. *„Stwierdziłem ponownie to — powiedział wówczas kompozytor — co przed siedmiu laty zmusiło mnie już raz do opuszczenia Warszawy, mianowicie, iż pomiędzy mną a publicznością polską nie ma żadnego realnego kontaktu, że jestem im obcy, niezrozumiały... Europejska atmosfera mojej sztuki jest wprost nie do połknięcia dla tutejszego prowincjonalizmu. Zawadzam im, bo kompromituję i demaskuję..."* Była to prawda i inaczej być nie mogło. Uważano bowiem, że — jak dawniej — sztuka musi stać na straży tożsamości narodu, a taką mogła być tylko sztuka narodowa. Zakodowany w umysłach Polaków nurt narodowej muzyki polskiej, upowszechniany przez dziesiątki lat w ogniu walki z rusyfikacją i germanizacją, tkwił jeszcze tak głęboko, że Szymanowski nie miał szans, aby jego europejska sztuka znalazła uznanie.

Zniechęcony kompozytor wyjechał na zachód — do Francji, Anglii, USA — i tam uznanie znalazł. Dla K. Szymanowskiego był to jednak połowiczny sukces. W Stanach Zjednoczonych tęsknił do Polski; nie uległ namowom Pawła Kochańskiego, aby pozostać na obczyźnie. Kompozytor zrozumiał, że mimo wszystko jego miejsce jest w kraju. Zrozumiał też, że tylko on może przynieść wolnej Polsce muzykę godną jej miejsca w świecie — muzykę narodową.

„Niech będzie narodowa w rasowej swej odrębności — sądził wówczas — *niech jednak dąży bez lęku tam, gdzie wnoszone przez nią wartości stają się już ogólnoludzkimi, niech będzie narodowa, lecz nie prowincjonalna. Niech wszelkie prądy, rodzące się w sztuce światowej, swobodnie przepływają i przez naszą sztukę"*.

Ponowne zetknięcie się z muzyką I. Srawińskiego oraz zainteresowanie folklorem góralskim było już wcześniej pierwszą oznaką formującego się nowego światopoglądu artystycznego kompozytora. Nadał swej muzyce i nowoczesny, i narodowy charakter. Zdobył też sławę w całym świecie.

A w Polsce? Henryk Opieński po wystawieniu w 1925 roku opery „Król Roger" pisał:

„...dzieło to zajmie niewątpliwie bardzo znaczące miejsce; stanie się to jednak dopiero po upływie pewnego czasu, to jest wtedy, kiedy ewolucja gustów naszej publiczności postąpi na tyle, że będzie mogła zrozumieć piękność dzieła i istotną jego wartość ocenić".

V. Karol Szymanowski, świadomy swej roli, rozpoczął walkę o tę ewolucję. Jedną z dróg miało być oddziaływanie poprzez prasę i unowocześnienie Konserwatorium Warszawskiego. Pisał więc wiele artykułów, w których określał wychowawcze znaczenie sztuki, konieczność unowocześnienia polskiej muzyki, itp. Słowem stał się działaczem społecznym na niwie muzycznej.

„Czuję dziś wprost na sobie ogromną odpowiedzialność, już nie wobec mojej kompozycji wyłącznie — pisał kompozytor do Zofii Kochańskiej — *ale wobec całej mojej roli — powiedzmy społecznej..."*

Sytuacja w kraju zdawałaby się nieco sprzyjać zamierzeniom kompozytora. W planach rządowych przyszedł czas na reformę Konserwatorium Warszawskiego. Ministerstwo Wyznań i Oświecenia Publicznego zaproponowało przeprowadzenie jej Karolowi Szymanowskiemu, wraz z objęciem przez niego funkcji dyrektora. Rezygnując z analogicznej funkcji w Kairze, Szymanowski podjął się tego niezbyt przyjemnego zadania.

„Ministerstwo użyło mnie po prostu jako miotły do wymiatania całego tego zastarzałego śmiecia" — mówił Szymanowski. Konserwatorium przeszło jednak w ręce młodych, pełnych zapału profesorów, odważnych, którzy wierzyli w ideę Karola Szymanowskiego. Kompozytor zaś zaczął zaznajamiać młodych potencjalnych twórców sztuki muzycznej z nowoczesnymi europejskimi prądami. Posunięcia administracyjne Szymanowskiego nie były jednak popularne wśród wielu starszych, często wpływowych osobistości. Przysporzył sobie tym wielu wrogów, którzy nie ominęli żadnej okazji do dyskredytowania go w oczach władz i społeczeństwa, eksponując zwłaszcza słabe strony jego rządów w Konserwatorium.

Bo co tu dużo mówić, Karol Szymanowski był znakomitym kompozytorem i nauczycielem, ale słabym organizatorem. Źle funkcjonowały zwłaszcza sprawy finansowe szkoły. Wyczerpany nerwowo i nadwerężonym zdrowiem, po dwóch latach zrezygnował z dyrektorstwa, przekazując je w ręce swojego młodego następcy — Zbigniewa Drzewieckiego i udał się na kurację. Ale ani Ministerstwo, ani Karol Szymanowski nie zrezygnowali ze swoich zamiarów. Mianowanie kompozytora na pierwszego rektora Wyższej Szkoły Muzycznej oznaczało kontynuację rozpoczętego już raz dzieła.

„Niech wielkie imię Fryderyka Chopina... pozostanie tu jako jednoczące nas hasło na straży prac naszych i trudów, które dziś oto podejmiemy społem dla dobra, najpiękniejszego rozwoju i chwały Muzyki Polskiej" — ślubował K. Szymanowski.

Niedługo przyszło mu cieszyć się nową uczelnią, nadaniem doktoratu „honoris causa" przez UJ i innymi zaszczytami. *„Na każdym polu pracy społecznej* — mówił — *śmiałe idee reformatorskie wywołują z matematyczną ścisłością starannie zorganizowany opór stęchłej rutyny i tradycjonalnego szablonu"*. Przeciwnicy pałali wprost nienawiścią do kompozytora. Pod ich wpływem nowy minister, Janusz Jędrzejewicz, niekompetentny w sprawach sztuki, nie rozumiejący ważkich interesów kultury, podjął decyzję likwidacji WSM, a Karol Szymanowski 1 maja 1932 roku podał się do dymisji.

Nowoczesna polska muzyka narodowa Karola Szymanowskiego, uznana już w świecie, musiała stać się własnością całego narodu, ale wobec mocno zakorzenionych tradycji, i partykularnych interesów niektórych jednostek nie było to w ówczesnych czasach możliwe. Przebudowa mentalności narodu w tym zakresie, po wielu dziesiątkach lat niewoli, mogła być tylko zamierzeniem długofalowym i przeprowadzenie jej było ponad siły jednego człowieka, a nawet ponad siły jednej generacji.

Potwierdziła to historia.

■

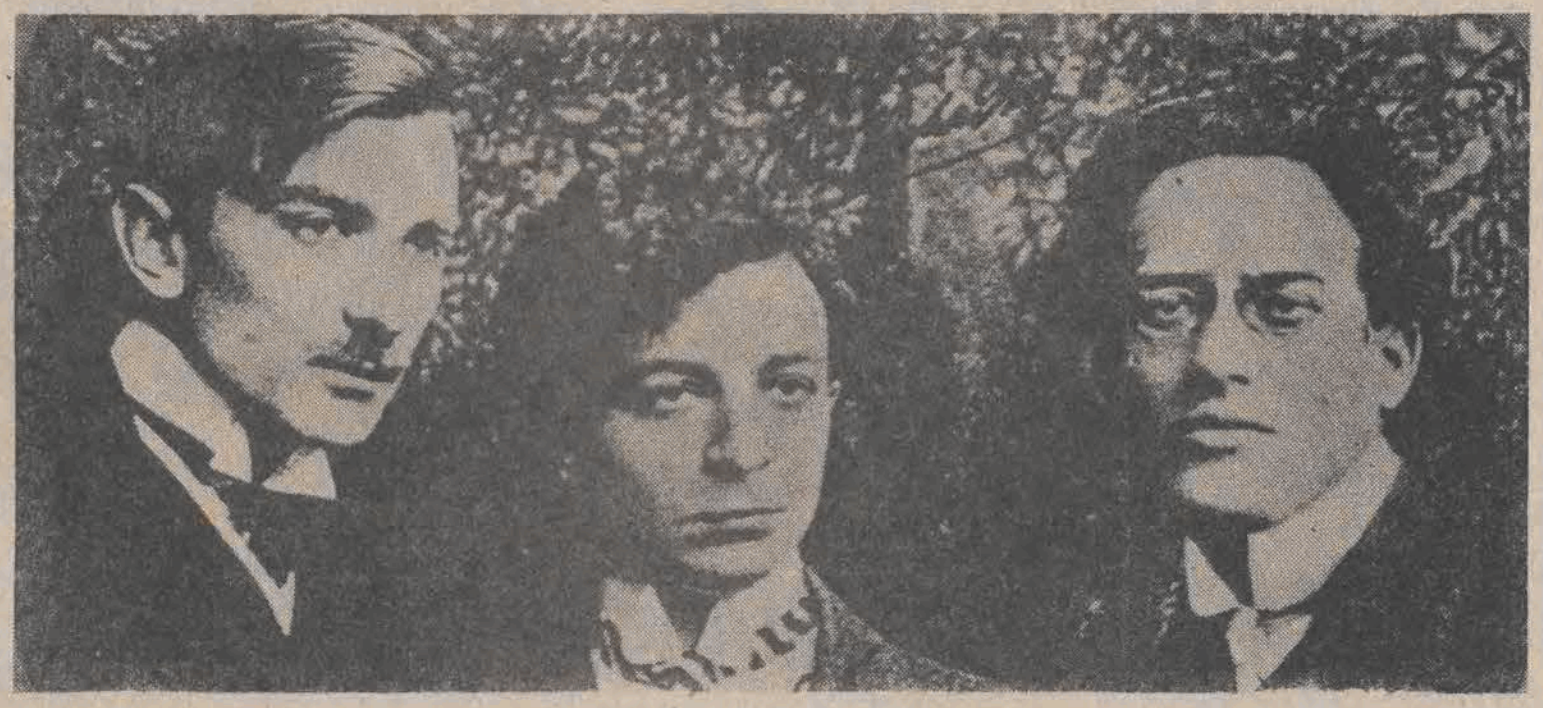

Kronika kulturalna

W miniony czwartek, w Muzeum Historii Miasta Łodzi odbyła się wojewódzka uroczystość z okazji *Dnia Edukacji Narodowej.* Na uroczystości byli obecni, poza nauczycielami oczywiście, prezydent Łodzi — Józef Niewiadomski, sekretarz KŁ PZPR — Konrad Janio, członek WRON, komisarz wojskowy województwa miejskiego łódzkiego — płk dypl. Kazimierz Garbacik, prezes WK ZSL — Jerzy Chojnacki, przewodniczący ŁK SD — Stanisław Żałobny oraz kurator m. Łodzi — Zygmunt Mikołajewicz. W czasie uroczystości zasłużonym w działalności oświatowo-wychowawczej nauczycielom wręczono odznaczenia i nagrody państwowe i resortowe. Medalami Edukacji Narodowej odznaczono 21 osób. Krzyże Kawalerskie Orderu Odrodzenia Polski otrzymało 35 osób. Złotym Krzyżem Zasługi udekorowano 25 osób, 10 osób otrzymało specjalne nagrody ministra Oświaty i Wychowania, i 10 osób nagrody kuratora Oświaty i Wychowania.

W ubiegłym tygodniu w Akademii Medycznej odbyła się uroczystość jubileuszowa prof. dra *Eufemiusza Hermana.* Profesor świętował swoje 90 urodziny. Na uroczystość związaną z tym jubileuszem przybyli: sekretarz KŁ PZPR, Konrad Janio i wiceminister Zdrowia i Opieki Społecznej — prof. dr Stanisław Miekodaj. Podczas uroczystości wiceminister S. Miekodaj udekorował prof. E. Hermana Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Ponadto otrzymał on z rąk dyrektora Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej UMŁ — Ryszarda Machnikowskiego „Medal 550-lecia Miasta Łodzi".

Warszawski Teatr Wielki przygotował z okazji Międzynarodowego Roku Karola Szymanowskiego wieczór muzyczno-baletowy. W programie *„Mandragora"* — balet-pantomima, z librettem Bolesławskiego i Schillera, *„Mity"* oraz *„Harnasie"*, z librettem Rytardów. Inscenizacja i choreografia jest dziełem Teresy Kujawy, kierownictwo muzyczne sprawuje Robert Satanowski, a scenografię przygotował Andrzej Majewski. Pierwsza prezentacja wieczoru odbyła się 16 bm.

W Ambasadzie PRL w Sofii odbyła się 14 bm. uroczystość wręczenia odznaki „Zasłużony dla Polskiej Kultury" — Bułgarom, którzy przyczynili się do rozwoju polsko-bułgarskich kontaktów kulturalnych i popularyzacji dorobku naszej kultury w Bułgarii. Odznaki, które wręczył ambasador PRL w Ludowej Republice Bułgarii — Władysław Napieraj, otrzymali: *Tichomira Haczwarowa* — muzykolog, *Dymitr Ostoicz* — pierwszy zastępca przewodniczącego Związku Bułgarskich Plastyków oraz *Dymitr Dymitrow* — krytyk.

— Pani sekretarka prosiła, żeby pan zaraz przyszedł. Depeszę przynieśli...

●

Siedzi smutny przy stole. Krystyna pakuje neseser.

— Z przyjaciół on jeden mi tylko pozostał — mówi Jerzy. — Inni gdzieś się rozbiegli po świecie, na nowych zabrakło już czasu. Mnie. Im. Wszystkim... W pewnym wieku już nas chyba nie stać na przyjaźń. To tak jak z poezją. Tworzy się ją przed dwudziestką. Potem to już tylko są wiersze.

— Białą koszulę włożysz na siebie, czy zapakować?

— Wszystko jedno... Wiesz? Do jego śmierci nie zdawałem sobie sprawy, że nie mam właściwie przyjaciół. A tym masz? A wszyscy ci ludzie, z którymi widujemy się co dzień? Zamiast przyjaciół są samochody, telewizory. Co by było, gdyby i telewizorów zabrakło?

— Jedziesz w tym szarym garniturze?

— W brązowych spodniach. Włożę gruby sweter.

— Chyba żartujesz. Na pogrzeb?

— Na pogrzeb, na podróż, na mróz. W swetrze cieplej, wygodniej.

— Nie wypada.

— Pod kożuchem nie widać.

— No to pakuj się sam, skoro wszystko wiesz lepiej — ze złością zamknęła szafę.

— Co tu pakować. Dwa dni...

— Nie wyklócaj się ze mną o głupstwa. Chcesz jechać w swetrze jedź w swetrze, nie moja sprawa. W moim domu, w moim środowisku pogrzeb był zawsze czymś uroczystym, odświętnym — mówi poirytowana.

— Więc chociaż uszanuj tę chwilę i...

— Właśnie. To tylko ty chcesz się tam wybrać jak na narty... Włodek zaczyna pracę w studium dla obcokrajowców na uniwersytecie — mówi nagle cicho, łagodnie.

— Matematyk.

— No to co!? — żachnęła się. — Poloniści też tam pracują. Nie rozumiem dlaczego tylko dla ciebie wszystko jest zawsze niemożliwe? Zapytaj Tadeusza, Włodka, jak załatwili to sobie... Ktoś może przecież zachorować, wyjechać za granicę, przejść na emeryturę, bo ja wiem zresztą co. Powinieneś się koło tego zakrzątnąć, być z kimś w kontakcie. Nadarza się właśnie okazja, na pogrzeb zejdą się wszyscy. Ale ty nawet garnituru wziąć nie chcesz!... Dwanaście godzin tygodniowo, żadnych konferencji, wywiadówek, kółek zainteresowań i innych „michałków".

— Jesteś już tak znakomicie poinformowana?

— Nie na tyle jednak, byś musiał się wstydzić, że wszystko za ciebie załatwiam.

Podszedł do niej, wziął ją za ramiona, odwrócił twarzą do siebie.

— Słuchaj!...

Patrzy na niego, przez niego, daleko, daleka, już spokojna w swojej niechęci, nieobecna.

Puścił ją nagle: cokolwiek by powiedział i tak będą to słowa bez echa, głuchy szereg dźwięków pozbawionych możności przebicia się poprzez obojętność — zazdrościł jej zawsze tej wystudiowanej umiejętności. I nienawidził za tę umiejętność, gdy jemu jeszcze kipiało, gdy rozpoczęte zdanie musiał wyrzucić z siebie do końca i zawsze w tym zdaniu było o jeden gest za dużo, o jeden ton za wysoko, o trzy niepotrzebnie.

●●

Jadące od cmentarza samochody mijają Jerzego. Gdy dobił do bramy odjechały ostatnie. Rzucił okiem na pustą już prawie aleję cmentarną, skulił się z zimna, postawił kołnierz; nie chce dziś z nikim się spotykać. Z daleka nadjeżdża tramwaj. Przyśpieszył kroku.

Śnieg znów się rozpadał, od cmentarza ktoś biegnie środkiem jezdni, Jerzy daje znak motorniczemu, żeby poczekał.

— Dorota!

Wziął ją za ramię, wracają w milczeniu na cmentarz.

— Pamiętasz jak gratulował ci wtedy tego zespołu?

Śnieg ciepło zapada się pod stopami. To dobrze. Skrzypiącego nie lubi jak wykrochmalonej pościeli nieskazitelnie odpychającej, jak sztywnych mankietów i kołnierzyków, garniturów, idealnych proporcji i pięknych kobiet. Im bliższe wszystko doskonałości tym mniej ludzkie. A tu śniegu nasypało miękko, puszyście, przytulił Dorotę do siebie, oparła głowę o jego ramię.

— Cieszył się, że na wakacje przyjedzie do ciebie na wieś.

Skręcili w boczną alejkę, pomiędzy groby i ciszę. Gdzieś tu powinien być Kazik. Na uboczu. Zawsze był cichy i mały, nie lubił zajmować pierwszych rzędów, daleki od zgiełku, hałasu. Tamtych krzykaczy na gitarach tylko zaakceptował, bo wymyślił ich Jerzy. I Jerzego, bo mieszał kawę w lewo. Dorota też lubiła ten sam kierunek. Przeciwny do ruchu wskazówek na innych zegarach. Z dala od wydeptanych ścieżek. Tutaj trafili też z innej strony, po innych śladach, żywych — odwiedzić tamtego jeszcze Kazika wciśniętego w swój kącik w pokoju nauczycielskim, a nie tego tu, poważnego, pod świeżymi kwiatami rozmazującymi teraz powoli swój kształt pod śniegiem.

●●●

Za oknem ulica po dawnemu znajoma. Latarnia, księżyc śnieg, który wiatr zdmuchuje z dachów, z ulic, za garnitury uwierające pod pachą, za kołnierz nie przylegający miękko do szyi, rozdrobniony, zmarznięty, przenikliwy. Jerzy skulił się w sobie.

— Nie mogę się jeszcze przyzwyczaić do ciebie. Nigdy nie widziałam cię w garniturze.

Wyszła do przedpokoju, wyciągnęła z szafy gruby sweter, rzuciła Jerzemu.

— Na korytarzu szyba była wybita. Trzy godziny pociąg stał w polu dopóki nie przyjechał — mówi Jerzy wkładając sweter. — No to i trochę przemarzłem.

Zdejmuje krawat, wykłada kołnierzyk.

— No widzisz. Teraz zupełnie inaczej wyglądasz. Jak wtedy.

Spojrzał na rzuconą niedbale marynarkę, na Krystynę za marynarką, krawatem, trzema godzinami gdzieś w polu i jeszcze dalej, daleko — za wszystkimi usztywnionymi sprawami poukładanymi grzecznie jedne na drugich, coraz wyżej — jak mur. A Dorota tuż obok, nie odgrodzona żadną konwencją ni chłodem. Tylko rękę wyciągnąć.

— A ty? Jak ty wyglądasz? — wyciągnął do niej obie dłonie.

— Nie wiem... No widzisz znowu nic nie wiem. Jak wtedy — cicho spuściła głowę.

— To dobrze nie wiedzieć. Wtedy wszystko dzieje się pierwszy raz.

Spoważniała.

— To nie tak, ale... — przerwała nagle, znowu się uśmiechnęła, przysunęła do niego. — To ty jesteś gościem. Mówmy o tobie.

— Chciałem uciec przed tobą.

— To nawet brzmi ładnie. Od nikogo nie ucieka się przecież.

Oparł się o kaloryfer, włożył ręce pod parapet. Jak kiedyś, gdy był studentem i marzł bez rękawiczek i podgrzewał się dyskretnie pod parapetem. Teraz też jest studentem. Krystyna niepotrzebnie naliczyła mu lat, dodała swoje, ale tak naprawdę... Spojrzał na Dorotę — już ciepło od środka. Na zewnątrz tylko zimno z podróży, którego nie zdążył jeszcze strząsnąć na schodach.

— Zaraz będzie gorąca herbata. A tymczasem...

Wyjęła z kredensu dwie butelki szampana, trzyma je w rękach, podnosi wysoko, mruży oczy.

— Poszłam po ser, sera nie było...

Wystrzelił korek.

— Zaraz będzie ci cieplej.

Znowu nalała, w kuchni gwiżdże czajnik, spiker mówi o zaspach, odwołanych pociągach. No to co? Ważne, że już jest tutaj. Niczego już odwoływać nie trzeba, w głowie się kręci w lewo, nad głową śnieg, wiosna — zaspy są tylko w jedną stronę: do domu. Ciężkie, wysokie, już nie widać Krystyny, ręce Doroty, Dorota, czajnik gwiżdże daleko w polu, Krystyna się wyśpi w domu spokojnie, twarzą do ściany...

Poszła do kuchni po herbatę. Nie ma wody, nie ma czajnika — sczerniał na ogniu od czekania tu na nich. Po co herbata. Jest jeszcze szampan. I śnieg za oknem, puszysty, miękki, zanurzyć się w nim tak aż po szyje... Gorąco.

Jerzy siedzi na podłodze, tyłem telewizję ogląda. Stanęła w drzwiach. W swetrze tylko. Do ud jej sięga. Więcej otworów niż swetra. Więcej go nie ma niż jest.

Jest, nie ma... Niczego już nie ma. Obciąga go wstydliwie. Stoi z rozpuszczonymi włosami. Boso. W ręku szczotka — miotełka na długim kiju.

Przycupnął u jej stóp. Patrzy do góry. Świat jest wysoki i piękny. Wysmukły. Boso. Obszedł ją na kolanach dookoła. A może to on przyczaił się w miejscu, a tylko w głowie wiruje? I świat razem z nią? I ona z tym światem?

— Wybierzesz się ze mną na narty? — spytała cicho spod włosów opadających wzdłuż ramion.

Ten sam głos, ta sama poezja, którą wymyślili sobie kiedyś razem z gazowymi latarniami do malowanych uliczek, po których księżyc chodził też boso.

— Nie zmarzniesz?

Potrząsnęła głową.

— Włóż chociaż buty.

Sięgnęła z półeczki letnie szpilki, podaje Jerzemu, wyciąga stopę, Jerzy wkłada jej but.

Palce u nóg jej wtedy liczył. Rozpoznał od razu.

— Takie małe, nieporadne, głupiutkie, i tak ich ogromnie dużo, chyba aż dziesięć...

— Drugi kijek gdzieś mi się złamał, nie ma — mówi, jakby przepraszała go za to. — Ale to nic nie szkodzi, prawda?

Włożył drugi but, musnął ustami jej palce, przywarł do nich na chwilę. Łąka, kaczeńce...

— Wiesz? Ja to pewnie nie umiem jeździć na nartach. Ale z tobą... A ty tak, w tej koszulince?

— Nie mam swetra.

— To ci pożyczę! — szybko ściąga sweter przez głowę, stoi już naga, bezbronna, podchodzi do niego, odrzuca włosy...

— Wybierzmy się na poziomki. No to co, że maj? Czasami przychodzi taka poziomkowa ochota. I wtedy wszędzie ich pełno. W uszach. Pod powiekami. Na opuszkach palców. Wyrastają nawet na włosach. W maju też. Przy dotknięciu zamieniają się w coś nieskończenie małego. W sen o poziomkach. W wiersz o poziomkach. I wtedy trzeba wyjechać. Uciec na poziomki. Uwierzyć w poziomki. Świat jest jeszcze poziomkowy, gdy rosną poziomki.

●●●●

Jeden bucik jeszcze na nodze, drugi gdzieś zginął, utonął w śniegu, zabłąkał się między poziomkami.

Jednocześnie i boso i w szpilkach.

Boso ją kocha najbardziej. W butach ją kocha najbardziej.

A noc jest zbyt krótka, by wystarczyło na jedną i drugą Dorotę.

I trzecią: to przecież cudownie być znowu studentką. Szkoda, że nie znał, nie widział jej wtedy. To nic. Czapka jeszcze jest dobra. Gdzieś tam powinna być jeszcze. Odnajdzie tamten czas razem z czapką. Jerzy będzie tam czekał na nią. To on wymyślił ten wieczór. Dla niego będzie studentką.

Włożyła czapkę, jeszcze bardziej na bakier, na tył głowy, na czoło...

Usiadła naprzeciw łazienki i czeka. Na podłodze. Z kolanami pod brodą. Ze studentką jeszcze nie było... Cieszy się. Jak wtedy, gdy pierwszy raz ją wkładała. Może rano pobiegną na uniwersytet?

Stanął w drzwiach, trzyma w ręku pędzel do golenia, bez słowa pokazuje Dorocie.

— To pędzel Marka.

— Kto to jest Marek?

— Po prostu Marek — wzruszyła ramionami.

Przesiadła się na stół, poprawia paseczek przy bucie, czapka studencka zsunęła się na tył głowy.

— Zawsze miałam za mało czasu żeby się nudzić. Hiszpański, włoski, sto słówek dziennie. Trzeba coś w życiu robić, nie? — głos jej zabrzmiał nijako. To nie jest już tamto studenckie „nie" z charakterystycznym zaśpiewem, przegięciem głowy, zmrużeniem oczu. — Dopiero w Sylwestra coś mi się nagle zaczęło nie zgadzać, rozumiesz?... Maryla z chłopakiem zapraszali do siebie Władkom zbywał akurat „przypadkowo" bilet na bal farmaceutów. Na przyczepkę, rozumiesz?

Siedzi jeszcze w studenckiej czapce, ale wiatr ją gdzieś zdmuchnął, bo nie czuje jej już na głowie. Szkoda: tak było wiosennie w tej bieli. Kawa już zimna, obojętnie, w którą stronę ją mieszać, łyżeczka nie dźwięczy uderzając o szklankę.

— Zadzwoniłam do Marka. Taki kolega z liceum. Przyniósł butelkę szampana. Nie wiem nawet czy było wtedy coś między nami. Byłam pijana. Chciałam się upić.

— Rozumiem.

— Co tu do rozumienia — wzruszyła znów ramionami. — To rzeczywistość. Dzień po dniu, na końcu niedziela... A ty jesteś sen. Kolorowy. Nie trzeba przekładać snów na język codzienny.

Odsuwa kawę, nalewa szampana, naciąga czapkę mocno na głowę.

— Za książki z kolorowymi obrazkami. Za obrazki bez książek. Za okładki!

Zapala świecę, papierosa od świecy, smużkę dymu wypuszcza na płomień — zamigotał na wietrze.

— Za Kazika.

— Przestań!

— Nie miał przecież nikogo prócz nas. Dlaczego by nie mógł mieć stypy?

Stanął za nią, bez słowa wyjął jej z ręki kielich, palcami gasi płonący knot świecy.

— Już nie ma pędzla. Ani żyletek, maszynki, niczego. Jak to dobrze, że jest w łazience okienko.

●●●●●

Wieczór. Śnieg już pada spokojnie. Zerknął ukradkiem, czy nie leży gdzieś pod stołem, pod oknem, za wczoraj, przedwczoraj studencka czapka Doroty.

Cisza, biały obrus na stole — wszystko trzeba kiedyś uprzątnąć, uporządkować, schować, odłożyć do najgłębszej szuflady, za podszewkę portfela: zima stulecia, nogi Doroty, szampan — może znów mu się kiedyś świat cudownie zwali na głowę. Choćby dach tylko. Prosto na obrus wykrochmalony.

Powiało śniegiem, od jeziora zerwał się wiatr, drzwiami w sieni łomocze. To dobrze. Najgorszy spokój, bezruch, ład i porządek. Niech chociaż za oknem się dzieje, gdy w domu już wszystko na swoim miejscu. Krystyna przerzuca kartki książki, on próbuje pisać, udaje, że pisze.

Nie przerzuciła następnej kartki. Od kilku chwil już powinna. Podgląda go zza węgła, zaraz coś powie do niego, zapyta.

Cisza. Wiadomo: niedziela. Nawet z pytaniem nie trzeba się śpieszyć.

Teraz patrzy na niego. Czuje jej wzrok na plecach. Ciężki. Pochylił się bardziej, zasłonił — nie znajdzie czapki pod stołem, nie przebije się przez zaspy, nie zajrzy przez okno, nie przeczyta co mu tam najładniejszego zapisało się w życiorysie przez tydzień. Za te wszystkie wieczory odwrócone do ściany, chłody, małżeńskie przeciągi.

— Nie miałbyś ochoty pojeździć trochę ze mną na nartach?

Obejrzał się: może to jednak Dorota?

— W taką śnieżycę?

Pewnie w nocy śnił tamte, ze złamanym kijkiem. Po ciemku widać najlepiej. To co w dzień niewidoczne, ukryte. Oddech można podejrzeć, w sen zajrzeć, tylko... czy by jej się chciało? Nie znosiła, gdy budził ją w nocy.

— Powinnam pojechać — mówi cicho. — To dziecko leży w sąsiednim domu, gdzie ja wtedy...

Rzuciła książkę w kąt kanapy, zerwała się, podeszła do szafy, wyjęła sweter, drugi rzuciła Jerzemu. Podobny do tamtego, Doroty. Opuścił głowę.

— Tamtego dziecka nie udało się uratować, ale to... — zarzuciła lekarską torbę na ramię. — Nie wiem. Zrobiłam wszystko co trzeba. Dlaczego jestem więc niespokojna?

A on obliczał czas przerzucanych kartek książki. Znów jej nie poznał.

Przez zaspy dobrze się teraz jedzie. Na wprost przez jezioro, pod górkę znajoma przecinka w lesie droga od krzyża w lewo. Narty suną równo, spokojnie, wiatr przycichł. W ciemności rysują się plecy Krystyny. Zmęczone w tle drzew, smukłe i zgrabne na śniegu. Zawsze chce jechać pierwsza. Nie boi się nocy, przestrzeni. Przeraża ją to, co za plecami. Samotność. Pustka — odbił się mocniej kijkami.

Powroty

(fragment powieści)

HENRYK CZARNECKI

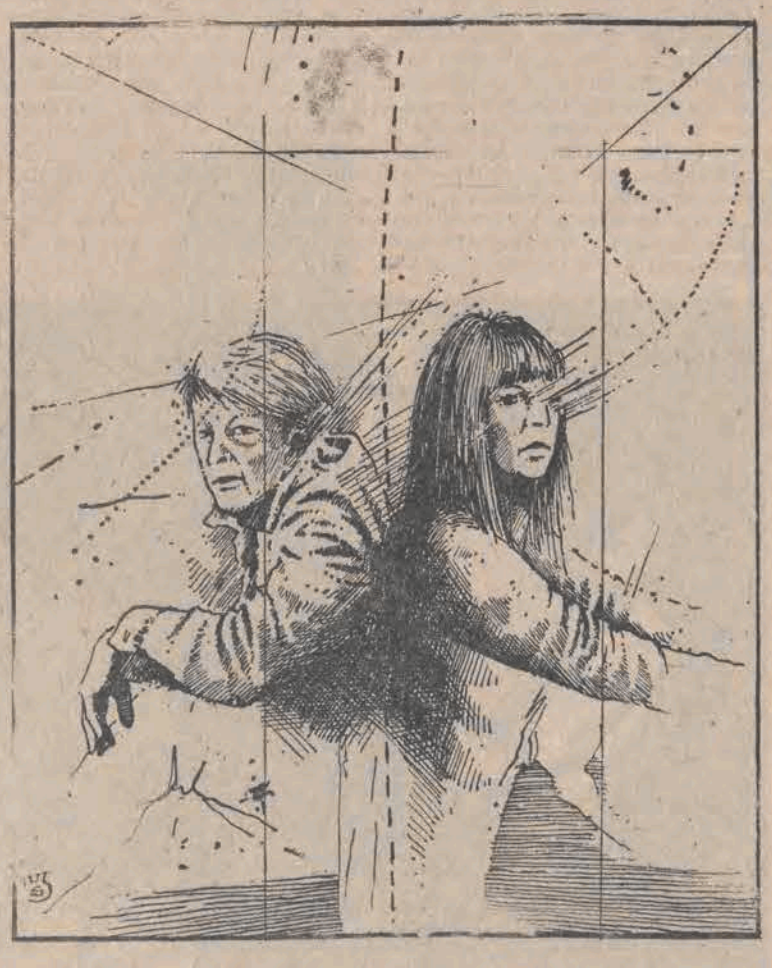

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Dwugłos o „Dolinie Issy"

Boję się, że Państwo tego filmu nie uznają „za swój". Podejrzewałem od początku, że wydawane w 50-tysięcznym nakładzie poetyckie tomiki, rozchodzące się w przeciągu godziny — to mylące pozory. Tak naprawdę, nie rzeczywiste czytelnicze zainteresowanie, a moda, po prostu moda — w tym wypadku na Czesława Miłosza — kierowała poczynaniami kupujących. Teraz na efektownych półkach stoją wśród innych efektownych książek, przydając blasku efektownemu mieszkaniu. Jeszcze jeden ozdobnik, radujący snobistyczne oko gospodarza i jego gości. Klejnocik literacki — odkurzany — a jakże, ale nie czytany!

Dlatego drodzy Państwo kieruję do Was mój prywatny apel: Zanim wybierzecie się do kina na „Dolinę Issy" Tadeusza Konwickiego, zajrzyjcie najpierw do poezji Czesława Miłosza, przeczytajcie jego „Dolinę Issy". Warto by było także obejrzeć poprzednie filmy reżysera. Niestety są one nieuchwytne na naszych ekranach. Powstały dawno, tak dawno (ostatni — „Jak daleko stąd, jak blisko" — dziesięć lat temu), że ledwo, ledwo się je pamięta.

Nie ulega przecież wątpliwości, że już sam powrót Tadeusza Konwickiego na oficjalne ścieżki polskiej kultury, podobnie jak trochę wcześniej Czesława Miłosza, jest wydarzeniem. Powrót — na jak długo?

Tadeusz Konwicki: „Kinematografia nie wykazuje zapotrzebowania na moje filmy. Czuję się, jak nieproszony gość, który wpycha się do obcego towarzystwa. Również krytyka, nawet wtedy, kiedy mogła o mnie pisać, nie zauważała moich filmów. Traktowany jestem, jak outsider. Takie antybodźce nie zachęcają do poważnego myślenia o filmie".

A literatura? Wznowienia — „Kalendarza i klepsydry" czy „Zwierzoczłekoupiora" nie wystarczają, w sytuacji, gdy część ostatnia dorobku autora „Sennika polskiego" pozostaje nieznana. Recenzje, choćby najlepsze nie zastąpią bezpośredniego obcowania z tymi książkami.

Nie wybiegajmy jednak zbytnio w przyszłość. Fakt (kulturowy) pozostaje faktem. Na ekranach kin pojawił się premierowy polski film — „Dolina Issy" Tadeusza Konwickiego na podstawie prozy Czesława Miłosza.

Można się zastanowić: dlaczego właśnie ten literacki utwór spróbowano przełożyć na język filmowych obrazów. Utwór refleksyjny i tak bardzo osobisty. Odwołujący się do biografii i literackiego rodowodu poety i.. reżysera prozaika. Jedynym bowiem człowiekiem mającym moralne prawo dokonania ekranizacji (?) był właśnie Konwicki. O pokolenie młodszy od Miłosza wychowywał się wśród tych samych krajobrazów, ludzi — ich mowy śpiewnej, melodyjnej, ich spraw wielkich i małych, dramatów i radości.

Wileńszczyznę swoich snów utrwalił Konwicki w „Dziurze w niebie" — powieści jakże podobnej do „Doliny Issy". Litwa widziana oczami Polaka Krywki, rówieśnika Tomaszka, ma tę samą intensywną barwę tęsknoty za pagórkami leśnymi, zielonymi łąkami, polami malowanymi zbożem rozmaitym.

Wilno tuż, tuż przed wybuchem II wojny światowej stanowi tło „Kroniki wypadków miłosnych". Litwa pojawia się też w „Kompleksie polskim".

Zniecierpliwiony czytelnik gotów się oburzyć: „Zacznij pan wreszcie pisać o filmie!".

Uczyniłbym to z wielką przyjemnością, bo uważam, że jest to wspaniały film, ale... „Doliny Issy" opowiedzieć się nie da. Trzeba ją zobaczyć — koniecznie. Kino kreacyjne oddziałuje na widza obrazem, nastrojem.

Cóż z tego, że napiszę: w świadomie idealizowanej scenerii Litwy czasów dzieciństwa rozgrywają się dziwne historie z pogranicza jawy i fantastyki, zawsze przecież dotyczące ludzi — ich czynów, namiętności. Ludzi, których już nie ma. Odeszli. Ulegli czasowi. Dziejowym wypadkom, które zmieniły świat nie do poznania, a tych nielicznych, którzy ocalili pamięć przeszłości, skazały na ziemską, nie mającą końca, tułaczkę. Wkomponowanie w filmową materię wierszy Miłosza recytowanych — śpiewanych na tle nie nazwanego amerykańskiego miasta uwyraźnia żal, gorycz, tęsknotę za utraconym bezpowrotnie minionym — na chwilę uchwytonym w tkance refleksyjnego wiersza, czy filmowego obrazu.

Słowa, słowa, tylko słowa. W tym wypadku nie mają siły przekonywania.

Dlatego gwoli sprawozdawczej ścisłości odnotuję, że muzykę do filmu skomponował Zygmunt Konieczny, zdjęcia są dziełem Jerzego Łukaszewicza, a wśród wykonawców pojawiają się nazwiska tak znanych aktorów, jak: Danuta Szaflarska, Anna Dymna, Edward Dziewoński czy Marek Walczewski.

Mogę tylko zapewnić Państwa, że sam pójdę jeszcze raz do kina przeżyć obraz Litwy, której nigdy nie zobaczę.

PAWEŁ STRZELECKI

PS. Zacytowana tu wypowiedź Tadeusza Konwickiego pochodzi z wywiadu przeprowadzonego z reżyserem w zeszłym roku, a zamieszczonego w numerze 39 „Filmu" pod tytułem: „Wileńszczyzna moich snów".

Mówi się o Tadeuszu Konwickim, że jest pisarzem, który stanął za kamerą, aby uzyskać możliwość wcielenia w filmowy kształt własnych pomysłów literackich. Jego ostatni film (notabene pierwszy od dziesięciu lat — od czasu „Jak daleko stąd, jak blisko") oparty jest jednakże o cudzy tekst — autobiograficzną powieść Czesława Miłosza „Dolina Issy". Czekano na ten film z zainteresowaniem: jaki rezultat da zderzenie dwu indywidualności artystycznych — Konwickiego i Miłosza?...

Okazało się, że w „Dolinie Issy" znalazł Konwicki bardzo wiele elementów bliskich jego własnej twórczości — tak filmowej jak i literackiej, zarówno w sferze formy jak i treści.

Oglądając „Dolinę Issy" nie można oprzeć się wrażeniu, że film ten ma wiele wspólnego z poprzednimi filmami Konwickiego, a jednocześnie nie można zarzucić reżyserowi braku wierności wobec pierwowzoru literackiego. Konwicki zawarł w filmie zdecydowaną większość materiału fabularnego powieści, a wymowa całości filmu jest zbliżona do wymowy utworu Miłosza, choć oczywiście reżyser dokonał pewnego wyboru i przesunięcia akcentów zgodnie z własnym temperamentem.

Również na płaszczyźnie formalnej udało się Konwickiemu znaleźć adekwatny filmowy odpowiednik konstrukcji powieści, która (jak wiele współczesnych utworów prozatorskich) nie posiada tradycyjnie zbudowanej fabuły, składa się natomiast z szeregu luźno z sobą powiązanych epizodów i dygresji. Film posiada analogiczną budowę — można by nazwać ją epizodyczną.

Kilkadziesiąt krótkich epizodów dopiero po pewnym czasie układa się w świadomości widza w kilka przeplatających się z sobą wątków. Oprócz epizodów ukazujących świat i wydarzenia powieści reżyser umieścił w filmie kilka fragmentów będących swoistymi dygresjami, komentarzem do pozostałych partii filmu. We fragmentach tych Konwicki wykorzystał między innymi wiersze Czesława Miłosza.

Struktura formalna filmu jest więc stosunkowo złożona, a sposób narracji zbliżony do współczesnej techniki powieściowej (stosował go również Konwicki w swoich wcześniejszych filmach) może nastręczać pewne trudności mniej filmowo i literacko wyrobionemu odbiorcy, zwłaszcza jeśli nie miał on możliwości uprzedniego przeczytania powieści.

Innym źródłem trudności w odbiorze filmu może być, szczególnie w pierwszych kilkunastu minutach, pewna teatralność inscenizacji, deklamacyjny sposób gry aktorów. Koresponduje to co prawda z recytowanymi wierszami Miłosza, jednakże w pierwszym momencie zetknięcie z tak specyficzną i rzadko spotykaną w filmie konwencją jest w jakiejś mierze irytujące. Stopniowo jednak zapomina się o tym, a poetycko widziany świat pochłania widza coraz bardziej...

Dolina Issy — zakątek Litwy tuż przed zakończeniem I wojny światowej i w pierwszym okresie istnienia Republiki Litewskiej to kraj lat dziecinnych Tomasza Surkonta — pierwszoplanowej postaci powieści. Nie można jednak powiedzieć, aby świat Doliny widziany był oczyma dojrzewającego chłopca, choć elementy takiego widzenia również występują w utworze. Wizja świata jest zbyt wielopłaszczyznowa, bogata, a jednocześnie towarzyszy jej silne poczucie nieuchronnego przemijania — poczucie, które może być udziałem jedynie dojrzałego człowieka, który wiele przeszedł.

To poczucie przemijania zostało w filmie szczególnie zaakcentowane. Służy temu zderzenie obrazu litewskiego zaścianka z widokami współczesnej wielkiej metropolii — Nowego Jorku, które niczym refren kilkakrotnie powracają w filmie.

Los niejednokrotnie powoduje, że człowiek, który urodził się i wychował w jednej rzeczywistości zmuszony jest żyć w rzeczywistości krańcowo odmiennej, podczas gdy ta pierwsza istnieje już tylko w jego pamięci i sercu... Świat doliny Issy zdaje się być w filmie w jeszcze większym stopniu niż w powieści wizją minionego świata przeżywaną przez człowieka, który na moment nawet nie może zapomnieć, że świat który wspomina był od początku skazany na to, aby odejść bezpowrotnie w przeszłość.

Przyczyną przemijania są trzeźwo widziane dziejowe procesy społeczne... z drugiej jednak strony nad światem doliny Issy unosi się złowieszcze fatum.

W filmie Konwickiego rzeczywistość naznaczona jest obsesyjnym piętnem śmierci, które jest tym bardziej wymowne i wstrząsające, że towarzyszy mu niezwykła, zmysłowa uroda świata.

Motyw śmierci w najróżniejszej postaci pojawia się wielokrotnie... śmierć naturalna, śmierć samobójcza, śmierć zadawana człowiekowi przez człowieka, śmierć zadawana zwierzęciu... wreszcie ostateczna śmierć upiora, wilkołaka spowodowana przebiciem serca nieboszczyka osinowym kołem...

Spośród tych wszystkich rodzajów śmierci najbardziej niepokojąca jest śmierć będąca dziełem ludzkim, wynikiem zabijania — zwłaszcza, gdy człowiek zabija człowieka.

Problem zbrodni i jej implikacji, istotny w powieści, w filmie wysuwa się jeszcze bardziej na plan pierwszy. Związane jest to w dużej mierze ze skupiającą na sobie uwagę, bardzo ekspresyjną, sugestywną kreacją aktorską Marka Walczewskiego. Walczewski odtwarza postać leśnika Baltazara, który po zabiciu nie spodziewającego się napaści człowieka stopniowo pod ciężarem swojej zbrodni popada w prowadzący go do samounicestwienia obłęd.

Innym wyeksponowanym przez reżysera motywem, związanym zresztą ściśle z poprzednimi, jest kwestia losu i przeznaczenia — losu tak pojedynczego człowieka, jak losu krajów i narodów. Co sprawia, że jesteśmy tym, czym jesteśmy?...

Przemijanie, śmierć, zbrodnia, zło, grzech... — to krąg tematów, ku którym filmowa „Dolina Issy" prowadzi co najmniej tak dobitnie jak powieść Czesława Miłosza. Mogło się tak stać dlatego, że wszystkie tematy tego kręgu — sądząc po wcześniejszej twórczości Tadeusza Konwickiego — są od dawna bliskie reżyserowi „Doliny Issy".

ADAM BART

„Dolina Issy" — ekranizacja powieści Czesława Miłosza, reżyseria: Tadeusz Konwicki, produkcja polska.

W Łodzi wszystko uchodzi

Przełom XIX i XX wieku zapoczątkował w Łodzi znaczny rozwój życia artystycznego. Fabryczne miasto stało się obiektem zainteresowania artystów i wirtuozów o sławie europejskiej. Zazwyczaj wpadali tu na krótko, po zakończeniu pobytu w Warszawie. Przeważnie dawali jeden występ w Sali Koncertowej, bądź w Teatrze Wielkim, następnie spędzali noc w Grand Hotelu i rankiem udawali się w dalszą drogę.

Na estradzie Sali Koncertowej występowało wielu znakomitych pianistów, jak Aleksander Michałowski, Maria Wąsowska-Badowska, Józef Śliwiński, Józef Hofman i inni. Koncertował tu parokrotnie przy szczelnie wypełnionej sali mistrz Ignacy Paderewski. Tu także rozpoczął swą wielką karierę pianistyczną łodzianin Artur Rubinstein.

W tej samej sali popisywali się najsławniejsi ówcześni skrzypkowie polscy i obcy, których nazwiska mówią same za siebie: Fritz Kreisler, Stanisław Barcewicz, Paweł Kochański, Pablo Sarasate, Jan Kubelik, Bronisław Huberman i wielu innych.

Spośród znakomitych wokalistów, którzy w Sali Koncertowej zbierali rzęsiste oklaski, trzeba wymienić przede wszystkim najsłynniejszą polską śpiewaczkę Marcelinę Sembrich-Kochańską, znakomitego basa Adama Didura i jedną z najlepszych polskich śpiewaczek Janinę Korolewicz-Waydową.

Do Łodzi przyjeżdżali też na gościnne występy znakomici aktorzy scen polskich: Bolesław Leszczyński, Kazimierz Kamiński, Stanisława Wysocka, Maria Przybyłko-Potocka i szereg innych.

Organizatorzy różnych imprez artystycznych i rozrywkowych, a zdarzało się że i artyści, nie zawsze uczciwie podchodzili do swej pracy. Stąd też na łamach ówczesnej prasy łódzkiej pojawiały się ostre wypowiedzi przeciwko lekceważącemu traktowaniu miejscowej publiczności. „Przyjeżdżają tu impresaria spod ciemnej gwiazdy — pisał współpracownik „Rozwoju". — Ma taki zaledwie na bilet do Łodzi i podejmuje się urządzenia koncertu. Przybywszy na miejsce, każe drukować na kredyt afisze, na kredyt daje ogłoszenie w gazecie, zabiera co wpłynęło do kasy i dalej w nogi mój drogi". Zdarzały się więc wypadki, że publiczność dążyła do sali koncertowej po to, aby odejść od drzwi zamkniętych.

Bywało też nieco inaczej. Na początku lutego 1908 roku prasa łódzka zapowiedziała koncert głośnego pianisty i kompozytora Enrico Toselliego. Artyście miała towarzyszyć małżonka, była królowa saska, zapewne w roli magnesu przyciągającego snobistyczną publiczność. Koncert jednakże odwołano, gdyż muzyk zadowolił się sutym zadatkiem i zwyczajnie nawiał. „Toselli częściej występował w ostatnim czasie w roli aferzysty niż mistrza tonów" — stwierdzał łódzki dziennikarz.

Lekceważąco odniosła się do miejscowej publiczności teatralnej aktorka Helena Marcello, goszcząca w Łodzi ze swoim zespołem. Niezadowolona z niskiej frekwencji na widowni, próbowała spektakl odwołać. Wobec stanowczego sprzeciwu publiczności przedstawienie doszło do skutku, ale z ponad godzinnym opóźnieniem.

Nie lepiej potraktowała łodzian słynna tancerka amerykańska Isadora Duncan. W Łodzi wystąpiła tylko jeden raz. Przyjechała tu bez swego akompaniatora. Wprawdzie w ostatniej chwili znaleziono zastępcę, ale scenariusz występu tancerki musiał ulec zmianie. Przedstawienie uważano za chybione. „Gdyby Duncan tańczyła w balecie po jednym tańcu w ciągu aktu, gdyby jeszcze tańczyła w Filharmonii przy olbrzymiej i znakomitej orkiestrze, taniec jej byłby usprawiedliwiony" — pisał jeden z recenzentów.

Niestety, występ Isadory Ducan odbył się w Teatrze Wielkim przy fortepianie wsuniętym w kulisy, przez które melodia uciekała i tonęła w rozwieszonych sukiennych kotarach. Wymachiwanie rękami i nogami przez dwie godziny było nużące i wyczerpujące widza, a z każdym tańcem przybierało bardziej monotonny charakter. Zmiany stanowiła tylko szata tancerki, to szara, to złotawa, to czerwona. Publiczność odnosiła wrażenie że tancerki w balecie są bardziej wygimnastykowane i każda z nich bez trudu mogłaby wykonać ten sam taniec, co Duncan.

W tym wszystkim uderzające było to, że w Warszawie artystka wypadła znakomicie. Chyba więc mieli rację ci, którzy uważali, że zlekceważyła ona łódzką publiczność.

I wreszcie inny skandalik, za który znowu zapłacili widzowie. Na łamach gazet ukazał się następujący anons: „Trupa japońska. Tylko jedno przedstawienie trupy japońskiej. Prawdziwe japońskie artystki gejsze — grają, tańczą, śpiewają Dziesięć piękności z kraju Wschodzącego Słońca, które miały olbrzymie powodzenie w Petersburgu i Moskwie".

Występ „trupy japońskiej" odbył się w Teatrze Wielkim. Publiczność zachęcona obiecującym anonsem przybyła tłumnie na przedstawienie. I cóż się okazało? Zapowiedziane widowisko wypełniły produkcje kiepskiego kinematografu oraz popisy kilku dziewcząt w stroju japońskim, które ani z artyzmem, ani z estetyką nic wspólnego nie miały.

Przytoczone tu przykłady lekceważącego stosunku niektórych impresariów do miejscowego społeczeństwa dowodzą, że utarte wśród łodzian powiedzonko „W Łodzi wszystko uchodzi", miało wtedy pełne uzasadnienie.

WACŁAW PAWLAK

Na estradzie i w partyturze

Na początek, jeśli Czytelnicy pozwolą, kilka wyjaśnień. Po pierwsze: dlaczego taki tytuł skoro wcześniej upierałem się przy tradycyjnym dla moich felietonów „CZYLI"? Ot, po prostu, publikując parę tygodni temu „Spotkania z rockiem", gdzie w tytule obyło się bez „CZYLI", i widząc, że w związku z tym „CZYLI" robi się niepotrzebny szum, postanowiłem przynajmniej w nagłówkach z niego zrezygnować. Co wcale nie znaczy, że nie będę tego słówka używał w tekście. Po drugie: fakt braku „CZYLI" w tytule zmieni może nieco charakter moich felietonów na mniej osobiste, o co też były liczne pretensje. Ale Czytelnicy rozpoznający moje materiały po imieniu i nazwisku, którymi zawsze sygnuję to, co piszę do „Odgłosów", przekonają się, iż z własnego zdania bynajmniej nie zrezygnowałem i własnych życiowych zdarzeń się nie wstydzę. Po trzecie: nieprawdą jest co niniejszym oświadczam, że tygodniowa przerwa w mej działalności publicystycznej na łamach „Odgłosów" zaistniała w wyniku zastosowania wobec mnie ze strony redakcji embarga mającego na celu przekonanie mnie do zrezygnowania z „CZYLI". Przyczyna była zupełnie inna. Miałem kłopoty z tzw. „wyrobieniem się", co było związane z moją działalnością na polu twórczości literackiej (a co?). Po czwarte wreszcie: ci, którzy czytają „Odgłosy" regularnie zauważyli z pewnością, że bodaj trzy tygodnie temu sprowokowałem Jerzego P. do zabrania głosu w sprawie działalności twórczej literackich spółek autorskich piszących piosenki, na czym Jerzy się zna prawie tak dobrze, jak na grze w szachy. Kolega Jerzy coś tam na ten temat napisał i to w tym samym numerze tygodnika, bowiem miał szansę przeczytać mój tekst natychmiast po złożeniu go przeze mnie w redakcji. A przy okazji postawił mnie przy tablicy zadając mi niejako pracę domową: kilka tematów dotyczących piosenki. Śmieszna sprawa. Jak tu nie wierzyć w telepatię? W chwili, gdy w drukarni ukończono przygotowywanie numeru „Odgłosów" ze wspomnianym felietonem, ja — zupełnie nieświadom powierzonych mi zadań — przyniosłem do redakcji materiał dotyczący wywiadu ze Zdzisławą Sośnicką zamieszczonego w „Expressie Ilustrowanym", a materiał ten był podjęciem jednego z sugerowanych przez Jerzego P. tematów. Zwykły, choć uciesznY, zbieg okoliczności.

Dzisiaj chciałbym tamtą sprawę kontynuować. Pisałem o koncertach estradowych — podstawę do wypłacenia tantiem autorom i kompozytorom wykonywanych podczas takiego koncertu utworów stanowi program ramowy (czyli — mówiąc potocznie — ramówka) będący listą tytułów piosenek, skeczy, bla-

koutów, monologów... W zasadzie z każdego publicznego występu powinna być taka ramówka sporządzana i z reguły w odniesieniu do stale jeżdżących po Polsce programów estradowych nie może być specjalnych zastrzeżeń — programy ramowe są przesyłane do ZAIKS-u (tuta) specjalna prośba do korekty bowiem ten sam błąd powtarza się w moich felietonach od początku: ZAIKS TO NAZWA, KTÓRA SIĘ ODMIENIA I PROSZĘ MI NIE WYRZUCAĆ Z TEKSTU DEKLINACYJNYCH SUFIKSÓW. Z góry dziękuję). Co prawda nie zawsze są to te utwory, które rzeczywiście z estrady słychać, ale ogólnie rzecz biorąc rozbieżności nie są duże. Gorzej ma się rzecz w przypadku tzw. składanek — imprez dość przypadkowych, zleconych, organizowanych niejako doraźnie, okazjonalnie. Tak się zazwyczaj składa, że jeżeli sami wykonawcy nie są twórcami prezentowanego przez siebie repertuaru, „zapominają" o tym, iż coś tam autorowi czy kompozytorowi się należy. Dziwne to, bo przecież podanie do ramówki tytułów w niczym nie obciąża konta wykonawcy — określony procent dla ZAIKS-u jest automatycznie naliczany od każdej zorganizowanej oficjalnie imprezy estradowej. A zatem jest to wyłącznie sprawa uczciwości.

Pisałem do tej pory głównie o autorach i kompozytorach piosenek, było także co nieco o wykonawcach. Dzisiaj chcę zwrócić uwagę na jeszcze jednego współtwórcę jeśli nie piosenki, to przynajmniej jej ostatecznego kształtu. To aranżer. Od jego umiejętności i zaangażowania wiele zależy — jest on przecież twórcą partytury utworu. Partytura — zwrot niby obiegowy, a jednak nie każdy zna w pełni znaczenie tego słowa. Cytuję za „Małą encyklopedią muzyki": „Partytura, notacyjne zestawienie nad sobą wszystkich partii wokalnych i instrumentalnych utworu zespołowego..." i tak dalej, dosyć uczenie. Pełna definicja zajęłaby prawie tyle miejsca, co dwie trzecie tego felietonu. Tak czy inaczej, nie da się ukryć, że aranżacja ma zwykle duży, czy nawet decydujący wpływ na to, jak brzmieć będzie piosenka. Ileż to razy zdarzało się, że dobra aranżacja ratowała prawie bezwartościowy kicz, i odwrotnie — słaby aranż dosłownie „kładł" najlepszą nawet prymkę. Z tego też powodu ambitni twórcy starają się dobierać odpowiednich aranżerów. Pół biedy, jeśli aranżować — a jest to sztuka bardzo trudna — potrafi kompozytor, gorzej, gdy tylko umie zapisać linię melodyczną utworu. Wtedy rozglądać się trzeba za aranżerem. W większości są to także kompozytorzy, którzy traktują aranżację jako zajęcie uboczne (co nie zawsze należy utożsamiać z chałturą). Piotr Figiel, Ryszard Poznakowski, Janusz Koman, Wojciech Trzciński — to znane nazwiska kompozytorów z powodzeniem aranżujących głównie swoje, choć nie tylko, piosenki. Dobrze radzą sobie także z pisaniem aranżacji na duże orkiestrowe składy również: Jacek Malinowski, Andrzej Zyliś, Juliusz Wacławski (to wszystko łodzianie), Andrzej Marko, Marek Stefankiewicz, Jerzy Suchocki — zaliczani do młodego pokolenia polskiej muzyki rozrywkowej. Oczywiście, nie miejsce tutaj, by wyliczać wszystkich dobrze piszących partytury, bo nie jest to podręcznik.

Za swoją pracę nad partyturą utworu aranżer wynagradzany jest jednorazowo: otrzymuje zryczałtowaną sumę stanowiącą honorarium, które — zgodnie z przepisami — waha się w granicach paru tysięcy złotych. I to już wszystko — piosenka zaś idzie w świat. Dyskutowane są od dłuższego czasu sprawy ewentualnego przyznania aranżerom prawa do pobierania tantiem za opracowane przez siebie utwory, ale jak na razie nic z tego nie wynika. Obok autora i kompozytora do kartotek z tytułami wprowadzony zostałby jeszcze jeden „rodzic" piosenki. Poza aspektem autorstwa utworu, przyznanie tantiem dla aranżera byłoby dodatkowym bodźcem finansowym stanowiącym zachętę do pracy. Jest to kwestia ze wszech miar trudna i skomplikowana: skąd wziąć pieniądze dla aranżera, kto miałby się z nim tą forsą podzielić i w jakim stosunku, co zrobić w przypadku powstania kilku partytur tego samego utworu? Jeśli chodzi o mnie, to przyznam się, że jak do tej pory nie udało mi się wymyślić niczego sensownego. Może uda się innym; ja nie mam jeszcze własnego zdania.

Sądzę jednak, że patrząc na sprawę przez pryzmat pieniędzy i tak dojdziemy do tego samego. Prawda nie jest nowa, i tak najważniejsza jest uczciwość wobec wykonywanej pracy. Uczciwy i ambitny zarazem aranżer nie wypuści „kwota" niezależnie od tego, czy dostaje za to kilka czy kilkanaście tysięcy. Czy będzie to na zagraniczny festiwal czy tylko archiwalnie do taśmoteki — jednakowo przykłada się aranżer-fachowiec do swojej roboty. Znam w naszej muzyce rozrywkowej co najmniej kilkanaście osób, które tak stawiają sprawę. I to właśnie budzić może optymizm. Nie tylko u autorów, kompozytorów i wykonawców piosenek.

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

Kompromis jest dobry na wszystko, ale...

Rozmowa z RYSZARDEM CZUBACZYŃSKIM, dyrektorem i kierownikiem artystycznym ESTRADY ŁÓDZKIEJ.

U progu nowego sezonu kulturalnego, odwiedzamy Estradę Łódzką, największe i najbardziej operatywne przedsiębiorstwo rozrywkowe w naszym mieście.

W rozmowie z dyrektorem i kierownikiem artystycznym Estrady Łódzkiej, omawiamy problemy, nadzieje i plany tej jakże potrzebnej w obecnych, smutnych czasach instytucji.

— Kiedy otrzymał Pan nominację na szefa Estrady Łódzkiej?

— 17 stycznia 1981 roku.

— Był Pan uszczęśliwiony?

— Byłem pełen nadziei, że z shaw-bussinesu uda mi się zrobić instytucję o profilu kulturotwórczym, w szerokim zakresie. Pogłębiając również sprawy związane ze zwróceniem uwagi na młodych adeptów sztuki estradowej oraz chęcia stworzenia kilku różnych programów, ukazujących wszechstronność form sztuki estradowej, ale niestety...??? Po półtorarocznej działalności muszę powiedzieć, że nie wszystkie marzenia spełniły się, jak to zresztą z marzeniami bywa.

— I na pewno żal było Panu stołeczka redaktora od rozrywki w Łódzkim Ośrodku TvP?

— Na pewno było żal, bo to 10 lat mojego życia w Tv. Muszę jednak powiedzieć, że w czasie kiedy otrzymywałem propozycję objęcia funkcji dyrektora Estrady Łódzkiej, nie było w telewizji zbyt wiele do zrobienia, wynikało to z całkowitego zablokowania przez centralę w Warszawie wszelkich możliwości twórczych i finansowych dla terenowych ośrodków. Dodać muszę, że moi szefowie-przyjaciele z Tv byli zdania, że powinienem przyjąć propozycję ze względu na możliwość praktycznej integracji Estrady i TvP w Łodzi. Postanowiłem więc przeżyć następną męską przygodę.

— W jakim stanie przejął Pan nową placówkę?

— Nie chcę mówić o stanie artystycznym, gdyż nie sądzę, aby to kogoś interesowało, powiem jedynie, że stosunki międzyludzkie w przedsiębiorstwie były dalekie od normalnych. Zapewne wynikało to z tzw. „aferowej" atmosfery, jaką zrobiono wokół tej instytucji, w prasie też.

— Jakimi zasadami starał się Pan kierować od początku?

— Instytucja, która w roku realizuje przeciętnie 9 tysięcy imprez, bardzo różnych w konwencji od striptizu do teatru poezji, na pewno ma istotne zadania do spełnienia. Rzesza licząca ok. 1.5 mln widzów rocznie, musi otrzymywać szeroki wachlarz propozycji, z których wszystkie — moim zdaniem — powinny posiadać jedną, zasadniczą cechę: mieścić się w granicach dobrego gustu i smaku. Nie jest to łatwe, ponieważ tzw. rynek estradowy oferuje niestety jeszcze wiele tandetnego towaru, oczywiście jak pan zauważył sformułowania „rynek" i „towar" nie należą do nomenklatury artystycznej, ale przecież podstawowym zadaniem Estrady jest jednak ekonomika. Powstaje częsty dylemat: co robić, jeżeli towar chodliwy jest po prostu zwykłym bublem. Czy dyrektor i kierownik artystyczny zarazem, może sobie pozwolić na oferowanie bubli tylko dlatego, że wie, iż ludzie i tak to kupią. I tu dochodzimy do sedna: nie da się odrzucić wszystkiego co złe, ale należy konsekwentnie eliminować skrajne przypadki. Gdyby tak się działo w życiu estradowym całej Polski, sądzę, że nielibyśmy do czynienia ze stałym postępem w dziedzinie sztuki estradowej.

— Ktoś taki jak Pan ma duże możliwości...

— Mam możliwość w sporej mierze wpływania na oferty programowe innych instytucji artystycznych, mogąc je przyjąć lub nie, nie mówiąc już o własnych programach, które całkowicie zależą od inwencji zespołu Estrady, realizującej je. Zresztą w sferze programowej zna pan przykłady, że jednak sporo nowych pozycji Estrady Łódzkiej jest przykładem swojego rodzaju polityki programowej.

— W wywiadzie dla „Głosu Robotniczego" zdeklarował Pan profil swojej placówki: „bez komercji". Minęło już trochę czasu i co — udało się?

— Nie, nie udało się. Ale zrozumiałem, że może istnieć wyjście poprzez łączenie komercji z artystycznym poziomem. Przykładem jest najnowszy nasz program „Kaczuch show", na który już wpływają zamówienia z całej Polski. Poza tym istnieje jeszcze coś takiego jak ogólny bilans strat i zysków, w związku z tym można niektóre przedsięwzięcia z założenia niekomercyjne utrzymywać, dotować itp. Takim przykładem może być działalność Teatru „Univarius" przy Estradzie Łódzkiej.

— Naprawdę udaje się Panu unikać kompromisów?

— Kompromis jest dobry na wszystko. Szef, który nie uznaje kompromisów, albo nie umie się przyznać do własnych błędów albo jest modelem nie z tej epoki. Jak pan zauważył raczej nie rozmawiamy w kontekście nieomyślności szefa.

— Jakie ambitne propozycje już przedstawiła nam Estrada Łódzka podczas Pana dyrektorskiej kadencji?

— Zapewne chodzi panu o takie, które miały wielotysięczną widownię, myślę, że trzeba tu wymienić ostatni program z cyklu „Dobry wieczór, tu Łódź", który zrealizowałem już jako dyrektor Estrady Łódzkiej ze swoim zespołem. Udział wzięli: Helena Vondraczkowa, Jiri Korn, Bert Belle, Bogusław Mec, Felicjan Andrzejczak, zespół wokalny „Bezinki", Orkiestra Gustawa Broma i inni. Był to program typu „show life" zrealizowany z udziałem dużej ilości widowni aktywnie uczestniczącej w widowisku. Oryginalny program przygotowaliśmy na Dzień Dziecka, tytuł „Te-Re-Fe-Re-Bum". Był on przykładem poszukiwań programowych idących we właściwym kierunku. Nie wspominam już wielu programów agencyjnych, które sprowadzaliśmy przez PAGART lub inne agencje artystyczne. Z programów mniejszego formatu, które działają na terenie całej Polski, wymieniłbym: „Być kobietą" Alicji Majewskiej, nowy program „Kabaretu Ssak", „Co czarne a co białe" z udziałem Jacka Lecha i grupy „Primo Voto", a z innych gatunków: monodramy „Konopielka" Leszka Benke, „Faul" Jerzego Korsztyna, „Nadkabaret TOK", „Ofelia polska" Grażyny Długoleckiej czy ostatnio przygotowany „Farmazon" Mariusza Kwiatkowskiego.

W repertuarze Estrady znajduje się szereg pozycji przeznaczonych wyłącznie dla dzieci np. „Spotkania na słonecznej polanie" wg Brzechwy, „Czarodziejski zegar" w przygotowaniu bajka muzyczna „Czerwony kapturek". Jest również widowisko przebojów operetkowych i musicalowych „Ja do Maxima mknę, czyli sąd nad operetką". Ostatnio zgłosił chęć współpracy z Estradą — Krzysztof Cwynar z ciekawym, kameralnym recitalem. Pertraktujemy ze znanym zespołem cygańskim „Kriss Romano". Jak więc pan widzi wachlarz propozycji jest zróżnicowany i adresowany do każdego widza w różnym wieku.

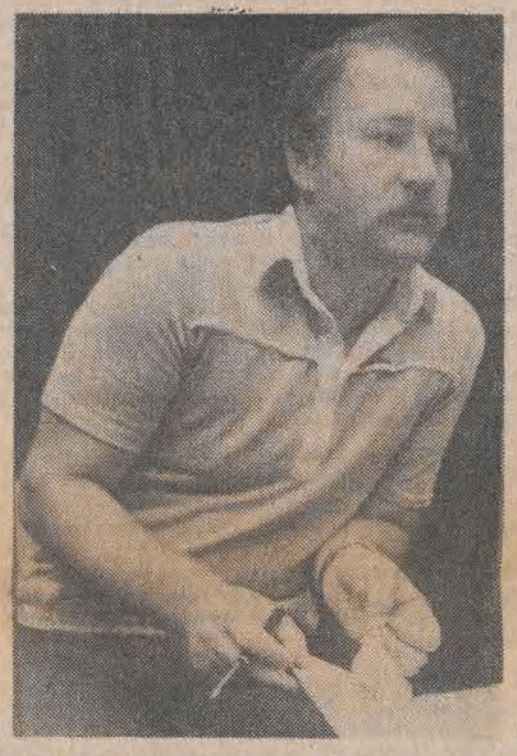

Foto: Janusz Kubik

Przy okazji mogę zapowiedzieć, że 13 i 14 listopada wystąpi w Hali Sportowej Teatr „Syrena" z Warszawy z widowiskiem rewiowym „Festiwal za 100 złotych", który z racji dewaluacji albo inflacji nazwaliśmy „Festiwalem za cenę umowną". To jest właśnie typowy przykład programu z wyboru agencyjnego.

— To dużo czy mało?

— Sądzę, że Estrada nigdy nie powinna zamykać repertuaru, winna być zawsze otwarta na wszelkie ciekawe oferty. Jako przedsiębiorstwo estradowe powinna stwarzać warunki do powstawania własnych programów i wydaje mi się, że są tu jeszcze duże możliwości. Inna sprawa, to problem — „jak to sprzedać", ale tu już wkracza zagadnienie managera potrafiącego w sposób kulturalny, bez hochsztaplerstwa oferować i stosować takie środki zachęty reklamowej, która przyniosłaby również sukcesy finansowe. Mając to na uwadze, od nowego sezonu, wszystkie nasze zespoły wkraczają do działalności z bogatym i myślę, że gustownym serwisem reklamowym. Na opakowanie naszego towaru wydamy w tym roku ponad dwa miliony złotych.

— Brawo! Ale nie wypalił Wam duży program „Melodie, rytmy i piosenki" z Niną Urbano w roli głównej oraz Felicjanem Andrzejczakiem zespołem „POLON" i zaproszonymi gośćmi. Na uwadze mam jego stronę organizacyjną, managerską, bo sam program bardzo mi się podobał.

— Bardzo się cieszę, że przypomniał mi pan tę sprawę, wiąże się bowiem z problemem, o którym mówiłem wyżej. Sprawy eksploatacji wiążą się z człowiekiem, który z całym oddaniem potrafi sprzedawać to, co zostanie zrealizowane. Takiego człowieka nie potrafiono zapewnić, na myśli mam również siebie, ale w owym czasie byłem zbyt mało doświadczony, aby wymóc na dziale eksploatacji stworzenie odpowiedniego zaplecza ludzi nadających się do organizacji i opieki nad programami. Niestety, zdarzały się paradoksy, że programy z gwiazdami, mające warunki do dużej popularności — upadały. Mam nadzieję, że w tej chwili do takiej sytuacji nie dojdzie.

— Nie udało się Estradzie Łódzkiej zatrzymać i otoczyć opieką impresaryjno-reklamową najbardziej utalentowanego piosenkarza młodego pokolenia Felicjana Andrzejczaka?

— Andrzejczak był związany właśnie z programem „Melodie, rytmy i piosenki", był u nas na etacie. Myślę jednak, że sprawa nie jest stracona, gdyż zawsze może on znaleźć miejsce w gronie współpracujących z nami wykonawców. A może ja zadam panu jedno pytanie: — co by pan wolał sprzedawać mając określoną stawkę za jeden zorganizowany program: „Konopielkę" z jednym aktorem czy kilkunastoosobowy program o koszcie wielokrotnie wyższym?

— Z kalkulacji wynika, że „Konopielkę".

— I o to chodzi. Póki nie będzie takiego systemu stawek, który pozwoliłby dyrektorowi na kwalifikowanie trudniejszych do sprzedaży programów (tzn. droższych) wg wyższej stawki dla kierownika i organizatora, póty problem będzie trudny do rozwiązania.

— Preferuje Pan estradowców warszawskich, a w Łodzi mamy kilka znanych nazwisk, które... czekają na oferty ze strony Estrady Łódzkiej?

— O kim pan myśli?

— Choćby Sławomir Kowalewski i Jerzy Krzemiński.

— Odpowiem szczerze. Obaj wykonawcy zaproponowali nam program oparty całkowicie na wyłącznym ich udziale, niestety w tej formie nie znalazł on uznania zarówno mojego jak i moich współpracowników zaproszonych do oceny. Niemniej jednak jako wykonawcy mogą być zawsze brani pod uwagę w różnorodnych programach Estrady: okolicznościowych i zleconych. Ale zgodzi się pan ze mną, że jako soliści gwiazdami piosenki nigdy nie byli. Gdyby znów mógł zostać reaktywowany zespół „Trubadurzy" w dawnym składzie, a więc m. in. ze Sławomirem Kowalewskim, podjąłbym się organizacji programu recitalowego tego zespołu.

— Przecież wie Pan dyrektorze, że jest to niemożliwe?

— A szkoda...

— Komu obecnie zapewniacie wszechstronny impresariat?

— Alicji Majewskiej, Jackowi Lechowi, Andrzejowi Janeczce z grupą „Pro Rock" czyli Gaydze, Bernardowi Sołtysikowi ze spółką i innym własnym programom o których już mówiłem. Nie tylko zapewniamy impresariat, ale i pełny serwis reklamowy.

— Zespół „Pro Rock" jest odkryciem minionego sezonu, solistka Gayga może walczyć o prymat z Korą i Trojanowską. Ich rockowy show z pewnością będzie się podobał najmłodszej widowni. Kiedy wypuścicie ich w estradowy obieg?

— Tuż po ich powrocie z zagranicznego tournee odbędzie się widowisko promocyjne na terenie Łodzi z udziałem jeszcze jednego zespołu rockowego. A później koncerty po kraju. Dla „Pro Rock" przygotowaliśmy szereg niezbyt często spotykanych form reklamowych i tzw. akcydensów, czyli różnych pamiątek dla ew. fanów.

— W jaki sposób Estrada Łódzka kształci sobie nowy narybek z nowych talentów?

— Ten nowy narybek powinien istnieć i spotyka się z opieką i mecenatem Estrady tym bardziej, że od zeszłego roku funkcjonuje Państwowa Komisja Kwalifikacyjna Artystów Estradowych przy Ministerstwie Kultury i Sztuki, która co roku będzie egzaminowała nowych adeptów w różnych dziedzinach sztuki estradowej. Stąd obowiązek Estrady w dostarczaniu kandydatów w pełni przygotowanych do takiego egzaminu. Myślimy o powołaniu Studium Adeptów Sztuki Estradowej przy Teatrze „Univarius". Na pewno istnieje taka konieczność, ale jest jeszcze szereg uwarunkowań, które trzeba będzie organizacyjnie i finansowo rozwiązać.

— A co robicie ze starymi, już wyeksploatowanymi kadrami?

— Artysta dopóki dobrze się czuje, ma prawo uprawiać swój zawód, wyznacznikiem powinno być rozeznanie — czy publiczność go akceptuje czy nie. W branży sportowej istnieje takie powiedzenie o umiejętnym wycofaniu się z ringu, żeby nie zostać ciężko znokautowanym. W paru przypadkach można by tę paralelę zestawić do sztuki estradowej. Jeżeli zada mi pan pytanie — w jakich, nie odpowiem.

— Rozrywka to zabawa czy dziedzina sztuki?

— Rozrywka jest po to, żeby bawić, ale poprzez sztukę. Być może nawet trudniej jest wykonać takie zadanie, jakie stawia sobie np. Andrzej Rosiewicz lub Dalida, niż zagrać główną rolę w przysłowiowym „Hamlecie". Jeden jest tylko warunek tu i tam, o sukcesie decyduje talent.

— Pan też go ma, bo przecież nie tylko Pan administruje, ale i tworzy, znamy wiele Pana przebojów, tylko że coraz mniej słychać piosenek do tekstów Ryszarda Czubaczyńskiego.

— Bo piszę je rzadziej z uwagi na obowiązki szefa, ale jedno jest pewne, że nigdy nie pokusiłbym się o poddanie wiwisekcji tego co robię jako autor tekstów piosenek, jest to dla mnie sprawa zbyt osobista i chyba nie nadająca się do nadawania temu zajęciu specjalnego rozgłosu. Piosenki firmują wykonawcy, autor pozostaje incognito lub powinien pozostawać w cieniu.

— Jakie jest miejsce rozrywki w obecnych czasach?

— Bardzo ważne, myślę również, że spotyka się to z właściwą oceną Departamentu Teatru i Estrady Ministerstwa Kultury i Sztuki. Dowodem na to jest przygotowany przez ten departament materiał, z którego jasno wynika status estradowego przedsiębiorstwa. Estrada Łódzka znajduje się w tym materiale jako jedna z pięciu Estrad o zadaniach tworzenia własnego programu artystycznego i całej infrastruktury, tzw. zaplecza o czym mówiliśmy. Estrady o tym statusie będą mogły otrzymać dotacje przedmiotowe na określone działania pozakomercyjne, są to więc prognozy, obiecujące.

— Ale pozostanie dylemat: jakość czy ilość?

— Byłbym megalomanem, gdybym uważał że jakość kosztem ilości, ale to nie znaczy, że nie należy czynić wszystkiego, aby tej „jakości" było coraz więcej. Niestety, jedno jest pewne że rozrywka również podrożała i dlatego jej jakość wymaga tym większej odpowiedzialności niż dawniej.

Rozmawiał:
BOGDAN GADOMSKI

Informacja, ale jaka?

We wtorek, 5 października 1982 roku w którymś z dzienników radiowych — o ile pamiętam wieczornych — usłyszałem, że gen. Wojciech Jaruzelski spotkał się z prof. dr Dionizym Smoleńskim — członkiem rzeczywistym PAN, wybitnym polskim uczonym i „złożył mu serdeczne gratulacje i najlepsze życzenia z okazji 80 rocznicy jego urodzin". W informacji było wiele komplementów pod adresem prof. Dionizego Smoleńskiego, wiadomość o tym, że otrzymał dyplom i odznakę „Zasłużony Nauczyciel PRL". Ale w informacji tej nie było ani słowa o tym, w jakiej to dziedzinie nauki prof. Dionizy Smoleński położył tak wielkie zasługi. Tak się bowiem składa, że w naszej nauce było kilku zasłużonych i cenionych uczonych noszących to samo nazwisko Słuchacz czy czytelnik gazety nie musi ich wszystkich znać, choć ich nazwiska nie powinny być mu obce.

Ponieważ byłem trochę zajęty, nie mogłem sięgnąć zaraz do encyklopedii i sprawdzić, jaką dziedziną nauki prof. Dionizy Smoleński się zajmował. Zrobiłem to dopiero następnego dnia, dysponując już gazetą, gdzie była ta informacja PAP przedrukowana wraz z uzupełnieniem, którego radio nie podało. Z uzupełnienia dowiedziałem się, że w spotkaniu uczestniczyli również: członek Biura Politycznego i sekretarz KC PZPR — Józef Czyrek, prezes PAN — prof. dr Aleksander Gieysztor, wicemarszałek Sejmu — prof. dr Zbigniew Gertych, minister prof. dr Benon Miśkiewicz oraz prof. dr Jan Kaczmarek. Ale o samym prof. Dionizym Smoleńskim więcej niż w radio nie było.

Sięgnąłem więc do „Encyklopedii Powszechnej". Tam znalazłem wiadomość, że prof. Dionizy Smoleński (ur. w 1902 roku) jest chemikiem zajmującym się technologią materiałów wybuchowych i teorią spalania. W 1949 roku wydał pracę „Balistyka wewnętrzna", a w 1954 — „Teoria materiałów wybuchowych". Gdyby więc w omawianej informacji znalazło się określenie: „wybitny polski chemik" — sprawa byłaby załatwiona i nie zmuszałaby do poszukiwania w encyklopedii specjalności Jubilata.

Skoro już jesteśmy przy Smoleńskich, to pragnę poinformować, że zmarły w 1909 roku Tadeusz Smoleński był jednym z pierwszych polskich egiptologów, zmarły w 1940 roku Jerzy Józef Smoleński był geografem, a zmarły w 1943 roku Kazimierz Smoleński był również chemikiem, z tym że zajmował się chemią węglowodanów i jako jeden z pierwszych w Polsce tworzywami sztucznymi. Natomiast zmarły w 1926 roku Władsław Smoleński był historykiem, przedstawicielem „warszawskiej szkoły historii", zajmował się głównie historią Polski XVIII wieku.

Nie sądzę wszakże, aby intencją autora owej informacji PAP było skłonienie czytelnika czy słuchacza radia do pogłębienia swej wiedzy o polskich uczonych noszących nazwisko Smoleński. Było to raczej drobne acz istotne uchybienie. Takie uchybienia — dość częste w naszej prasie — przyczyniają się do różnych utyskiwań na stan informacji, jej niedokładność, a w konsekwencji do posądzeń o manipulowanie. Mam prawo podejrzewać, że często bierze się to po prostu z pośpiechu, ale też często z niechlujstwa i być może z... braku wiedzy. A czasem wystarczy tylko zajrzeć do encyklopedii, aby uniknąć nieporozumień i aby dodać dwa, trzy słowa, które istotnie uzupełnią informację.

JERZY MAGDZIARZ
(Pabianice)

Jaki szwadron reprezentacyjny?

Proszę Szanownych Odgłosów!

Panowie, jak przed wielu laty z Czikunią, a ostatnio z czymś tam innym — drobna i z lekka podjeżdżająca tendencyjnością dezinformacyjka zawitała (w bliskie mi tematy i ze mną związana) na Wasze czcigodne łamy. A ja mam taki jakiś odruch warunkowy: od razu łaps za maszynę i piszę. Podobno to objaw maniacki, ale co zrobić, nie umiem się powstrzymać, wciąż mi się zdaje, że czytelnikom należy wyjaśnić, o co istotnie idzie, aby nie pozostawali z mylnymi wiadomościami zbyt długo.

Tym razem idzie mi o drobny tekścik, zatytułowany z lekka ironicznie **„Bardzo poważny problem"**, jak to, cytuję: **„od tygodni walkuje „PANORAMA" śląska. Idzie o reprezentacyjny szwadron LWP."** Te koniki, to rzeczywiście mój konik od co najmniej dziesięciu lat, ostatnio rzeczywiście, po wprowadzeniu rogatywek od nowa, szeroko propagowany, zwłaszcza przez posła Janusza Przymanowskiego z rodziny Pancernych (pamiętacie te łódzkie tłumy wokół czołgu RUDY?). W „Odgłosach" czytam co następuje, nr 22 z 3-IX, co mi dostarczyło Biuro Wycinków.

„...Ostatnio, jakby traktując los Reprezentacyjnego Szwadronu za przesądzony (na „Tak", przyp. SK) **tygodnik PANORAMA wchodzi w szczegóły. Szymon Kobyliński zaprojektował już nowe mundury, szczegóły wyposażenia i uprzęży. W ostatnim numerze grupa miłośników Dawnej Broni i Barwy ustosunkowała się do propozycji Kobylińskiego, która jest kompilacją różnych elementów na bazie munduru szwoleżera Księstwa Warszawskiego: Wersja historyczna jest niezwykle kuszaca, ale dziś wyglądałaby... operetkowo. Gala owszem, ale Szwadron to żołnierze! a nie przebierańcy... — Propozycja znawców Dawnej Broni jest rzeczowa: Szwadron ma być jednostka współczesnego wojska, niech więc będzie umundurowane tak, jak całe wojsko..."**

I choć pokpiwacie dalej, jakie to problemy ma w trudnych czasach beztroska „Panorama", jednakże popatrzcie bliżej na tę akurat kwestię. I ona, jak rozmaite inne, pozwala — właśnie wobec posępnych ekonomicznie i socjalnie chwil — odetchnąć trochę inną aurą, aurą ponadczasową, co stanowi zabieg łagodzący nastrój. Z tej przyczyny także się pisze o tysiącach innych, może i błahych, ale kojących duszę problemów, sami obok podajecie rzecz o humorach pana Piechniczka, ditto o Kazimierzu Górskim, czy o panu Porębie. Tu zawracam ku Szwadronowi wyjaśniając od razu: nie ma przeciwstawienia „luźny laik Kobyliński contra naukowa grupa członków Stowarzyszenia Miłośników Dawnej Broni i Barwy". Akurat jestem, jak tamci panowie, i to o wiele dłużej, niż oni w tymże Stowarzyszeniu, tu jest więc remis, startujemy z tego samego punktu.

Nie znam tych panów osobiście, ale podejrzewam, że są bardzo młodzi, bo nie pamiętają — o czym też napisałem do tejże „PANORAMY" — paru zasadniczych rzeczy. Że na przykład założyciel naszego Stowarzyszenia przed wojną, dziś jego „patron", wielki klasyk broniznawstwa Bronisław Gembarzewski wprowadził w rocznicę Powstania Listopadowego zmianę warty przed Belwederem w — jak powiadają dziś moi polemiści — „operetkowych", bo precyzyjnie historycznych kostiumach. Do dziś ten pomysł jest powtarzany w Szkołach Oficerskich, w każdy Dzień Podchorążego, choć już nie tak dokładnie w sensie mundurowym (są błędy), ale nadal nikt nie uważa wojaków w dawnym stroju za operetkowych, czy wodewilowych przebierańców, lecz za wyraz hołdu tradycjom.

Tak samo przed kilkunastu laty kolejny prezes tegoż naszego Stowarzyszenia, ku wielkiej satysfakcji nieprzebranych tłumów oraz rzeczywiście zafascynowanych massmediów (krajowych i z całego świata), odtworzył w Defiladzie Tysiąclecia wygląd naszych wojsk od Mieszka do dziś, i znów nikt nie widział w tym żadnych zgryw, a jedynie wzruszającą panoramę rodzimej historii.

No więc, skoro nasi prezesi szli tą drogą, ośmieliłem się pójść i ja. Jednakże, gdy każdy określony czas lub mundur kawalerzysty z początków ub. wieku był obciążony innym skojarzeniem, zawsze jakoś nie najzręczniejszym (tu imperializm Bonapartego, tu zawisłość od Wielkiego Księcia etc.) — poszedłem tą drogą, jakiej użyli m.in. Francuzi w swojej najświetniejszej jednostce reprezentacyjnej. Wszyscy znamy z kronik międzynarodowych ten przepyszny widok kirasjerów Republiki, asystujących najdostojniejszym ludziom i chwilom. A jeźdźcy ci nie są powtórzeniem określonego pułku z określonego roku, lecz (jak i w moim zamyśle) kirasjerami „w ogóle", „jako takimi". Ja też pragnąłbym ukazać naszego, w rogatej czapie z kitą, z amarantowymi rabatami, z polską szablą — „ułana w ogóle", „kawalerzystę jako takiego". Nie jest to więc kompilacja z różnych kawałków, co najwyżej aluzje wzrokowe, w sumie tworzące nową, nieco uogólniającą wizję kawalerzysty.

A dlaczego początek XIX wieku? Proste. Cały świat czyni to samo. I tu moi polemiści, przezywając przebierańcami z operetki takich akurat reprezentacyjnych wojaków, ubliżają godności owych francuskich kirasjerów, tudzież niezliczonym innym, w historyczne mundury lub aluzje do takowych, odzianym jednostkom, zdobywającym współczesność. Gwardia papieska, całe wielkie formacje Wielkiej Brytanii, Danii, Włoch, Szwecji, Argentyny, oraz Węgier, Bułgarii, nadto Grecji, Holandii, Portugalii i jeszcze wielu innych narodów i państw — oto przykłady tych, którzy są przekonani, iż czczą swoją przeszłość, a tymczasem kilku panów obwieszcza, że się tylko ośmieszają! Czy dadzą jednak radę przekonać tyle społeczeństw i rządów do zmiany zdania?

Tymczasem sami, acz członkowie naszego szacownego Stowarzyszenia, dają — na tak samo zabytkowych, jak moje akurat — czaprakach à la Księstwo Warszawskie, współczesne siodełka... sportowe (co już im ktoś z oburzeniem wytknął), w siodłach zaś, żeby było oryginalnie, sadzają dzisiejszą piechotę z Kampanii Reprezentacyjnej. Skutkiem tego powstaje projekt pierwszy w dziejach jazdy światowej, aby kawalerzyści mieli krawaty! Poza arystokratyczną w formie galopadą myśliwską za tzw. lisem, czy też zawodami jeździeckimi, taka sytuacja się jeszcze w kawalerii nie przydarzyła, byłoby to pierwszy raz. No, ale jeśli wprowadzenie akcentów sportowych do Szwadronu Reprezentacyjnego ma być lepsze, niż zastosowanie u nas i tego, co stosowaliśmy i co nadal kultywujemy (w ów Dzień Podchorążego chociażby); lepsze też niż praktyka najświetniejszych oddziałów, przydających dostojeństwa imprezom mnóstwa państw — także socjalistycznych — to cóż ja tu mogę poradzić. Widocznie, wraz z owymi państwami, pozostaniemy po stronie „operetkowych przebierańców", wspominając założyciela i prezesów Stowarzyszenia Miłośników Dawnej Broni i Barwy, którzy także podobnemu „wodewilowi" hołdowali.

Co pozwoliwszy sobie szeroko, dla odwrócenia uwagi od kłopotów dnia bieżącego, przedstawić, kreślę się z ukłonem

SZYMON KOBYLIŃSKI
Warszawa, 4 października 1982

Skok

W jednym z wrześniowych numerów „Odgłosów" ukazał się reportaż Wacława Opackiego pt. „Skok". Jako, że rozważanie metod napisania tego reportażu bardziej nadaje się na analizę w sali sądowej (na co przyjdzie czas), niż na polemikę prasową, proszę o zamieszczenie niniejszego wyjaśnienia.

Bohaterem reportażu W. Opackiego, wymienionym blisko 20 razy jest ROSŁAN, a jego wspólnikiem JANECZKO. Oprócz tego wymienione zostały dwa nazwiska: prokuratora i milicjanta. Pod artykułem był dopisek, że „nazwiska zostały zmienione". Tylko czyje nazwiska pan Opacki zmienił? „Bohaterem napadu" uczynił osobnika noszącego moją godność, a nazwisko „wspólnika" jest także szeroko znane w Olsztynie i nie tylko. Akcja „opowiastki" dzieje się w województwie olsztyńskim — więc zabawa według pana Opackiego — przednia. O przypadkowości czy zbieżności niezawinionej mowy być nie może, ponieważ pan Opacki mnie oraz Janeczkę zna osobiście od lat kilku, tj. od czasu jego pobytu w Olsztynie.

W środowisku dziennikarskim jego „metody pracy" były szeroko znane — efekty także. Cóż, znajomości tej trudno teraz się wyprzeć, gdyż są na to nawet dowody pisane. Przedstawiłem sylwetkę W. Opackiego w „Itd", ostro polemizowałem z jednym z jego artykułów w „Studencie". Były to dawne czasy i nigdy nie przypuszczałem, że w rewanżu pan Opacki uczyni mnie publicznie kryminalistą, ba, dokładnie oceni mój charakter i opisze nawet cechy zewnętrzne. Cóż, pan Opacki nie po raz pierwszy udowodnił, że etyka w zawodzie dziennikarskim jest najmniej przydatną cechą charakteru. Jak słyszałem, nie po raz pierwszy jestem „czyniony" przez W. Opackiego na łamach „Odgłosów" złodziejem, rozbójnikiem czy bandytą, i nie tylko ja, ale spore grono jego byłych olsztyńskich znajomych. Nie reagowałem, gdyż tygodnika łódzkiego nie czytałem, a plotek nie dementuję. Obecnie dostarczono mi wycinek z „Odgłosów".

Insynuowanie, iż zostałem aresztowany i skazany jako kryminalista, nabiera też innego charakteru. Jako etatowy pracownik pisma „REZONANS", wydawanego przez Zarząd Regionu NSZZ „Solidarność" w Olsztynie, na rozmowach z pracownikami KW MO w Olsztynie spędziłem trochę czasu. Aresztowany nie byłem, choć areszt znam z autopsji. W środowisku literacko-dziennikarskim Olsztyna trudno było ten fakt zataić. W Opacki także chyba o tym wiedział, a jeżeli nawet nie znał moich losów po 13 grudnia ub. r., to mógł się ich domyślić. Stąd insynuacja, że zostałem skazany jako kryminalista nabiera innej wymowy — zastrzeżenie, że nazwiska zostały zmienione, jest żadnym zastrzeżeniem. Uprawiam zawód, w którym nie mogę sobie pozwolić na bezpodstawne i wulgarne deprecjonowanie mojego nazwiska, tym bardziej, że tylko rodzina zamieszkała w Olsztynie identycznie się tytułuje. Artykułu W. Opackiego nie mogę inaczej traktować, jak naruszenie godności osobistej. Przykro mi tylko, że to redakcja „Odgłosów" stała się miejscem i została wykorzystana do naruszenia elementarnych zasad moralnych, etycznych i prawnych dziennikarskiego zawodu.
Olsztyn, 24 IX. 82

JAN ROSŁAN

P.S. Brak odpowiedzi ze strony Redakcji co do losów listu lub jego niewydrukowanie w terminie miesięcznym będę uważał za zignorowanie sprawy i konieczność skorzystania z innych łamów prasowych.

J. R.

☆ ★ ☆

W pierwszej chwili chciałem prosić redaktora naczelnego o kilka dni przerwy w celu skontaktowania się z Toba, postawienia kilku pytań. M.in. tego, czy istotnie ten list napisałeś Ty. Bo w pierwszej chwili nie mogłem uwierzyć, że mogłeś tekst przyjąć w ogóle do siebie i ocenić, że chciałem zrobić „tak celowo". Ale ton pisma jest dość kategoryczny.

Przede wszystkim w pierwszej chwili zabolały, potem jakby zdziwiły uogólnienia, które nie są niczym innym niż tym, co mnie zarzucasz. Nie miejsce i czas na to, żeby publicznie atakować. Po co to robić, zwłaszcza wtedy, gdy istniało dotychczas przynajmniej między nami zrozumienie.

Więc najpierw przepraszam, jeśli istniejące zastrzeżenia zmiany nazwisk w sprawie istotnie nie mającej nic wspólnego z Tobą — nie pomogło. Jeszcze raz przepraszam, i nie tylko Ciebie, lecz i pozostałe osoby, które noszą takie nazwiska, które użyłem w tekście. I jeśli uważają, że mogło to wywołać w środowisku komentarze nieuczciwe i nieprzychylne. Dobór nazwisk jest przypadkowy. Często zmienia się nazwiska, trudno byłoby zawsze operować „Kowalskimi", „Nowakami", „Iksami". I byłoby to tak i przez Ciebie przyjęte, gdyby nie nazwisko autora widniejące na dole reportażu.

Nie zamierzam wyprzeć się znajomości. Ba, nigdy nie miałem tego w zamyśle! Ba — ceniłem i chciałbym cenić ją nadal.

Wielu ludzi uważało nas — plus jeszcze jedną, dwie osoby — za przyjaciół, różniących się wprawdzie charakterem, ale mających jednakowe cele, zmierzających do nich różnymi drogami: niestety i jednocześnie dobrze. Znamy się od dość dawna — prawdopodobnie od 1976 r., gdy pod Twoim okiem (zawsze tak publicznie mówiłem) lub później razem, szlifowaliśmy dziennikarskim piórem olsztyńskie bruki. Dość dobrze poznałem, to także dzięki informacjom pochodzącym od Ciebie, olsztyńskie realia. I ci, co je znają i znają Nas, nie mogą tak samo odczytać włączenia zmienionych nazwisk — owszem, może nie tak często spotykanych — w tekst reportażu.

Stawiasz tezę, że mogłem domyślać się Twoich losów po 13 grudnia. Może tu kilka słów. Nigdy lub prawie nigdy nie dyskutowaliśmy wspólnie na tematy polityczne. Nie wymienialiśmy swoich poglądów, chociaż je doskonale znaliśmy. Nie przeszkadzało nam to nigdy, gdy było nam Siebie po prostu brak — spotykać się i mówić o swojej pracy, wymieniać doświadczenia. Tym bardziej po 13 grudnia mogłem, zgadzam się z Tobą, domyślać się Twoich losów. Po 13 grudnia próbowałem zasięgnąć informacji o Tobie. Okazało się, że pomyliłem się. Normalnie Jesteś i działasz, czytam Cię w pismach centralnych. Dlatego dziwię się, że pozostajesz przy tezie „mogłem się domyślać Twoich losów". Twoje losy są po prostu inne. To znaczy, że jakąś tam drogę kompromisu i rozsądku — chociaż nie wiem czy tak inni Twoi koledzy oceniają, chociaż wiem, że nie chciałbyś taką postawę nazwać uległością lub jeszcze inaczej — wybrałeś. Żadne okresy ostatnich lat czy miesięcy naszej historii nie zmieniły mojego stosunku do Ciebie. Nigdy dotychczas, mimo zajmowania przeciwstawnych pozycji politycznych, ale chcących Dobra — myślę, że nie ustawaliśmy we wzajemnym szacunku do człowieka. Szkoda, że tak szybko próbujesz wszystko wrzucać do jednego worka.

W okresie posierpniowym spotkaliśmy się dokładnie raz — z udziałem wspólnego znajomego. Wiesz dobrze, że jeśli chodzi o „metody", to Twoja postawa budziła zaniepokojenie — delikatnie ujmując — a przede wszystkim wprowadzała ludzi w kłopoty, nie tylko mnie. Np. wielokrotnie nie wywiązywałeś się z umówionych terminów wspólnych przedsięwzięć (czasami przesuwałeś o rok terminy, zaszywałeś się gdzieś na kilka miesięcy, wyjeżdżałeś nikomu o tym nie mówiąc).

Znasz mój stosunek do wielu spraw, które rozgrywały się w okresie posierpniowym w Olsztynie. Publicznie zabierałem głos, za co obrywałem niezasłużone cięgi. Przyklaskiwałeś wtedy mojej postawie. I wiesz dobrze, że nigdy nie byłem skłonny lekkomyślnie zrobić coś, co by zaszkodziło sprawie, pomyślności, zrobić coś, co by zaszkodziło przyjaciołom, którzy jeśli zrobili źle — wtedy rezygnowałem z zajmowania stanowiska. W wielu przypadkach wiesz dobrze, że chodziło o Ciebie.

Wiesz doskonale o tym, koledzy szczególnie, że użyte w tekście nazwisko, które Ty nosisz nie ma żadnego związku z Tobą, ani tym bardziej z Twoją działalnością w okresie między Sierpniem a Grudniem ani tym bardziej Twoim obecnym statusem (chciałbym wiedzieć właśnie od Ciebie — jakim?).

Stało się. Przepraszam. Także redaktora naczelnego, który zebrał niezasłużone i niezawinione cięgi.

Przydało się jeszcze jedno doświadczenie: jak bardzo i jak nagle w okresie Zmian zmienia się natura człowieka.

WACŁAW OPACKI

W kręgu fantastyki

Sonda

Obudził się z głową ciężką jak kowadło i suchym językiem. Z trudem otworzył oczy i popatrzył mętnie na sufit. Przez długą chwilę leżał nieruchomo. Przenikliwy, wibrujący dźwięk budzika umilkł już, lecz jego echo wciąż jeszcze bębniło Fredowi pod czaszką, przyprawiając go niemalże o torsje.

Uniósł się z posłania. W głowie zaszumiało mu jak w czajniku pełnym gotującej się wody. Z cichym westchnieniem opuścił nogi na zimną podłogę i przecierając pięściami powieki usiadł na tapczanie Ziewnął szeroko, rozglądając się po skotłowanej pościeli. Dopiero teraz zauważył, że miał na sobie zmiętoszone, wieczorowe ubranie.

— Cholera — pomyślał przyciskając dłoń do zbolałego czoła. — Chyba wczoraj się dobrze bawiłem — Ziewnął znowu. Nieprzyjemny chłód plastyku pod stopami przywracał mu nie co świadomość. — Gdzie ja wczoraj byłem? — usiłował sobie przypomieć. — Zaraz... Aha, u Anthonego... Ale kac.

Na kalendarzu przy drzwiach jarzyła się data: 14 lipca, piątek. Podniósł się ociężale i powlókł do łazienki. Rozwiązał krawat, ściągnął marynarkę i koszulę, rzucił to wszystko pod wannę i odkręcił niebieski kurek nad umywalką. Odczekał chwilę i zamknąwszy oczy wsadził głowę w strumień lodowatej wody. Otworzył usta i chwytał ją chciwie w wyschnięte gardło. Pomogło. Ściągnął z siebie resztę ubrania i uruchomił prysznic.

W jakiś czas później, już odświeżony, wyszedł z łazienki trąc ciało szorstkim ręcznikiem i skierował się ku szafie, szukając w niej świeżej bielizny. Po drodze ściągnął ze stołu syfon z niedopitą wodą sodową i wlał w siebie całą jego zawartość. Pomimo tego gardło nadal pozostało suche i spieczone.

— Ależ kac — powtórzył, ubrawszy się wreszcie. Usiadł i usiłował sobie przypomnieć, co się z nim działo poprzedniego dnia. Wszystko było strasznie niewyraźne, zamglone. Pamiętał jakieś twarze, znajome i nieznajome, ale za nic nie mógł sobie przypomnieć, z kim i o czym rozmawiał. Stosunkowo najlepiej przypominał sobie jakąś blondyneczkę, z którą spędził prawie cały wieczór. Potem chyba ją odprowadzał. Miał ją zabrać do domu... Ale co dalej?

Napełnił szklankę musującym sokiem i uniósł ją do ust. Wytężył umysł, marszcząc brwi. Ale pamięć podsuwała mu uporczywie tylko jakiś koszmar ze snu. Środek ciemnej ulicy, pędzące światła samochodu, ryk klaksonu i wysoki kobiecy krzyk. Ból...

Otrząsnął się.

— Tak czy owak ciekawe, jak mi się udało wrócić do domu — pomyślał. — I gdzie się podziała ta mała.

Głos doszedł go znienacka, wpół słowa. Był to jego własny głos, mówiący coś spokojnie, monotonnie, niemalże jak automat. W pierwszej chwili wydało mu się, że go słyszy, ale ten głos nie docierał do jego uszu, lecz jakby tkwił wewnątrz mózgu.

„...niego. Kwestię tę badam w dalszym ciągu" — mówił głos — „i ostateczne ustalenia postram się przekazać jak najszybciej."

— A niech to... — pomyślał zdziwiony Fred. Szklanka z niedopitym sokiem wyśliznęła mu się z rąk i rozbiła o podłogę.

„Kwestia 3498. Uzupełnienie do poprzednich informacji" — płynął głęboko w jego umyśle wartki potok słów — „Firma Metzelt produkuje charakteryzujące się podwojoną ilością maksymalną informacji na wejściu podstawowym i powiększonym współczynnikiem przepływu danych w systemach procesorowych komputery systemu Metzelt NF-328 od grudnia ubiegłego roku w ilości około stu sztuk dziennie. Maszyny te znajdują najprzeróżniejsze zastosowania, także i w astronautyce, jednak — dla potrzeb lotów kosmicznych opracowywany jest aktualnie nowy model, będący udoskonaloną wersją typu NF-328. Zdaniem jednego z jego projektantów, ani on, ani w ogóle żadna ziemska maszyna cyfrowa nie jest w stanie osiągnąć poziomu samodzielności, o jaki pytacie..."

— Może to telepatia? — pomyślał. — Ale to jest mój własny głos.

Zauważył, że rozumuje jakby dwupoziomowo: na wierzchu kłębiły się gorączkowo jego myśli, a pod nimi płynął niewzruszenie potok słów.

„Kwestia 3499. Ciąg dalszy poprzednich informacji. Ostatnie sondaże agencji APR w północnych i południowych rejonach kraju wykazują znaczną przewagę partii konserwatywnych, zwłaszcza Chadecji. Zdaniem Llonella Anthona, przewodniczącego miejscowego oddziału Chadecji i burmistrza Harei partie lewicowe nie mają na północy większych szans, mogą natomiast liczyć na więcej niż 50 proc głosów na słabiej rozwiniętym południu. Natomiast kwestia, kto będzie z ramienia Chadecji kandydował do fotela prezydenckiego pozostaje nadal otwarta, najprawdopodobniej jednak zostanie rozstrzygnięta w najbliższym tygodniu."

Słowa te stały się nieco cichsze, niż na początku. Momentami cichły nawet do tego stopnia, że Fredowi trudno było je zrozumieć, po czym znów stawały się głośniejsze. Powoli zaczął do nich przywykać, jak do monotonnego terkotania aparatu projekcyjnego w kinie.

— Do diabła z tym — pomyślał, idąc do kuchni. — Później się nad tym zastanowię.

Przechodząc przez przedpokój zauważył plik tkwiących w skrzynce pocztowej gazet, spośród których wyzierała gruba, kolorowa okładka miesięcznika astronomicznego.

— Po co ja to zamówiłem? — zastanawiał się, rzucając gazety na kuchenny stół i podpalając gaz. — Zdaje się, że miałem coś pisać o astronomii... nie pamiętam.

Lewą ręką wyjął z pojemnika bochenek chleba, położył na stole i wziąwszy w prawą nóż zaczął go kroić na kromki.

„Kwestia 3501. W dalszym ciągu brak mi na ten temat fachowych informacji, uważam je jednak za możliwe do zdobycia. W tym celu wybieram się jutro do Meresco, na spotkanie z jednym z najwybitniejszych fachowców w tej dziedzinie, profesorem Gluchtem, który..."

Nóż nagle ześliznął się po skórze wczorajszego chleba i z dużą siłą uderzył Freda we wskazujący palec lewej ręki, rozcinając go głęboko. Fred zasyczał przez zęby, podnosząc zranioną dłoń do góry. Oglądając głęboką ranę pobiegł do łazienki, pogrzebał chwilę na półce i wylał na ranę środek dezynfekujący. Zapiekło. Zbliżył palec do oczu i zgiął go tak, by brzegi rany się rozstąpiły, chcąc zobaczyć na jaką głębokość sięga rozcięcie.

To, co miał pod skórą i cienką warstwą przekrwionej, gąbczastej substancji, nie było ludzkim ciałem. Nadcięta nożem plątanina cieniutkich drucików o żółtoczerwonej barwie miedzi odsłaniała częściowo jakieś białe, walcowate elementy, zetknięte ze sobą końcami.

Wrócił do kuchni. Obtarł ostrze noża o koszulę i delikatnie wsunął je głęboko w ranę, rozgarniając białe walce. Zaiskrzyło. Poczuł w dłoni przyjemne ciepło. Pomiędzy łańcuchami połączonych ze sobą walców zalśniła jakaś jasnożółta powierzchnia.

ANDRZEJ HABDANK

Ze zdziwienia wyrwał go dzwonek telefonu. Odłożył nóż i starając się nie myśleć o niczym podszedł do aparatu.

— Cześć — rozległ się w podniesionej słuchawce schrypnięty głos Steyensa. — Już myślałem, że jeszcze nie wytrzeźwiałeś. Zbieraj się, za chwilę będę u ciebie i jedziemy.

— Dokąd?

— Zapomniałeś? Przecież umawialiśmy się wczoraj, że mam cię zawieźć na Mont Cralton, bo twój wóz jest w naprawie. Chyba już jesteśmy spóźnieni.

— A, tak... Przypominam sobie. Przepraszam, ale byłem wczoraj trochę nie w formie.

— Nie tłumacz się — zarechotał w słuchawce Steyens. — Nie musisz. Masz ciężkiego kaca, co? Ja też. No dobra, to jadę.

— Zaczekaj. Nie mogę dzisiaj.

— Oszalałeś? Godzinę zawracałeś mi głowę, że to takie ważne!

— Tak, ale... Sytuacja się poważnie zmieniła. Przykro mi.

— Stało się coś ważnego?

— Tak. Nic groźnego, nie mogę ci na razie wyjawić szczegółów.

— No dobra, to do zobaczenia wieczorem. A jak ci się wczoraj udało z tą małą.

— Nie bardzo. Zwiała mi.

„Co jest, moim zdaniem, wystarczającym potwierdzeniem waszej tezy" — nasilił się głos pod czaszką, spychając wszystko inne na dalszy plan.

— I nie dała ci adresu?

— Nie — to był prawie jęk.

— Wcale się nie dziwię, zamiast się nią zająć pół wieczoru wypytywałeś Mezera o komputery. Ta Annie... ona ma telefon AP 92-887, adresu nie pamiętam.

— Dobrze, dziękuję. To na razie.

Odłożył słuchawkę i spojrzał na swój palec. Brzegi rany przycisnęły się do siebie jak dwa magnesy, rozdzielone tylko wąską smużką czerwieni. Nie dały się rozerwać.

„Koniec raportu 1327" — oświadczył Głos i zamilkł. Fred podświadomie skupił całą swą uwagę na wsłuchiwaniu się, czy nie odezwie się znowu. Po chwili, gdy był już prawie pewien, że to nie nastąpi., usłyszał nagle:

„Cholera... chyba wczoraj się dobrze bawiłem".

To była jego pierwsza myśl tego dnia, pamiętał dobrze.

„Gdzie ja wczoraj byłem? Zaraz.. Aha, u Anthonego... Ale kac".

Zorientował się, że czuje przeraźliwe zimno w stopach, jakby stał boso na plastyku podłogi, chociaż miał już na nogach grube skarpety i pantofle. W jego oczach nakładały się dwa obrazy: bardziej wyrazisty, tego, co miał przed sobą. Drugi, słabszy, był jakby echem tego, co widział zaraz po przebudzeniu. Zapalił papierosa i usiadł na tapczanie. Czuł dziwną słabość rozlewającą się po mięśniach.

— Przeżywam wszystko dwukrotnie — myślał. — Jakby wszystko, co przewija się przez mój mózg, wracało do niego po jakimś czasie. A ten głos z raną... Wygląda, jakbym w nocy, w czasie snu składał komuś raport z całego dnia.

Poczuł na głowie strumień lodowatej wody, aż sięgnął dłonią ku suchym włosom.

— Moja ręka jest sztuczna. Może uległem jakiemuś wypadkowi i zastąpiono ją protezą? Ale dlaczego nic nie pamiętam? W ogóle nie pamiętam mnóstwa rzeczy. Jestem dziennikarzem, ale co ja w ogóle w tym zawodzie robię? Przecież nie umiałbym sklecić nawet dwóch słów reportażu. O czym mogłem rozmawiać wczoraj ze Steyensem, po co miałem dziś jechać na Mont Cralton, po co wypytywałem Matera o budowę komputerów?

Przypomniał sobie, że tego właśnie dotyczyła kwestia 3498. Podniósł się z tapczanu i zaczął nerwowo chodzić po pokoju, nie zwracając uwagi na coraz większe zmęczenie.

— A jeśli nie tylko ręka, ale całe moje ciało jest sztuczne? Jeśli jestem robotem, mającym zbierać informacje i przekazywać je komuś?

„...nego. Kwestię tę badam w dalszym ciągu i ostateczne ustalenia postaram się przedstawić jak najszybciej" — ten głos w mózgu był jeszcze cichszy, płynął jakby pod dwoma poprzednimi.

„A niech to" — gdzieś bardzo daleko, na granicy słyszalności złowił dalekie echo odgłosu tłukącego się szkła.

— Ile równoległych zapisów będzie rozbrzmiewało w moim mózgu za kilka godzin? — przeraził się.

„...antów ani on, ani w ogóle żadna ziemska maszyna cyfrowa nie jest w stanie osiągnąć poziomu samodzielności..."

„Może to telepatia? Ale to jest mój własny głos".

Nagle poczuł z przerażeniem, że uginają się pod nim nogi. Osunął się na podłogę, dysząc ciężko. Przed oczyma wirowały mu barwne płaty.

— Słabnę — uświadomił sobie.

Przy jego głowie rozległ się dzwonek. Wyciągnął rękę do góry i ściągnął słuchawkę z widełek.

— Do diabła, Fred — krzyknął ze słuchawki Landson. — Gdzie ty się podziewasz? Miałeś być przed godziną!

— Nie mogę przyjechać... Skąd dzwonisz?

— Jak to, skąd? Z obserwatorium, oczywiście. Wreszcie jestem gdzieś przed tobą Słuchaj, to jest prawdziwa bomba! To odbija fale, nawet nie tylko elektromagnetyczne, ale w ogóle wszystkie możliwe rodzaje fal. Właśnie się zastanawiają, z czego to jest zbudowane.

— Co?

— Jak to co?! Ten obłok. Jest właśnie najbliżej Układu Słonecznego. Podobno największe radiostacje odbierają od pewnego czasu swoje własne programy z kilkudziesięciominutowym opóźnieniem. Straciłeś bombowy temat!

— Landson... Słuchaj... Ten obłok, patrząc na niego z Ziemi... Co on w tej chwili zasłania?

— Chwilę, zapytam. Chyba Węża i kawałek wokół niego.

— A kiedy on to odsłoni?

— Astronomowie mówią, że mniej więcej za godzinę. Ale...

Fred odłożył słuchawkę.

„Brak kontaktu, brak kontaktu" — zawodził mu w mózgu powracający sygnał. — „Dopływ energii odcięty. Brak kontaktu..."

Słabł coraz bardziej. Leżał na podłodze, dysząc ciężko. Zrozumiał wszystko. Przed paroma laty miał ciężki wypadek, wtedy jeszcze na pewno był człowiekiem z krwi i kości. Może zginął wtedy, a Oni tylko skopiowali jego ciało i wyposażyli je w okaleczoną, kontrolowaną psychikę, samodzielną na tyle, by mogła zbierać dla nich informacje, lecz niezdolną do buntu. Poruszył się z trudem. Energia kończyła się. Wiedział, że Oni muszą być gdzieś w pobliżu, może nawet już jechali po niego.

— Muszę uciec, za wszelką cenę uciec — myślał rozpaczliwie, lecz wiedział, że mógłby wykonać co najwyżej kilka kroków.

„Ta Annie... Ona ma telefon AP-92-887..."

Uniósł się z trudem i zaczął wykręcać ten właśnie numer.

— Może ona — myślał. — Prawie mnie nie zna. Ale powinna mi pomóc...

— Słucham? — rozległ się w słuchawce drżący głos starej kobiety.

— Halo? Chcę mówić z Annie.

— Annie? — głos kobiety załamał się płaczem — Annie nie żyje... Wczoraj przejechał ją samochód...

Środek ciemnej ulicy, pędzące światła samochodu, ryk klaksonu i wysoki, kobiecy krzyk...

— Proszę pani! — krzyczał, zużywając na to resztki skumulowanej w ciele energii. — Czy ona była sama? Nie było z nią kogoś jeszcze?!

— Nie, tylko ona. Ten kierowca uciekł... Znaleźli ją potem.

Odłożył słuchawkę na widełki i osunął się ciężko na podłogę.

Nie pozwolą mi umrzeć. Nie wypuszczą mnie z rąk, jestem zbyt cenny. Muszę zniszczyć swoje ciało, zanim oni odzyskają nade mną kontrolę. Spalić, spalić cały dom...

Z największym trudem pełznął do kuchni. Energia kończyła się, zdrętwiałe mięśnie odmawiały mu posłuszeństwa. Jeszcze wyciągnął rękę przed siebie, najwyższym wysiłkiem woli wpił rozcapierzone palce w dywan. I tak znieruchomiał, zapadając się powoli w ciemność.

„A niech to..." — zadźwięczał cichutko głos na samym dnie jego gasnącej świadomości.

Obudził się późno. Stanowczo za późno. Za to po raz pierwszy od dłuższego czasu bez kaca. Spojrzał przelotnie na kalendarz, na którym jarzyła się data: 15 lipca, sobota. Wyskoczył z łóżka i pobiegł do łazienki.

— Takie całodzienne włóczenie się po lesie też ma swoje dobre strony — myślał przy goleniu. — W życiu się tak dobrze nie czułem. Tylko, że nie stać mnie, żeby częściej tracić na odpoczynek cały dzień. Landson sprzątnął mi reportaż sprzed nosa... No, nic, dziś jadę do Meresco, odbiję sobie.

Wycierając ręce przyglądał się przez chwilę małej rance na palcu, śladowi po wczorajszej ucieczce z miasta, który zadał sobie przy nieostrożnym otwieraniu puszki konserw.

WARSZAWA, lipiec 1981

Spod lady czyli: co ostatnio było w księgarniach

1. Marcin Wolski „ENKLAWA, NEOMATRIARCHAT, SWINKA".

Wydawnictwo Literackie, nakład 20.000 egz.

Książkowa wersja znanych nam z „trójki" opowiadań. Na dobrym poziomie, trzyma w napięciu i, co chyba najważniejsze, napisane po polsku, a nie po polskiemu, jak często to się zdarza.

2. J. G. Ballard „WYSPA".

Czytelnik, nakład 20 000 egz.

Choć to nie fantastyka, ale autor znakomity i znany przede wszystkim z SF, stąd wspominać o niej nie należy. Przeczytać radzimy, powinna być jeszcze w bibliotekach publicznych.

3. Kornel Makuszyński „PRZYJACIEL WESOŁEGO DIABŁA".

Wydawnictwo Literackie, nakład 100.000 egz. (tylko!!!)

Książka wydana po raz pierwszy od 1930 roku. Baśń. Chwalić nie będziemy, bo nie mam sądzić Makuszyńskiego. Proponujemy wydawcy natychmiast drugie wydanie.

4. „SPOTKANIA W PRZESTWORZACH — 1" Antologia młodych.

KAW, nakład 100.000 egz.

Pozycja słabiutka i bardzo nierówna, czyli są rzeczy przeciętne, słabe i bardzo złe. Szersze omówienie w jednym z najbliższych numerów.

5. Janusz Zajdel „OGON DIABŁA".

KAW, seria „z dżdżownicą", nakład 100.000 egz.

Fatalna książka dobrego skądinąd pisarza. Recenzja za tydzień.

6 Stanisław Lem „WIZJA LOKALNA"

Wydawnictwo Literackie, nakład 50 000 egz.

REWELACJA! Omówienie będziemy w stanie napisać, po powtórnym przeczytaniu pozycji.

SFAN-CLUB
WARSZAWA

Kosmostworki ANDRZEJA BIEDRZYCKIEGO

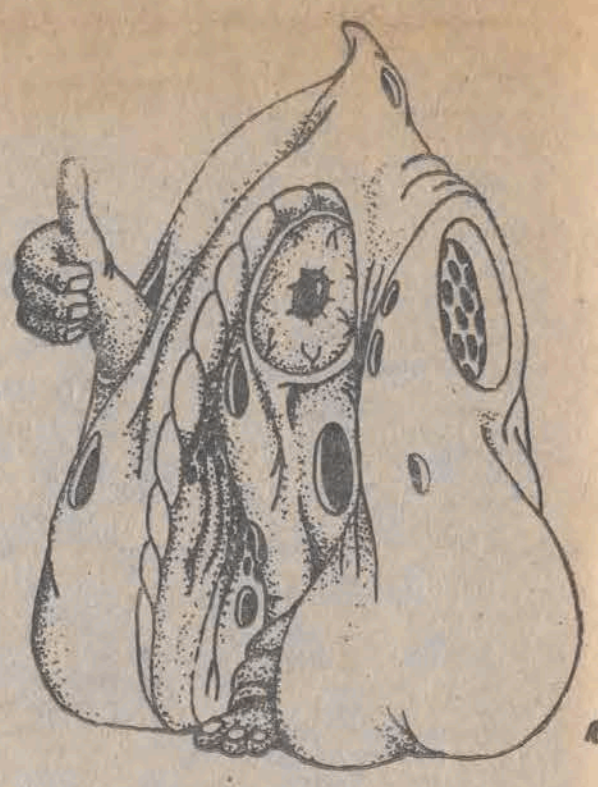

Rącznik poplątaniec. *Manutium contontulium*

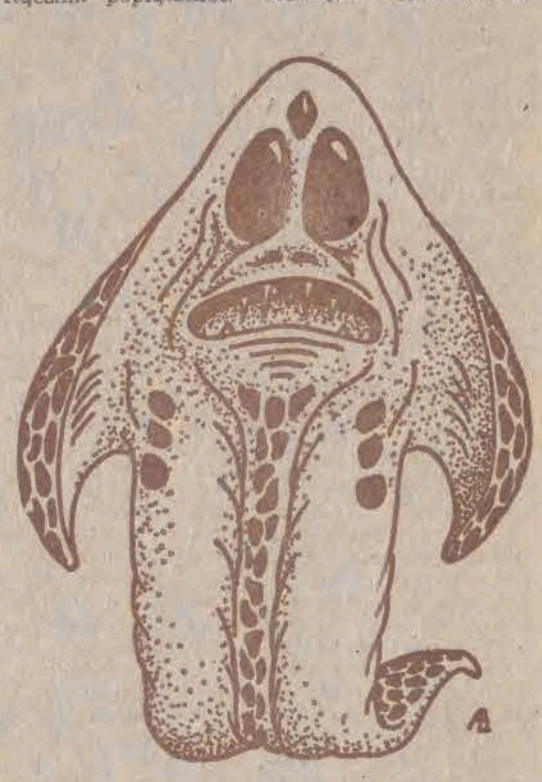

Rabuś wypukły. *Ereptor convexus*

WSPÓŁREDAGUJE WARSZAWSKI SFAN-CLUB,
ALEJE JEROZOLIMSKIE 2, GROTEKA, 00-375 WARSZAWA

W kręgu fantastyki

WIKTOR KOŁUPAJEW

Huśtawka Pustelnika

Na tajemniczej planecie Pustelnik, gdzie wśród dzikiej przyrody ziemianie odkryli wciąż sprawne technicznie budowle pozostawione przez jakąś starą cywilizację, ląduje statek łącznikowy „Fiołek". Niestety spośród dwustuosobowej ekspedycji na tzw. Stacji Centralnej znajdują jedną jedyną dziewczynę i to w stanie szoku — Evę.

5

Erli ostrożnie wyniósł dziewczynę na ganek Centralnej. Sewan stał niemal w zenicie i dopiero teraz Erli zauważył jak było gorąco. Domki znajdowały się około trzystu metrów od głównego wejścia i żeby skrócić sobie drogę, Erli przeszedł na przełaj przez trawę. Znajoma, ziemska trawa miękko szeleściła pod nogami. Gałęzie drzew czepiały się twarzy i ubrania. Ich dotyk był zadziwiająco miękki i delikatny. Erli przyłapał się na tym, że nie myśli o katastrofie, która się tu zdarzyła, że zapomniał o Ley, zapomniał o wszystkim i że troszczy się tylko o jedno — żeby niezręcznym ruchem nie zmącić snu dziewczyny.

Ocknął się z zamyślenia i od razu zrobiło mu się gorzej. Czas! Ile czasu przeszło od momentu, gdy wylądowali na Pustelniku? Około trzydziestu minut, a jeszcze nic nie wiadomo. Co z Ley? Co się stało ze wszystkimi? Cała nadzieja w Evie i w tym, że w sztabie ekspedycji znajdą jakieś zapisy... Powinni coś znaleźć.

Popatrzył uważnie na twarz Evy. Co ona tu przeżyła?

Erli znalazł domek i kopnięciem otworzył drzwi. Minął jeden pokój, drugi. Gdzie jest sypialnia? Niech szlag trafi tych architektów. Tu i zabłądzić nietrudno. Wreszcie zobaczył szeroki, niski tapczan i położył na nim dziewczynę. Spała. Oddech miała spokojny, a serce biło spokojnie i równomiernie. Erli wyjrzał przez okno.

Nikołaj Trajkow, zeskoczywszy z ganku Centralnej, biegł w kierunku domku. Sven i Henry szli wolno. Kilka razy zatrzymali się. Widać było, że Thompson tłumaczy coś Wirtowi, który tylko przecząco kręcił głową.

— Co z nią? — spytał Nikołaj.

— Śpi — zwięźle odpowiedział Erli.

— Czyżby nic nie powiedziała?

— Powiedziała: „Jak tu strasznie."

— Co to mogło znaczyć?

— Albo to, co się stało ze wszystkimi, albo to, co ona sama przeżyła, albo jedno i drugie razem. Trzeba będzie zastosować stymulator ND. Nie mamy czasu. Teraz musi się ocknąć... Pośpi sobie potem.

— Dobrze — odparł Nikołaj i wyszedł do łazienki, gdzie zazwyczaj przechowywane były wszelkie lekarstwa.

Do pokoju weszli Sven i Henry.

— Henry prosi, żeby dać mu wirolot — już od progu rzekł Sven.

— Ja tylko dolecę do Ozy i wrócę. To zaledwie cztery godziny — pospiesznie wyrzucił z siebie Henry. — I tak trzeba będzie lecieć do bazy. A Oza jest w najbliższej. Dajcie mi wirolot.

— Ale przecież ty nawet nie umiesz pilotować — mruknął Sven i odwrócił się. Trudno mu było wytrzymać błagalny wzrok Henry'ego.

— To wcale nie jest skomplikowane.

— Nie, Henry. Nie. Jest nas tylko pięcioro. I minęło już trzydzieści pięć minut od kiedy tu jesteśmy, a wciąż jeszcze nic nie wiemy! Nic! Rozumiesz? — i cicho dodał. — Poczekaj trochę. Zaraz obudzi się Eva.

Henry podskoczył do Svena i chwycił go za zamek przy kurtce.

— Jakim prawem tu dowodzisz?! Tu nie „Fiołek"! Kto ty jesteś? Stakowski? Tu są po dwa wiroloty na każdego z nas. Możecie zajmować się czym chcecie, a ja polecę do Ozy. Muszę, koniecznie muszę wiedzieć, co się z nią stało. Muszę to wiedzieć teraz, zaraz, rozumiesz? Nie mam zamiaru czekać, aż wy się zorientujecie.

— No cóż — cicho powiedział Sven. — Niech decyduje większość.

Wszedł Nikołaj trzymając w wyciągniętej ręce strzykawkę. Watką umoczoną w spirytusie przetarł Evie rękę powyżej łokcia i zrobił zastrzyk. Henry milcząc usiadł nagle w fotelu. Zamknął oczy, odchylił się na oparcie i zaczął wolno kołysać się razem z fotelem z całej siły zaciskając dłonie na poręczach.

Eva otworzyła oczy, niedowierzająco rozejrzała się po pokoju i ledwo dosłyszalnie wyszeptała:

— Chłopcy...

— Uspokój się Eva — Sven podszedł do niej, pomógł podnieść się i gestem ręki wskazał Erli'ego. — Erli Kozales, dziennikarz — fizyk. Przyleciał z nami...

Dziewczyna usiadła, podwinęła nogi pod siebie i oparła się na prawej ręce.

— To znaczy, że nie zwariowałam?...

— Co tu się stało? — twardo spytał Sven.

— Gdybym to wiedziała...

— Eva, co tu się stało? — powtórzył Sven.

— Nie mam pojęcia co się stało... Ale opowiem wszystko, co wiem. Cztery dni po tym jak wystartowaliście z Pustelnika, Stakowski ogłosił, żeby wszyscy przygotowali się do odlotu na bazy. Zdarzało się to i wcześniej, więc nikt się nie zdziwił. Zaczęły się wyjazdy. Dziesiątego na Centralnej zostali tylko Ezra, Jumm i ja. Pozostali odlecieli.

— Wszyscy prócz was trojga?

— Tak.

— I Oza odleciała na swoją bazę? — pozornie beznamiętnie zapytał Henry.

— Tak. Namawiali ją, żeby została, ale bardzo nastawała, by ją też wysłać.

— A kiedy powinni byli wrócić?

— Dwunastego. Oprócz tych, którzy stale mieszkali na bazach.

— Co miał zamiar zrobić Stakowski?

— Nie wiem. Słyszałam, jak Ezra mówił Jummowi, że Stakowski chce pokazać, co to takiego huśtawka.

— Huśtawka? — zdziwił się Sven.

— Co za huśtawka? — spytał Erli.

— Nie wiem — Eva wzruszyła ramionami. — Ezra i Jumm siedzieli przy centralnym pulpicie, w sztabie. Stamtąd przecież jest łączność ze wszystkimi bazami. I komputer też tam jest. Posłali mnie po kawę. Zeszłam na dół. Kawa stała w termosach w barze. Wzięłam jeden i weszłam na górę. To wszystko zajęło mi nie więcej niż dwie minuty, tak mi się wydawało. Weszłam do sztabu. Ezry i Jumma tam nie było. W miejscach, gdzie siedzieli zobaczyłam dwa szkielety i strzępy spalonej odzieży... — Eva zakryła rękami twarz i pokręciła głową. — To coś strasznego.

Sven przysiadł na brzeżku tapczanu i odciągnął ręce dziewczyny od zapłakanych oczu.

— Co było dalej?

— Przestraszyłam się. Nie mogłam sobie wytłumaczyć, co się stało. I to właśnie było najgorsze. Wywołałam wszystkie bazy naraz. Nikt nie odpowiedział. Cała aparatura była popsuta. Wybiegłam z kopuły zatrzaskując drzwi. Może uda się ich wywołać z centrali łączności zewnętrznej — myślałam z nadzieją. — Przecież ona dubluje łączność pulpitu. Ale tam też nikt nie odpowiedział. I wtedy sobie wyobraziłam, że zostałam sama jedna na całej planecie. Nie wiedziałam, co się stało ze wszystkimi, co stanie się ze mną teraz, za moment, za minutę.

Zostałam sama. To było przerażające. Zmusiłam się, by pójść do sztabu. Trzeba było doprowadzić do porządku materiały. Przecież wy mieliście przylecieć na Pustelnika! Musiałam jakoś ułatwić wam zadanie. Chociaż w czymś pomóc. Ale okazało się, że pamięć komputera jest czysta — żadnej informacji. Zupełnie jakby umyślnie ktoś ją starł. Taśmy z aparatów rejestrujących zniknęły. Wszystko tam zardzewiało, połamało się, popsuło. Nie został żaden dokument, na podstawie którego można by było sądzić, co działo się na bazach w ostatnich godzinach przed katastrofą. Nie znajdziecie tam nic.

Eva zamilkła.

— Mów dalej, Evo. Teraz jest nas pięcioro — rzekł Sven.

— Wtedy zaczęłam mieć halucynacje. Myślałam, że wariuję. Od tego zrobiło się jeszcze gorzej, jeszcze straszniej. Czasami widziałam Ezrę i Jumma, jak chodzą po Centralnej i dyskutują. Ale przecież ich nie ma. Przecież oni umarli. Ale mimo wszystko oni chodzą. To szaleństwo? Człowiek nie może tyle znieść. Który dziś mamy?

— Dwudziesty czwarty.

— To znaczy, że minęło dwanaście dni. Wyglądam na obłąkaną?

— Jesteś zdrowa, Eva — powiedział Nikołaj. — Jesteś tylko bardzo zmęczona.

— Boję się.

— Teraz już się niczego nie musisz bać — Sven położył rękę na jej ramieniu. — Nie pominęłaś niczego istotnego?

— Nie... Zmęczyłam się. Zmęczyłam się tym wszystkim.

— Eva, teraz zaśniesz. Musisz odpocząć.

— Nie zostawicie mnie samej? Prawda?

— Eva, będziesz sama. My nie możemy tracić czasu. Powinnaś nas zrozumieć.

— Dobrze, zasnę. Ale nie dłużej niż na dwie godziny. To mi zupełnie wystarczy.

— Śpij, Eva.

Czterech ludzi wyszło z pokoju. Dziewczyna odprowadziła ich wzrokiem pełnym nadziei. Tak, jest ich teraz pięcioro.

6

Erli wyszedł na ganek drewnianego domku i rozejrzał się. Dookoła było tak pięknie! Rozrzucone w nieładzie domki pośród wielkiego, cienistego parku. Biała grupa Centralnej, jakby płynąca na tle bezdennego, błękitnego nieba. Miękka, zielona trawa i dzikie kwiaty, zupełnie jak na Ziemi. Dziwne, powodujące zawrót głowy zapachy, na które wcześniej nie zwrócił uwagi — wszystko było niezwykłe, nowe, nieznajome.

Obejrzał się i zgromił się w myśli za te sentymenty nie na miejscu. Przed nim leżał Pustelnik, jego drzemiąca selwa i tysiące nierozwiązanych problemów. Dwieście dziesięć osób wyposażonych w najdoskonalsze środki transportu, łączności i obrony nie wróciło na Centralną.

I znów, tak jak wtedy gdy niósł Evę, zrobiło mu się źle. Gdyby miał czas zanalizować to uczucie, zrozumiałby, że to strach. Strach, że nigdy więcej nie zobaczy Ley. Największy strach, kiedy człowiek nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, że się boi.

— Co robimy dalej? — spytał Sven Thompson. — Przecież tak nie można — i wskazał ręką na pozostałych. — Trzeba koniecznie coś robić.

Henry leżał na trawie twarzą do ziemi i zdaje się płakał. Nikołaj nerwowo przygryzał wargi.

— Minęła prawie godzina — stwierdził Erli — a my nadal nic nie wiemy. Trzeba sporządzić plan działania. Przecież oni nie mogli tak wszyscy naraz...

— Dlaczego nie puściliście mnie do Ozy!? — krzyknął Henry. — Dlaczego? — i uderzył pięścią w trawę. Sven skoczył ku niemu, gwałtownym szarpnięciem podniósł z ziemi i silnie potrząsnął.

— Henry! Uspokój się! Weź się w garść!

— Wybacz Henry — powiedział Erli. — Polecisz do Ozy. Z pewnością zaraz tak zadecydujemy. Teraz pójdziemy do Centralnej i tam wszystko postanowimy...

Henry opanował się wreszcie, wstał i wszyscy czterej skierowali się do Centralnej.

— O jakiej huśtawce mówił Stakowski? — spytał Erli Svena. — Nie wiesz przypadkiem, co miał na myśli?

— Nic mi nie przychodzi do głowy.

— Do tej pory o czymś takim nie wspominał?

— Niczego takiego nie zdarzyło mi się słyszeć.

Zatrzymali się przy centralnym pulpicie.

— Jak można przedstawić huśtawkę? — spytał nagle Nikołaj. Pozostali popatrzyli na niego zdziwionym i nie rozumiejącym wzrokiem.

— No, jak najprościej, schematycznie można przedstawić huśtawkę?

Erli narysował na papierze prostą linię przez całą kartkę, a pośrodku przeciął ją odcinkiem pod niewielkim kątem.

— Tak mniej więcej bym i ja narysował — rzekł Sven. — Ale o co chodzi. Widziałeś gdzieś taką?

— Widziałem. Zupełnie niedawno, nieraz widziałem. Może tydzień temu, może dawniej. Tylko gdzie i dlaczego? Nie mogę sobie przypomnieć. Ale postaram się.

— Od razu nie możesz? — spytał Sven.

— Nie.

— Postaraj się sobie przypomnieć. Może właśnie w tym tkwi rozwiązanie? A tymczasem przygotujmy plan działania. Nie możemy przez cały czas przebywać razem. Dlatego potrzebna nam będzie wzajemna łączność. Potrzebna nam jakaś centrala, do której spływałyby wszystkie informacje, które będziemy zbierać. Jeden z nas powinien stale znajdować się tu, w Centralnej. Najlepiej w ośrodku łączności. Będzie to wygodne w przypadku, gdy któryś z nich nagle się odezwie. Kto zostanie? Henry oczywiście nie zechce...

— Nie.

— Więc kto? Ja jestem zmuszony lecieć z Henry'm, choć mógłbym sam.

— Nie — powtórzył Henry.

— Erli nie zdołał się jeszcze we wszystkim zorientować...

— Eva — rzekł Nikołaj. — Dopóki ona śpi, ja tu będę. A kiedy się obudzi.. Dla mnie, z pewnością, znajdzie się bardziej odpowiednia robota...

— Dobrze — Sven wstał i przeszedł się po pokoju. — Każdy ma wziąć ze sobą tarczę łączności wewnętrznej i radiotelefon do łączności zewnętrznej. I nigdy się z nimi nie rozstawać. Każdy zobowiązany jest zawsze mieć przy sobie chociaż lekki blaster. Nie wiemy co się tu zdarzyło. Henry i ja polecimy wirolotem do bazy Ozy. Wystarczą nam na to cztery godziny.

— Tam nie działa radiolatarnia — rzekł Henry. — Przeprowadziłem nasłuch.

— Dawniej wystarczyłyby cztery godziny. Ale bez namiaru... Nie wiem, czy uda mi się szybko ją znaleźć na podstawie mapy.

— Ja tam bywałem — powiedział Henry. — Szybko ją odnajdziemy.

— W takim razie lecimy. A ty Erli spróbuj wyłamać drzwi sztabu.

— Eva mówiła, że ma klucz — sprzeciwił się Nikołaj.

— Rzeczywiście, jak mogłem o tym zapomnieć? Tym lepiej. No cóż, chodźmy. Co będziemy robić za kilka godzin — nie wiem.

— Nie ma sensu zastanawiać się nad tym — rzekł Nikołaj i wyszli na korytarz.

Sven powiedział:

— Jeśli to wrócili ci, którzy byli tu przed nami?... Jeśli są do nas wrogo nastawieni, nie pozostanie nam nic innego, jak odlecieć „Fiołkiem". Od razu bym tak zrobił, gdybym był przekonany, że oprócz nas nie ma tu żadnego żywego człowieka.

Pięć minut wystarczyło im na odnalezienie kieszonkowych radiostacji i blasterów. Sven i Henry pobiegli do hangaru wirolotów. Nikołaj włączył wszystkie odbiorniki pulpitu łączności. Erli poszedł do domku Evy.

7

Erli postanowił nie budzić Evy. Przez te kilka godzin obejdą się bez niej. Niech lepiej odpocznie jak należy. Wysunął z jej biurka kilka szuflad, ale klucza tam nie było. Znalazł go natomiast na piersi dziewczyny, na łańcuszku razem z malutkim medalionem. Starając się by przypadkiem Evy nie zbudzić, Erli rozpiął łańcuszek i delikatnie go pociągnął. Dziewczyna lekko się poruszyła i ścięła mu rękę, ale nie obudziła się. Wreszcie klucz znalazł się u niego. Nie tracił już czasu na zapinanie łańcuszka. Po cichutku wyszedł z pokoju.

Przed drzwiami sztabu zatrzymał się, wyrównał oddech, wywołał Trajkowa i spytał:

— Nik, czy oni już polecieli?

— Polecieli. Wszystko w porządku. Będę z nimi rozmawiał co dwadzieścia minut. Możesz zajmować się swoimi sprawami.

— No to wspaniale.

— Gdzie jesteś?

— Otwieram drzwi do sztabu. Ledwo znalazłem klucz...

Erli otworzył drzwi. Wionęło na niego stęchłym powietrzem. To go zdziwiło. Czyżby zepsuła się wentylacja? Nie zadziałał też automat uruchamiający oświetlenie. Ledwo dostrzegalnie świecił sufit. Odrobinę jaśniej od strony południowej i północnej, w środku zaś było zupełnie ciemne pasmo. Przy takim oświetleniu trudno było cokolwiek zobaczyć i Erli poruszał się niemal po omacku.. Trochę pomagała struga światła, padająca przez otwarte drzwi.

Nie znał rozkładu pomieszczenia, ale oczy pomału przywykały do półmroku. Poruszał się już pewniej, ale cała jego pewność siebie znikła, kiedy dotknął ręką oparcia krzesła i płócienne obicie rozsypało się w pył pod palcami. Erli zatrzymał się. Nie, lepiej wziąć latarnię. Ale dlaczego nie działa oświetlenie? Szybko, wzdłuż świetlnego pasma podszedł do drzwi i namacał ręką wyłącznik. Nacisnął. Charakterystycznego pstryknięcia nie usłyszał, zaś elementy wyłącznika z hałasem upadły na podłogę.

— Erli — wywołał go Trajkow.

Erli, niespodziewanie wywołany drgnął i nie wiadomo dlaczego odpowiedział szeptem:

— Tak, Nik.

— Co tam u ciebie?

— Dziwne...

— Pomóc?

— Nie, Nik. Nie trzeba. Powiedz lepiej, gdzie mogę najprędzej znaleźć latarnię?

— Latarnię? Co ty, w podziemiach jesteś?

— Nie myśl, że zwariowałem. Automatyka nie działa, a wyłącznik rozsypał mi się pod palcami.

— Wątpię, czy znajdziesz bliżej, niż w pomieszczeniach gospodarczych. Przynieść ci ją?

— Sam pójdę. Nie powinieneś odchodzić od pulpitu łączności.

— Łączność dopiero za trzynaście minut. Zdążę.

— Nie, Nik. Przez cały czas powinien tam ktoś dyżurować.

Erli zszedł po schodach, znów przebiegł przez korytarz trzeciego pierścienia i zagłębił się w podziemne przejście. Kolba blastera obijała mu się o plecy. Erli pomyślał nawet, że tu w Centralnej Stacji, broń jest całkiem zbędna. Łańcuszek świateł biegł wraz z nim, odrobinę go wyprzedzając. Tu wszystko działało normalnie W pomieszczeniach gospodarczych stała tablica informacyjna. Erli nacisnął guzik „oświetlenie awaryjne", zapamiętał numer sekcji i pobiegł dalej. Drzwi sekcji otworzyły się same, gdy tylko się do nich zbliżył. Na zastanawianie się nie było czasu, więc chwycił niewielką latarkę i schował do kieszeni kombinezonu. Znalazł na półce dwie duże lampy akumulatorowe, wziął je, potem trochę się ociągając wziął jeszcze dwie. Więcej nie mógłby już unieść.

Tak samo biegiem powrócił do pomieszczenia sztabowego. Przed drzwiami wciągnął głęboko powietrze i wszedł. Postawił lampy na podłodze, zapalił jedną z nich i podniósłszy wysoko nad głową wolno poszedł naprzód.

Była to sala o średnicy około czterdziestu metrów. Wzdłuż ścian stały zespoły komputera, bloki pamięci zewnętrznej, drukarki, plottery i cała aparatura pomocnicza Obok nich stało piętnaście foteli operatorskich. Kiedy Konrad Stakowski zaczynał kolejne pogotowie opracowywania informacji, wszystkie one były zajęte.

Środek sali zajmowała dziesięciometrowa podkowa głównego pulpitu z różnokolorowymi szachownicami przycisków i klawiszy programowania, urządzeniami dwustronnej łączności z dwudziestoma bazami położonymi na Pustelniku, pulpit głównego komputera, tablica sygnalizacji alarmowej, aparatura wewnętrznej wideołączności. Na samym środku sali stało jeszcze kilka foteli. Zazwyczaj zajmowali je: Stakowski, Filip Ezra i Edwin Jumm.

Erli postawił lampę na pulpicie. Obszedł go dookoła niczego nie dotykając, a następnie wszedł do środka. Pierwsze dwa fotele były puste. W trzecim i czwartym siedziały dwa ludzkie szkielety, gdzieniegdzie obciągnięte skórą i strzępkami odzieży.

Przez kilka sekund Erli przyglądał im się, potem spazmatycznie wciągnął ciepłe, zatęchłe powietrze i ścisnął rękami skronie. Po raz trzeci ogarnęła go fala strachu i zaczął cofać się do wyjścia, powstrzymując wyrywający się z gardła krzyk. Zawadził o róg drzwi i aż wzdrygnął się, tak to było niespodziewane. Pod wpływem jasnego światła na korytarzu trochę doszedł do siebie.

„A jak tu się musiała czuć Eva — pomyślał. — Kobieta, sama. I jeszcze potrafiła coś nam opowiedzieć. Znalazła siły, żeby upewnić się, że w blokach pamięci została starta cała informacja. Ja nawet tego nie byłem w stanie zrobić".

— Erli, co tam u ciebie? — wywołał go Trajkow.

— Pozostało nam dowiedzieć się, co się stało z pozostałymi dwustu dwudziestu ośmioma...

— To znaczy... Eva powiedziała prawdę?

— Jeszcze jaką prawdę.

— Wywołuję mnie Henry. Wyłączam się.

— Pozostało dowiedzieć się, co się stało z pozostałymi dwustu dwudziestu ośmioma — jeszcze raz szeptem powiedział Erli i ponownie wszedł do sali.

C.D.N.

kolumna ajencyjna

Kolumna ósma (aby do przodu!)

KAŻDY, KTO DRUKOWANE TU TEKSTY TRAKTUJE SERIO — CZYNI TO NA WŁASNĄ ODPOWIEDZIALNOŚĆ!

Więc pod tego Rozbickiego

Co prawda, nie ukazała się jeszcze książka o turystyce Sotera Rozmiar Rozbickiego, ale już dziś przekazujemy co nieco z tej dziedziny. Na początek dziedziny pokrewieństw językowych, polsko-bułgarskich. Przydadzą się one amatorom wypoczynku nad Morzem Czarnym, miłośnikom języka, a takich na szczęście nie brak.

Po pierwszych słowach podziwu, że jednak jedziemy, że nie odstraszyły nas ceny, autor daje praktyczne wskazówki, żeby się nam, początkującym, faux pas nie przydarzyło:

...Zachodzimy np. do mieszkania, mieszkańcy są gościnni i pierwsze słowa jakie słyszymy to „zapowiadajcie" (z akcentem na wia). Proszę się nie peszyć, nie jest to absolutnie wyrzut, iż wizytę należało zapowiedzieć zgodnie z przysłowiem rosyjskim „nieżdannyj gost chuże Tatarina" — ale jest to gościnne zaproszenie: witamy, zachodźcie bliżej, siadajcie".

Kiedy na stole pokaże się miód polski (.polski" z przedniojęzykowym twardym „i") nie myślcie, że jest to import z naszego kraju, oznacza on miód polny, patrz „polskie drogi", (drogi polne); w piekarni nie domagaj się od czarnookiej sprzedawczyni bułki, bowiem „bułka" to kobieta dojrzała, żona; w tramwaju gdy cię poproszą, ażebyś podupkał, nie wytrzeszczaj zdziwionych oczu, chodziło o bilet, dupka to dziurka, np. Miecia dupka to nie pojęcie intymne w kręgu znajomych naszego kolegi, ale niedźwiedzie legowisko (Miecio — niedźwiedź, dupka — gawra, dziura). Jeżeli ci nasza gospodyni powie, iż jej sąsiad się „zbyrkał", wiedz, że sąsiadka jest wolna, gdyż mąż odszedł od niej, tu ci się przypomina fragment naszej pastorałki: „koza się zbyrkała, powróz mu urwała, skoczyła, jak dzika do lasu bieżała". Widzimy tu przesunięcie znaczeniowe. Jak i w następnym przykładzie: spikerka na dworcu zapowiada pociąg z takiego a takiego „kołoboku" — nie myśl, że wagony tuż, tuż — zgodnie z piosenką ludową: ty dziewczyno ruszaj sobą, bo mi źle tańcować z tobą, bo mi wisisz koło boku itd. Kołobok to peron. A poza tym wszystko podobne: chleb / chliab, mleko / mliako, nie ma / niama pączki / ponczki, piasek / pjasek itd).

Wiadomości o SRR: J. Tuwim — Pegaz dęba str. 7, 373, W-wa 1950; Życie i sprawy Sotera Rozbickiego Pacyenta Filozofii, Łódź 1980.

Z poważaniem

KAZIMIERZ GUZIK (Polanica Zdrój)

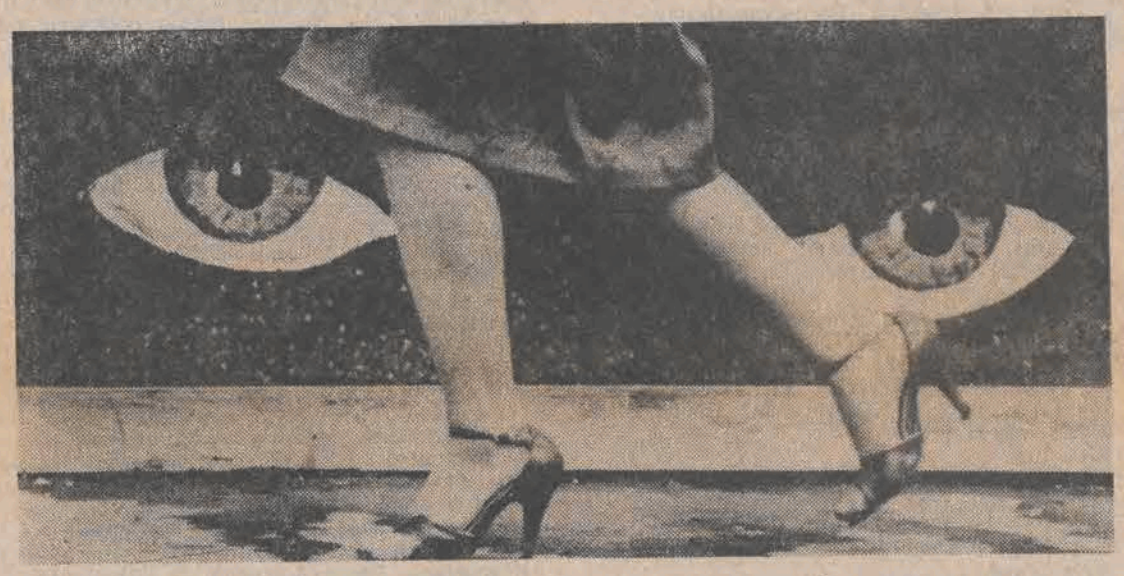

Henryk Czarnecki

Refleksja

...Ciasno. Coraz trudniej się schronić. Szpary w podłodze zajęte. Świerszcz wyprowadził się zza żeberek kaloryfera, w telewizorze dudni i huczy dla dwudziestu od razu milionów...

Trzeba zostawić sobie maleńką lukę wśród rzeczy konkretnych. Kawałek miejsca, gdzie wszystko może się zdarzyć...

Wybierzmy się na wycieczkę po strychu. Gdzie zakurzone kalendarze, zabawki, ramy od zapomnianych obrazów, na które dzisiaj ludziom brak czasu, szkoda im czasu, żeby przystanąć, wmalować trochę miejsca dokoła, dotknąć do ucha, posłuchać. Może świerszcz za kominem się wtedy odezwie?...

Daleko od spraw ogromnych, przytłaczających swoim ciężarem...

Dzisiaj w dobie lodówek telewizorów, coraz mniej miejsca na świerszcze, na coś małego jak gest, jak chwila, jak zatrzymanie się w biegu na chwilę...

Nie ma strychów, nie ma skrzypiących schodów, nie ma CZASU — co będzie, gdy jeszcze i świerszczy zabraknie?...

Co powiesisz na swojej ścianie?

Zdjęcie to można traktować jako rodzaj testu: otóż Czytelnik winien wypatrzeć wśród widocznych tu obrazów ten, który najchętniej powiesiłby na swojej ścianie, a następnie zapytać ukochanej Żony o opinię na tenże temat.

Jeżeli wybór będzie zgodny — na przykład padnie na który z pejzaży, widocznych niestety tylko we fragmentach — będą żyli zgodnie i szczęśliwie. Jeżeli jednak Pan wybierze nie całkiem ubraną panią, a Pani — eleganckiego starszego pana w muszce, perspektywy dla małżeństwa są raczej marne.

Na pocieszenie dodajmy jednak, że większość testów się nie sprawdza...

Roman Gorzelski

LIMERYKI

STRATY

Spiszę ten dzień na straty, z forsy nic nie wyszło.
Wieczór też diabli wzięli, bo dziewczę nie przyszło.
I choć znów w fortepianie — na złość! — pękła struna,
Można uciec na biegun koniem na biegunach:
Lecz chyba nic nie wyjdzie i z tego pomysłu...

CHŁOPAK

Pewien chłopak ze wsi Kładno
Miał dziewczynę bardzo ładną.
Mimo woli
Wyszedł z roli.
Ktoś tworzy z nią parę składną.

List do redakcji

OSZCZĘDZAJMY!

Traktując z należytą obywatelską powagą nakaz oszczędzania wszędzie, gdzie się da, proponujemy wprowadzić powszechną nową ortografię, mianowicie posługiwanie się w niektórych wypadkach cyframi zamiast liter.

Jak wynika z załączonej próbki tekstu, pisanego według proponowanych zasad zamiast 414 znaków literowych, niezbędnych w dotychczasowym systemie, użyto tylko 351, oszczędność wyniosła więc aż 15 proc.! Prosimy sprawdzić!

A oto zmodernizowany, oszczędnościowy tekst:

„Podobno pewien meliniarz da 1 aturat swym klientom zamiast wódki. Klient o 2 znie wypija i pod 3 mytwany przez kumpli idzie na po 4 zykując wpadnięcie na szefa. Najgrub 6 any go nie za 3 maja. Zataczając 7 oluje wszystko po drodze i u n 8 a opinię publiczną. Bo się tylko szefa. Le 200 żka skręci ku poczcie, myśli ze strachem: pa 300 ry, czy nie? 100 i tam za kioskiem czy nie 100 i?

Ale nikt nie pa 13 zke. Można iść dalej, plotąc 3 po 3 i ni w 5 ni w 9-..."

Włodzimierz Krzemiński (adres i tel. znane red.)

Lektury przy jedzeniu

Dziś z naszej ukochanej książki „Kołduny, pyzy i inne przysmaki" pióra Biruty Markuzy Bienieckiej wybraliśmy dwa dania stosunkowo proste i nawet możliwe do zrealizowania, pod warunkiem wszakże, że ktoś będzie miał ochotę na coś tak dziwnego. Oto przepisy na:

GULASZ NIEDZIELNY

Szklanka bobu, szklanka fasoli, szklanka grochu, szklanka kaszy jęczmiennej, 5—7 szt. ziemniaków, 0,5 kg mięsa, pieprz, listek laurowy, sól, majeranek.

Bób, fasolkę, groch i kaszę jęczmienną wymoczyć. Włożyć do naczynia, wlać 3 l zimnej wody, dodać pokrojone w kawałki mięso i listek laurowy. Gotować na wolnym ogniu ok. 40 minut, mieszając co pewien czas. Dodać obrane i pokrajane ziemniaki i dalej gotować 30—40 minut, osolić, dodać trochę utartego majeranku i jeszcze krótką chwilę gotować. Nadmiar płynu odlać, naczynie szczelnie przykryć i silnie nim potrząsnąć.

ZIEMNIAKI DUSZONE W SERWATCE

Obrane ziemniaki umyć, pokrajać na duże kawałki, dodać posiekaną cebulę, sól, zalać świeżą serwatką i udusić pod przykryciem.

Polać skwareczkami i podawać do zsiadłego mleka, kapuśniaku lub kwaszonych ogórków.

Nasza mała inwentaryzacja

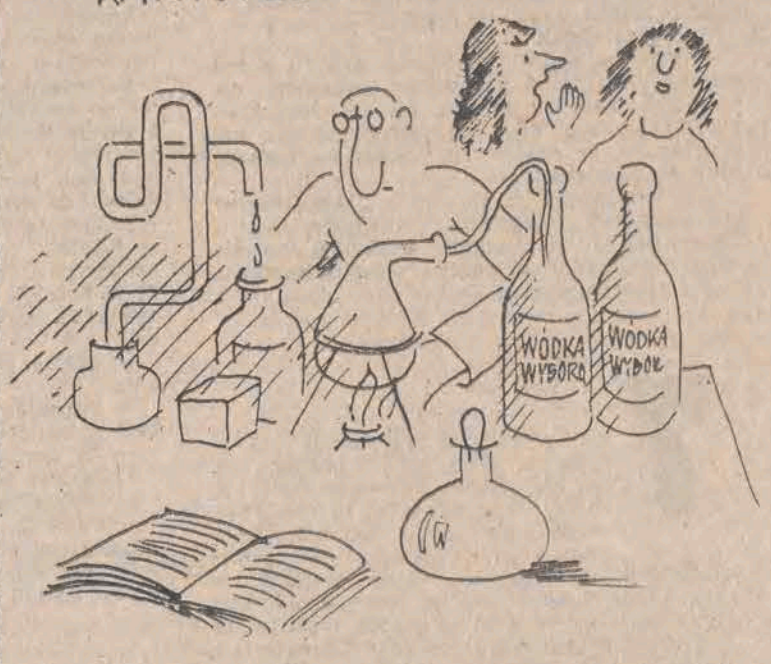

Rys. Zbigniew Jujka

Każdy szanujący się lokal, sklep, magazyn, czy co tam może być jeszcze, ma przygotowane dla klientów miłe niespodzianki w rodzaju remontu bez podania terminu otwarcia, przebranżowienia (co trwa jeszcze dłużej), przyjęcia towaru, a w ostateczności inwentaryzacji.

My również pod byle jakim pretekstem postanowiliśmy urządzić małą inwentaryzację, poprosiliśmy przeto nadwornego plastyka „Odpłosów" o sporządzenie stosownej wywieszki ze zwyczajowym napisem: WYSZŁEM DO DYREKCJI. Artysta, z głową w chmurach, wszystko jednak pokręcił i wykaligrafował: WYSZEDŁEM DO REDAKCJI, co było może nawet i po polsku, ale za to bez sensu. I tak oto otrzymaliśmy kolejną nauczkę, że prawdziwie poważne prace należy zlecać wyłącznie sobie samemu.

Natomiast co do inwentaryzacji wypadła ona z grubsza tak:

Mamy ponadnormatywne zapasy zdjęć, przeważnie cokolwiek rozmemliżowanych panienek, niekiedy niebrzydkich nawet. Chomikowaliśmy te zdjęcia, chomikowali i oto zaskoczyła nas jesień, z początku bardzo piękna wprawdzie, ale potem przyjdzie przecież zima... Proponujemy przeto wymianę zdjęć panienek całkiem bez futra na zwykłe, byle jakie, znoszone futerko. Jest to poważna propozycja handlowa, z pewnością są bowiem w Polsce i tacy nieszczęśliwcy, którzy z futrami po prostu nie mają co robić.

Posiadamy też sporo fraszek, myśli mniej lub bardziej nieuczesanych i innych drobiazgów. Są to rzeczy niekiedy wprost urocze i będziemy je kolejno drukować, zgodzą się jednak sami Autorzy, że nie można całej strony upstrzyć takimi malentaskami.

Do tego numeru — któremu daliśmy numer ósmy, nie zważając zbytnio, jaki jest naprawdę — wybraliśmy na przykład dwa limeryki Romana Gorzelskiego, autora jeszcze na Kolumnie Ajencyjnej nie drukowanego. Być może wprawdzie pierwszy z utworów zostanie zakwestionowany z przyczyn formalnych że jest to niby nie całkiem limeryk, ale przynajmniej wyniknie z tego jakaś polemika...

Polemiki, a także listy do redakcji — choćby z pretensjami, zjadliwe i drwiące — to byłoby natomiast to, na czym nam najbardziej zależy. Wszystkie listy traktujemy priorytetowo i drukujemy prawie natychmiast.

Pan Kazimierz Guzik czekał wprawdzie dość długo ze swoim tekścikiem o Rozbickim, nie zwróciliśmy jednak początkowo uwagi, że użył miłego zwrotu „Z POWAŻANIEM". Nadaje to artykułowi prywatny charakter, nic więc dziwnego, że z dalekiego miejsca w kolejce przesunęliśmy go na pierwsze.

Inwentaryzacja wykazała również, że nie wywiązaliśmy się dotąd z uchwały kolegium stwierdzającej iż „JUJKA JEST SMIESZNY". Naprawiamy to zaniedbanie, drukując obiecany trzeci rysunek z serii.

AJENT

1 Zdarzenia i zwierzenia

Kowboj na białym koniu

Nie jestem ani dyplomatą, ani członkiem rządu, tylko osobą prywatną, więc mógłbym sobie pozwolić — nie naruszając obyczajów międzynarodowych — na dosadną, a nawet dość obraźliwą opinię na temat kultury politycznej i umysłowej odtwórcy rewolwerowców z Dzikiego Zachodu Ronalda Reagana. Nie zrobię tego. Wystarczy, że zacytuję co na ten temat napisał Richard Nixon, były prezydent USA, doświadczony polityk, wybitny prawnik, choć — oczywiście — antykomunista.

A zarzucił mu — dosłownie — „wąskie horyzonty myślowe, brak doświadczenia międzynarodowego i niezdolność do rozumienia Europy". Powiedziane więc dość dosadnie o cechach człowieka, który gra swoją życiową i najmniej udaną rolę.

Ostatnio znowu mister Reagan poczuł się... prezydentem Polski Ludowej, wypowiadając na temat problemów związkowych w *Polsce*. Może więc warto przypomnieć oczywistości.

Ronald Reagan jest zdecydowanym zwolennikiem regionalnej — a więc niejako „partyjnej" — struktury związku zawodowego. Oczywiście w Polsce, bowiem w Stanach Zjednoczonych związki zawodowe mają *wyłącznie* strukturę branżową.

Ronald Reagan jest zdecydowanym zwolennikiem współgospodarzenia zakładami pracy, rad robotniczych, rad zakładowych... Oczywiście w Polsce, bowiem w Stanach Zjednoczonych organy takie w ogóle nie są znane.

Ronaldowi Reaganowi zdecydowanie nie podoba się ustawa o związkach zawodowych. Oczywiście w Polsce, bowiem w Stanach Zjednoczonych w *ogóle*, nie ma jednolitego ustawodawstwa związkowego, a więc nie ma ustawy, w oparciu o którą działałby ruch związkowy. Istnieje natomiast dżungla przepisów, którymi można dowolnie manipulować.

Ronald Reagan jest zdecydowanym zwolennikiem nieograniczonego prawa do strajku. Oczywiście w Polsce, bowiem w Stanach Zjednoczonych np. pracownicy państwowi w *ogóle* nie mają takiego prawa i w razie strajku można ich wyrzucić na bruk, a nawet skazać.

Poza tym w USA istnieje przepis prawny mówiący, że w ogóle decyzję o legalności strajku wydaje... sąd, który może — jeśli to uzna za stosowne — wydać zakaz strajkowania. Prawodawstwo USA stoi na straży interesów państwowych i np. zakazuje strajków w przemysłach ważnych dla obronności, w warunkach stanu wojennego, czy stanu klęski żywiołowej...

Tak jest w Stanach Zjednoczonych o czym kowboj na białym koniu doskonale wie. A jednak chciałby, aby w Polsce było inaczej.

Ronald Reagan jest zdecydowanym zwolennikiem kampanii propagandowych „Solidarności", związkowej prasy, autonomicznych programów radiowych i telewizyjnych związków... Oczywiście w Polsce, bowiem w Stanach Zjednoczonych związki zawodowe w *ogóle* nie mają swojej prasy, nie prowadzą publicznych kampanii propagandowych w sprawach wewnętrznych, bo na temat Polski, to i owszem; nie mają swoich programów radiowych i telewizyjnych...

To wszystko są rzeczy oczywiste i znane. Naiwny może zapytać — „dlaczego więc ten brak logiki u prezydenta USA?".

Otóż nie jest to wcale brak logiki. Przeciwnie — jest to bezwzględna, twarda logika, w której Reagana guzik obchodzi Polska i jej związkowcy. Jest to bowiem cyniczna gra „polską kartą" w mocarstwowych interesach kowboja na białym koniu.

JERZY WILMAŃSKI ■

2 Lewym okiem

Strefy negatywne

Mimo sarkastycznych uwag wielu lekarzy, psychologów i w ogóle publicystów, trwa wielka moda na wszelkiego rodzaju „niewytłumaczalne", „ponadzmysłowe", „paranaukowe" sposoby leczenia ludzi. Ci, którzy ostrzegają przed nazbyt bezkrytyczną wiarą w tajemnicze moce uzdrowicieli, dostają po palcach jako ciaśni doktrynerzy, konserwatyści, obskuranci. Sytuacja staje się paradoksalna (na co ktoś już zwrócił uwagę, tylko nie zanotowałem kto): wybitny lekarz — specjalista, posługujący się supernowoczesną aparaturą, najbardziej skomplikowanymi metodami diagnostyki, staje się konserwatystą, a ktoś powołujący się na pradawność jakiejś metody intuicyjnej uważany jest właśnie za prawdziwego postępowca. Jego metody są najlepsze, bo najstarsze, a więc „wypróbowane przez pokolenia". Prorocy przed tysiącami lat uzdrawiali kładzeniem dłoni na czole — coś więc w tym musi być. Ten sam gest powtarzają zwolennicy bioenergii, bioprądów, bioforezy i innych „bio" — i odnotowują lecznicze sukcesy. Czasopisma na wyścigi zabiegają o relacje z coraz dziwniejszych metod i coraz cudowniejszych uzdrowień, siląc się na ich opisywanie niby-naukowym słownictwem.

Wiktor Safonow, biogenetyk radziecki, którego tasiemcowy serial pt. „Nić Ariadny, czyli jak uzdrawiam ludzi", publikuje od miesięcy „Przegląd Tygodniowy", pisze: „zacząłem stosować sposób bezkontaktowy. Od samego początku sposób kontaktowy (tj. kładzenie dłoni na ciele chorego — przyp. mój) wcale mnie nie interesował, gdyż podejrzewałem, że efekt leczniczy osiągnięty jest dzięki lekkiemu masażowi i cieplu dłoni (promieniowanie podczerwone)". Safonow bez żadnego kontaktu odczuwa „strefy sytuacji negatywnej", a leczenie zwyczajnym „kontaktem" uważa za tak oczywiste, że nie warte zainteresowania. „Podejrzewa", że dotykając leczy się po prostu „lekkim masażem". Myślałem, że lekkim masażem można wyleczyć lekkie swędzenie, ale być może „strefy sytuacji negatywnej" reagują na prane (pojęcie tybetańsko-hinduskie, bo tam zawsze działy się rzecy najdziwniejsze, choć tam właśnie kondycja ludzka jest najnędzniejsza, a średnia życia ludzkiego najniższa) i stają się strefami pozytywnymi. Być może.

„Przekrój" drukował już z tuzin rewelacji pani Lucyny Winnickiej o różnych magach, zaklinaczach i cudotwórcach. „Literatura" przed paru laty podniosła sobie nakład publikowaniem sensacyjnych wspomnień jasnowidza Klimuszki. Ludziska czytają te rzeczy chętnie, znękani milionem trosk i cierpień, rozczarowani bezsilnością całej ludzkiej książkowej wiedzy, poddają się łatwo jeszcze jednemu promykowi nadziei, bo może rzeczywiście... Bo kto wie...

Wcale nie zamierzam kpić z tych nadziei. Sam w sytuacji podbramkowej pójdę do owczarza, dotykacza, zaklinacza, kiedy medycyna prawdziwa rozłoży bezradnie ręce. Chyba pójdę, zazdroszcząc innym ich naiwnej wiary, co góry przenosi. Muszę jednak powiedzieć, że w tej lawinie publikacji o Hindusach, Filipińczykach, nawiedzonych pasterzach i księżach podejrzewam przede wszystkim pogoń prasy za sensacją, zjednującą czytelników. I że jestem nadmiarem tych rewelacji znudzony i zdegustowany.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI (ĆWIEK) ■

3 Spojrzenie znad szachownicy

Emigrantom - komentarz i coś jeszcze

Myślę, że należy się czytelnikom parę słów wyjaśnienia. Wiersz Marcina Wolskiego „Emigrantom" publikowany na stronie pierwszej „Odgłosów" poznałem z lektury scenariusza programu „No to cyrk" zrealizowanego przez łódzkie Stowarzyszenie Twórców Kultury. Zespół prowadzi tak zwany objazd, nie możemy go w tej chwili zobaczyć i zrecenzować, mogę jednak upewnić, że nie jest to program ulukrowany i słodki, wręcz przeciwnie raczej.

I dlatego, jak sądzę przynajmniej, ów wiersz-piosenka wykonywany w finale, nabiera w całości programu dodatkowego, głębszego sensu. — Nie jest wcale dobrze — zdają się nam mówić autor i wykonawcy — wiele rzeczy trzeba będzie jeszcze zmienić, poprawić, przebudować, popchnąć na całkiem nowe tory. Ale właśnie dlatego, że potrzebny będzie ogromny, zespolony wysiłek — nie możemy ot tak sobie machnąć ręką na stary kraj i szukać sobie szczęścia gdzie indziej, w nieokreślonych dalach pachnących bananami i dobrym szamponem.

2.

Wolski ma chyba rację, że odwołuje się przede wszystkim do emocji, do czegoś, co nazywamy patriotyzmem, bo odwoływać się do rozsądku znacznie trudniej. Można wprawdzie mówić i mówić, że wcale na nas tak bardzo nie czekają, ale nieodmiennie usłyszymy w odpowiedzi — z młodych ust najczęściej — że jakże, że Staś, Jaś, Zosia, urządzili się znakomicie.

O Ewie, Marku i Adasiu którym nie wyszło, którzy chcieliby wracać, a jeżeli nawet nie wracają, to harują bardzo ciężko i bardzo im na obczyźnie trudno — już się nie wspomina, choć tych ostatnich jest o wielu, wielu więcej.

Każdy ma prawo jednak do marzeń, choćby naiwnych, przeto jeżeli ktoś roi przed zaśnięciem, że zostanie nową księżną Monaco, głównym konstruktorem u Forda, lub przynajmniej oddźwiernym w słynnym hotelu Ritza — niech zasypia z tymi marzeniami pogodnie. Nigdy nigdzie nie wyjechałbym na zawsze, lecz chciałbym mieć talent Karpowa i błyszczeć na wielkich turniejach szachowych, lub wygrać marny milion złotówek w Toto-Lotka i zadać szyku wśród kolegów żurnalistów. Pierwsze nie ziści się już z całą pewnością, drugie — bo ja wiem, wypełniłem właśnie kupon i co trochę przerywam pisanie tego tekściku, aby zaplanować kolejne szaleństwo...

Odsuwając jednak żarty na bok — czy zgadniecie, co mi się marzy najczęściej i najgoręcej? Marzy mi się zobaczyć — jeszcze za życia, a nie dopiero z nieba dla ateuszy, do którego się wybieram — co by się nam udało zrobić z tego kraju, gdybyśmy przestali ze sobą walczyć, ścierać na ulicach, kłócić i sprzeczać, a po prostu zgodnie zabrali do roboty.

3.

Z tym będzie trudno, wiem, raz rozhuśtana i umiejętnie podsycana fala emocji nie może ot tak po prostu przemienić się w stojącą wodę. Cała rzecz w tym jednak, że nasze rozeźlenie, wkurzenie, cała nasza wściekłość na wszystko, co było złe, a niekiedy wciąż jeszcze jest złe — znakomicie dałaby się rozładować w działaniu.

Do licha, przecież my wszystko możemy, a nawet musimy zrobić od początku! Związki będą takie, jakie stworzą ludzie, którzy do związków zgłoszą akces. Samorządy Robotnicze będą takie, jak potrafią działać wybrani do nich przedstawiciele załogi. Reforma gospodarcza uda się na tyle, na ile uprzemysłowi się, iżby się udała. Gdzie nie spojrzeć czeka mnóstwo roboty, pól przeznaczonych pod zasiew, lecz jeszcze nawet nie zaoranych. Mija — bo jeszcze nie minął ze szczętem — czas narzucanych z góry dyrektyw, mamy okazję udowodnić, że potrafimy zrobić lepiej to, co przedtem, przepraszam za słowo, zostało spieprzone.

4.

I coś jeszcze, coś, czego nie potrafię zrozumieć, mimo iż prowadziłem i prowadzę wiele zażartych dyskusji, korespondencyjnych również. Znam niegłupich ludzi, moich serdecznych kolegów od lat wielu, którzy z jakimś zapiekłym uporem mówią tak mniej więcej: — Jurek, w porządku, możemy porozmawiać, możemy nawet wódki się napić, ale jeżeli myślisz, że damy się w coś wciągnąć, to się mylisz. NIE, NIE i na wszystko NIE.

W zadziwiający sposób jedno nie kojarzy im się z drugim. Chcieliby demokratycznych przemian, poprawy sytuacji gospodarczej, sprawnego działania władz państwowych i wszelkiego typu wybieralnych ciał społecznych, ba, powiadają nawet, że nadal są za porozumieniem narodowym, a przynajmniej za budową zaczątków takiego porozumienia od dołu, skoro nie bardzo udało się zbudować je od góry.

Oni jednak — wewnętrzni emigranci, emigranci do nikąd — woleliby stać z boku. Przynajmniej do czasu, kiedy wszystko zmieni się na lepsze. A gdy pytam, kto wobec tego ma dokonywać tych przemian — milczą. Ponuro, beznadziejnie milczą w oczekiwaniu na cud, bądź na poczciwe krasnoludki, które przyjdą posprzątać rodzime śmieci. Umówmy się jednak: milcząc i stojąc z boku bynajmniej nie zostajemy zwolnieni z odpowiedzialności za kraj ojczysty, a przecież nasze własne, prywatne losy, tak czy owak są i nadal będą cząstkami losów tego kraju.

JERZY P. ■

4 Felieton pesymistyczny

Makulaturę do „weków"!

Sporo w życiu już widziałem i nazwisko świadczy, że trudno mnie czymś zaskoczyć, ale okazuje się, że jednak inwencja rodaków nie ma granic. Historia to pouczająca, więc szybciutko ją opowiem.

W połowie sobotniego brydżyka posłyszałem dzwonek do drzwi. Facet z pokaźną torbą wyglądał dość podejrzanie, proponował wstawienie za niebotyczną sumę jakichś zamków, rygli, blokad i zasuw w drzwiach. Gdy odmówiłem, uśmiechnął się lekko i zaproponował, że pokaże mi... sztukę. Tyle rozdrażniony co zaskoczony, dla świętego spokoju zgodziłem się. Zgodnie z instrukcją gościa zamknąłem drzwi na zamek, odwróciłem się i zacząłem liczyć do dziesięciu. Byłem przy „siedmiu", gdy facet poklepał mnie po ramieniu...

Tak, moi drodzy, zgodziłem się na zainstalowanie zasuwy i dwóch blokad. Nawet cena nie wydawała się już wygórowana. Facet uporał się z robotą szybko, fachowo. Inkasując forsę dodał: — Tu u was, na Chojnach, to rzeczywiście tylko złodzieja potrzeba. W jaki sposób sforsował tak szybko drzwi? Posługując się tzw. łyżką do opon wystawił je po prostu z futryny. Tak, zabezpieczenie naszych mieszkań jest rzeczywiście pierwszorzędne, a jakość drzwi podziwiam na równi z inwencją sprytnego ślusarza.

Cecha ta zdecydowanie jest obca naszym rodzimym specjalistom od kompleksowej organizacji skupu makulatury. Drodzy harcerze, renciści, agenci punktów skupu i domorośli zbieracze! Dajcie spokój z tymi papierzyskami! Owszem, „Makulatura jest cenna jak las", tylko okazuje się, że potrzebna ona naszemu przemysłowi papierniczemu jak wrzód na... Okazuje się, że wszystkie zakłady zawalone są wszelkiej maści papierami, ale że importowanej celulozy mają pod dostatkiem (?!), więc zdecydowanie odmawiają przyjmowania dostaw makulatury. Fakt, że zastępuje ta ostatnia w 80 procentach drogocenną celulozę, że zaplanowano jakieś całoroczne dostawy (bodaj 300 tys. ton w skali kraju), że powinniśmy pięć razy się zastanowić, niż wydamy jednego dolara — nie przekonuje widać nikogo.

I cóż robić? Podpalić te hałdy zalegające składnice przedsiębiorstw surowcowych? Zrzeszenie tych ostatnich chwyciło się ostatniej deski ratunku, sugerując eksport makulatury za pośrednictwem renomowanego „Pagedu". Firma ta, po odpowiednich uzgodnieniach, zaproponowała wielce dogodną cenę — 1,80 zł za kilogram. W skupie za taką ilość płaci się 4—6 złotych...

Podbudowany pomysłowością ślusarza sugeruję niniejszym bardziej radykalne posunięcie. Skup opakowań szklanych „leży" nie od dziś. Octu jeszcze nie brakuje (a może to już nieaktualne dane?). Załadować papierzyska do słoi, zalać octem i zgodnie z zasadami sztuki kulinarnej — zawekować! Przeczekać. Wrócą jeszcze czasy hossy!

Hasła i slogany zawsze były naszą mocną stroną. To, że wychodzimy na nich czasem jak przysłowiowy Zabłocki — to już inna sprawa. Magister B., któremu przytoczyłem tę papierową ciekawostkę — nie zdziwił się wcale. Zripostował mi natomiast opowieścią o kuzynie — szewcu, który prowadzi doskonale prosperujący zakład remontujący, tak trudno dostępne obecnie buciki. Po przeciwnej stronie ulicy funkcjonuje spółdzielczy punkt usługowy identycznej maści, tylko, że tam klienci dowiadują się wciąż, że nie ma fleków, skóry, nici, kleju i tym podobnych szewskich drobiazgów. Kuzyn magistra, o dziwo, tych kłopotów nie ma, a że zdolna bestia, i terminy napraw daje krótkie, więc drzwi się nie zamykają. Tyle, że martwi się o swą najbliższą przyszłość. Przeraża go — jak twierdzi — to „zielone światło" dla rzemiosła, przy którego blasku coraz trudniej mu wspomniane dodatki załatwić. Zwą go natomiast coraz częściej, w ślad za prasowymi enuncjacjami „wstrętnym prywaciarzem", „milionerem znad Wisły" i „społecznym wyzyskiwaczem". Przez 20 lat nabijania fleków i zelówek daczy się nie dorobił, ale profilaktycznie jeden z dwóch radioodbiorników sprzedał za parę złotych. Ktoś go postraszył, że jakieś społeczne trójki mają po domach chodzić i rekwirować te znamiona luksusu. Magister ma kłopot, bo kuzyn chce mu teraz „wrobić" kolorowy telewizor. Jak minister Krasiński tłumaczy w telewizji, że to rzeczywiście luksus, to stary rzemieślnik wie czym się to może skończyć. I magister jest w kropce bo już jednego „Rubina" ma. A także lodówkę i elektryczną golarkę, więc sam w strachu...

Tak dyskutując o tym i owym stanęliśmy grzecznie na końcu kolejki w „Delikatesach". Po wódeczkę, bo miesiąc się już kończył i mogła nam ta przydziałowa przepaść. Tak zwanej okazji co prawda nie było, ale jak przydziałowa, to przecież trzeba zrealizować ten papierek. Napatoczył się też zaraz magister K. Zły czegoś. A niby szczęśliwiec tak — od dwóch miesięcy swojego „malucha" na osiedlu pod wiatą trzyma. Na parkingu strzeżonym. Przeszła nam jednak lekka zawiść, gdy wyjawił, że przyjemność kosztuje jednorazowo chyba 14 tys. zł, co miesiąc jeszcze po pięćset, a cała wiata, to kawałek plastykowego daszku na czterech słupkach. Zapisał się jako jeden z pierwszych, forsę zbierał, miejsce losował, a dzisiaj jeszcze ta przygoda!

Papierosy w samochodzie zostawił. Hycnął więc, tak dla „sportu" przez niziutki parkanik, który parking otacza, „Extra-Mocne" z wozu w „garażu" zabrał i przez nikogo nie niepokojony spokojnie tą drogą wrócił. — A jakbym był złodziejem?! — irytował się zgoła niepotrzebnie.

W kiepskich humorach zbliżaliśmy się powoli do lady. „Dobił" nas zupełnie dowcip, którym podzieliła się ze swą rozmówczynią młoda wiekiem kobietka za naszymi plecami:

— Słyszałaś gdzie stanie pomnik Matki-Polki?

— ???

— W kolejce...

STEFAN ŻYCIOWY ■

Redaguje zespół: **Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska** Andrzej Karolczak (sekretarz redakcji) **Jerzy Kwieciński Bogda Madej Andrzej Makowiecki** Grażyna Olechnowicz (z-ca sekretarza redakcji) **Jerzy Panasewicz** (z-ca redaktora naczelnego) Igor Sikirycki (kier. działu literackiego) **Karol J. Stryjski, Janusz Szymański-Glanc** (grafik), Lucjusz **Wiodkowski** (redaktor naczelny), **Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler** (fotoreporter)

Stale współpracują **Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Krystyna Namysłowska, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.**

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy" al. A. Mickiewicza 11, kod 90-438, Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652-44 sekretarz redakcji 680-99 publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca zastrzega sobie również prawo do skrótów informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa — Książka — Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej 1040 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa ul. Towarowa 28, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153 201045 139. Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch". Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres ul. Piotrkowska 96, kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 2181 F-2.

Dokończenie ze strony 1

pem wędruję do naszej mesy.

— Jakie nowiny? — pytają pasażerowie.

Zagrała we mnie krew wilka morskiego.

— Wiatr süd-ost, dwa stopnie w skali Beauforta, widzialność dwieście. Trawersujemy wybrzeże RFN, kurs dwieście dziewięćdziesiąt pięć.

Jedna z pań przysuwa się bliżej.

— Pan coś wspomniał o kursie... Ile stoi?

— Leży — prostuję. — Dwieście dziewięćdziesiąt pięć. Taki kurs trzyma sternik.

— Chodzi mi o kurs dolara... To znaczy... w przeliczeniu na guldeny holenderskie.

Mgła rzednie. Wyprzedzamy masowiec „Huta Katowice" typu „Panomax". Kolos. Dwieście siedemnaście metrów długości, 36.220 BRT. Wiezie nasz węgiel na Zachód.

Płyniemy z maksymalną szybkością 13 węzłów, tj. około 20 km na godzinę. Słońce przebija się przez chmury. Wyciągamy z kabin leżaki. Statek sunie jak po jeziorze, ani śladu grzywaczy.

Przy obiedzie okazuje się, że mamy dodatkową pasażerkę. Właściwie dwie. Pani doktor z Rabki popłynie „Jelenią Górą" do portów Afryki. Towarzyszy jej urocza spanielka Hera. Obie z Rotterdamu pojadą pociągiem do Antwerpii tam się przesiądą na swój statek. Hera łasi się do wszystkich, rozkoszne psisko, tylko bezustannie się drapie. Panią doktor i jej ulubienicę przygarnęła do swej kabiny stewardesa z mesy marynarskiej.

— Mam dla państwa miłą nowinę, zwłaszcza dla pani doktor — anonsuje kapitan. — Zawijamy po dodatkowy ładunek do Antwerpii. W Rotterdamie stoimy prawie trzy dni, w Antwerpii półtora.

Nasze panie są wniebowzięte. Antwerpia jest o wiele tańsza od Rotterdamu — uświadamiają nas. — Ceny na wszystko o 30—50 proc. niższe.

Kapitan zaprasza mnie do swej kabiny.

— Teraz możemy sobie spokojnie porozmawiać.

Dedykuję gospodarzowi tomik mojej książki, wymieniamy wizytówki.

Doc. dr kpt. ż.w. Leszek Plewiński jest wykładowcą i prodziekanem wydziału nawigacyjnego ds. studiów dla pracujących w Wyższej Szkole Morskiej w Szczecinie. Jego praca doktorska „Czynniki kształtujące politykę inwestycji tonażowych żeglugi trampowej" została wyróżniona nagrodą resortowego ministra.

— Przepraszam bardzo, w takim razie jak pan się znalazł na statku?

Pływanie to moje hobby. Rokrocznie spędzam wakacje w morzu. Tego roku przypadło mi sześć tygodni, akurat trzy rejsy, na które wybrałem „Świeradów Zdrój".

Kapitan ma 39 lat. Pływa już ponad trzynaście. Po utraceniu dziewictwa na „Darze Pomorza" przeszedł wszystkie szczeble kariery — od starszego marynarza, poprzez asystenta pokładowego, III, II i I oficera do obecnego stopnia.

— Ale dosyć o mnie. Na pewno interesuje pana nasz statek. Otóż „Świeradów Zdrój", jak pozostałe statki tego typu — „Cieplice", „Busko", „Połczyn", „Rabka", zbudowany został w stoczniach rumuńskich. Pływa już dziesięć lat. Statek ma 86 m długości, pojemność brutto 1989 BRT, nośność 1920 ton. Tyle ładunku możemy zabrać wraz z zapasem paliwa, wody, żywności, bagażem i 28-osobową załogą plus sześciu pasażerów. „Świeradów" trzyma się jeszcze dobrze, niedługo jednak, jak inne siostrzane „Zdroje", powędruje do lamusa. To już przestarzały model, nie przystosowany do przewożenia kontenerów.

Kapitan wygląda przez bulaj.

— Zaraz weźmiemy pilota na pokład. Wpływamy do Kanału Kilońskiego. Siedem godzin w pięknym plenerze. Zapraszam na górny pokład.

Maszyna — stop. Pierwsza śluza. Potężne, szczelne wrota zamykają się za nami. Czekamy na swoją kolejkę, by ruszyć dalej. To nie tak, jak w dziecięcej piosence „Tysiąc koni przepuszczamy a jednego zatrzymamy". Każdy statek musi się zatrzymać, choćby miał nie wiem ile koni mechanicznych.

Po obu stronach Kanału malownicze widoki. Gigantyczne mosty, po których śmigają samochody. Wiszące promy przewożą z brzegu na brzeg ładunki i ludzi. Rafinerie. Luksusowe wille i... bunkry. Zamaskowane zazielenioną ziemią, ale można je dostrzec gołym okiem. Zieleń, zieleń, morze zieleni. Porządek wzorowy. Uparcie wypatruję dla wewnętrznego spokoju jakiegoś zdewastowanego parkanu, choćby złamanego drzewa, ostatecznie kupy nie uprzątniętych śmieci. Poczułbym się bardziej swojsko.

Druga śluza zatrzymuje nas po godz. 20.

— Teraz popłyniemy Łabą, a o północy — Morze Północne. Ma pan kalambur do swego reportażu — żegna mnie kapitan.

Wracam do kabiny posiliwszy się po drodze (kolację zjadłem kilka godzin temu). Lodówka w naszej mesie, tak jak obiecywał steward, pan Michał Caboń, dobrze zaopatrzona. Do jutra, ahoj!

TRZECI DZIEŃ, NIEDZIELA, 19 WRZEŚNIA

Na śniadanie tradycyjne parówki. W powszednie dni dostajemy jaja, jak kto lubi — na miękko, na twardo, smażone na boczku, na maśle, albo twaróg ze śmietaną, lub jeśli kto ma życzenie i apetyt — jedno i drugie.

Mgła jeszcze gęstsza niż pierwszego dnia. Kapitan nie schodzi ze swego mostka. Kiedy ten człowiek sypia? Morze Północne jak na razie spokojne, nic a nic nie huśta. Ale po kątach szepczą o zbliżającym się sztormie. Pocieszam siebie i współpasażerów: może morze nie będzie okrutne?

Trzeba wykorzystać okazję, póki panuje spokój popatrzeć jak pracuje serce statku. Jeszcze w Łodzi wpadłem na pomysł, żeby skonfrontować słowa przedwojennego tanga o statku i marynarzach z obecną rzeczywistością. Czy zmieniło się coś przez tych pięćdziesiąt z okładem lat? Piosenkę napisał osławiony Andrzej Włast, o którym gadka głosiła, że jest najbardziej pożądanym mężczyzną, bo panie zwracają się doń: Andrzeju W ł a ś c i e.

Na statku w dnie kotłowni.

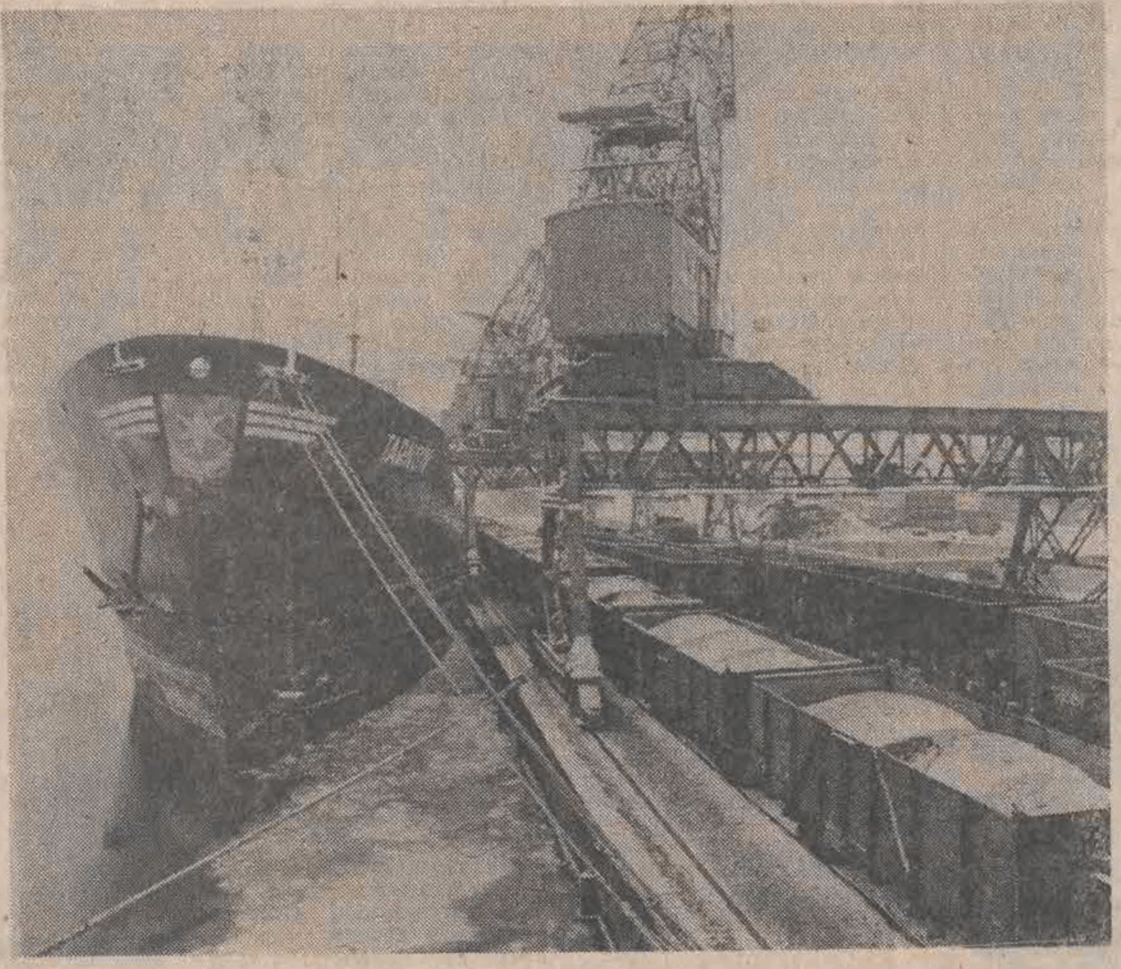

Załadunek węgla na m/s „Tarnów" w Porcie Szczecińskim. *Foto: CAF*

MÓJ DZIENNIK OKRĘTOWY 1

Na statku marynarze...

Tam, gdzie palacze są,
Na tle płonących głowni
Sylwetki czarne drżą,
Wulgarną nucą śpiewkę,
Miotają słowa krewkie,
I na portową dziewkę
Czekają wszyscy wraz...

Dno jest i to podwójne, ale tak malowniczo opisanej kotłowni — nie ma. Zamiast niej — siłownia. Czyściutko tu jak w laboratorium. Serce statku pracuje rytmicznie. Spalinowy silnik na ropę o mocy 250 KM napędza śrubę okrętową poprzez potężny wał oraz wytwarza energię elektryczną niezbędną do pracy wind manewrowych, ładunkowych i oświetlenia statku.

Kotłowni nie ma, natomiast są palacze. Jeden właśnie pali „Carmena", drugi zaciąga się dymem „Ekstra mocnego" z filtrem. Motorzysta nuci przebój big-beatowy. Zamiast na portową dziewkę wszyscy czekają aż się skończy wachta i zastąpią ich koledzy.

Na statku marynarze
Dziś wolną mają noc,
A w tym piekielnym żarze
Człek pada niby kloc.
Hej, chłopcy, ja wam radzę,
Zetrzyjcie z gęby sadze,
Bo wnet tu przyprowadzę
Tę co zabawi was.
Już na schodach widać jej nogi,
Mocne wino szykujcie i trzos...

Wolnej nocy dla wszystkich jednocześnie nie ma. Wtedy chyba też nie było, ktoś musiał podrzucać łopatą węgiel do kotła. Termometr wskazuje temperaturę pokojową, nikt nie pada jak kloc, sadzy na gębach nie stwierdziłem, bo i z czego? I dalej nic się nie zgadza, zwłaszcza z tym trzosem. Chudziutkie są mieszki marynarzy. Za każdy dzień w morzu dostają dodatek dewizowy w wysokości... jednego dolara i 65 centów. Tyle kosztuje filiżanka kawy w porcie. Wyżsi rangą mają nieco więcej, progresywnie do pełnionej funkcji, ale to wszystko za mało na jakieś szaleństwa. Tak więc życie zdezaktualizowało słowa szlagieru, który nasi pradziadkowie śpiewali przed pół wiekiem naszym prababciom.

Na obiad w niedzielę również uświęcony tradycją — drób. Tym razem kok upiekł rozpływające się w ustach kaczuszki. Jak tak dalej pójdzie, każde z nas „zarobi" po kilka kilogramów żywej wagi. Panie po zaspokojeniu pierwszego apetytu zaczynają już stosować dietę. Coraz rzadziej otwierają się drzwiczki naszej lodówki.

Uff... Sztorm nas nie złapał. Morze Północne poza nami. Na razie nic nam nie grozi. Płyniemy rzeką Maas, a rzeka jak rzeka — leniwie toczy swe fale.

Zbliżają się światła największego portu morskiego świata. Najpierw pojedyncze, potem grupowo, wreszcie orgia reklam neonowych. Punktualnie o 21.30 wpływamy do przystani Rijnhaven. Z lewej burty kolosalny dom towarowy „China". To będzie ów przysłowiowy piec, od którego złaknieni wrażeń rozpoczniemy jutro wędrówkę. Przed nami, w dali, most, pędzi po nim pociąg. Mimo deszczu, pierwszego w naszej podróży, wysypujemy się na pokład i rozglądamy z ciekawością. Deszcz przechodzi w szkwał, trzeba rejterować do mesy. Zasiadamy do kart. Kierki, potem brydż. Gramy bez pieniędzy i bez zainteresowania. Każdy snuje plany na jutro — pierwszy dzień pobytu w Rotterdamie.

CZWARTY DZIEŃ, PONIEDZIAŁEK, 20 WRZEŚNIA

Ósma rano. Czekamy, aż się zjawi „emigration" i sprawdzi nasze paszporty. Dopiero wtedy można zejść na ląd. Kiedyś, pamiętam, wypełniało się deklaracje celne, ile kto wiezie wódki i papierosów. Dzisiaj ochmistrz nie żąda tego, ale normy holenderskie pozostały bez zmian: po dwie butelki i po pięć paczek papierosów na osobę. Celnicy sprawdzają tylko czy magazyn ochmistrza jest zaplombowany, bo gdy statek stoi w porcie nie wolno niczego sprzedawać.

Kapitan ostrzega:

— Pojawiło się w obiegu dużo fałszywych banknotów 25-guldenowych. Falsyfikaty mają zamazany rysunek, niewyraźny znak wodny, różnią się kolorem od oryginalnych i kropki na nich są płaskie.

Jakie kropki? Okazuje się — co jest dla mnie nie lada ciekawostką — że wszystkie banknoty holenderskie, jako jedyne w świecie, mają u dołu z lewej strony wypukłe kropki, co znakomicie ułatwia orientację niewidomym. Za pomocą dotyku mogą oni odróżnić, jaki nominał trzymają w ręku. I tak banknot 100-guldenowy to jedna kropka, 25 guldenów — dwie, 10 — trzy, 5 guldenów — cztery kropki.

Wychodzimy całą grupą. Holenderski jest podobny do niemieckiego. Na ścianach magazynów napisy: „Verboden te roken" („Rauchen verboten"). Domki na wodzie. W każdym oknie obowiązkowo białe jak śnieg firaneczki. Doniczki z kwiatami. Pomysłowo urządzone przejścia żeby masa ludzka mogła się swobodnie przemieszczać. Przed nami statki, za nami statki. Wszystkich bander świata. Jest i nasz „Adam Asnyk", wrócił z Chin. Robota kipi aż miło. Jakiś masowiec załadowują z obydwu stron: od kei dźwig na szynach, od kanału — pływający dźwig transportuje do ładowni fracht z przycumowanej barki.

Na ulicy gwar polskich głosów. „Batory" przypłynął. Rodacy zasypują nas pytaniami. Sami jeszcze nic nie wiemy, dopiero co zeszliśmy ze statku.

Keja Rijnhaven położona jest niedaleko śródmieścia. Wsiadamy do tramwaju. Komunikacja, jak na nasze kieszenie, piekielnie droga. Bilet w obie strony, z oznaczoną godziną powrotu, 1.80 guldena, czyli dwie pary rajstop. Wagony motorowe bez korby, wszystko na przyciski. Wozy świetnie utrzymane, suną po szynach jak po lodzie. Zeszłego roku latem przez kilka dni mieszkańcy Rotterdamu jeździli bezpłatnie. Personel tramwajów i autobusów zastrajkował domagając się podwyżki płac. Strajk polegał na tym, że motorniczowie nie inkasowali należności za przejazdy, więc korzystający z miejskiej komunikacji nie byli poszkodowani.

Nie będę się rozwodził nad opisywaniem miasta, jego zabytków. Reportaż by się zamienił w książkę, a ja już jedną piszę i nie mogę jej skończyć. Zresztą z licznych godnych zwiedzenia zabytków zaliczyłem właściwie tylko jeden — kościół gotycki Lawrenskerk z XV w. Ale o domach muszę wspomnieć. O tych dawnych, liczących po kilkaset lat, podobnych do warszawskich kamieniczek na Starówce. Domy są bez bram i bez podwórz. Do klatki schodowej wchodzi się drzwiami. Klatki są wąskie, o wniesieniu tędy większych mebli nie ma mowy. Zagadkę jak się urządzają lokatorzy wyjaśniają wmontowane nad oknami haki. Tą drogą, z pomocą lin i dźwigni, wędrują do mieszkań kanapy, pianina, kredensy.

Przed każdym domem, wzdłuż trotuarów, leżą pełne śmieci worki plastikowe. Lokatorzy sami je wynoszą codziennie rano na ulicę, a przejeżdżające ciężarówki w trymiga wszystko zabierają.

Dobrobyt widać na każdym kroku. Pracowici Holendrzy szybko odbudowali Rotterdam ze zniszczeń, jakim miasto uległo w 1940 r. w czasie nalotu bombowców niemieckich. Potem uporano się z klęską żywiołową. Woda zalała całe połacie kraju położone poniżej poziomu morza. Zbudowano ochronny system wałów, tam i śluz, po dziś dzień trwa walka z przyrodą.

Towarzystwo rozeszło się po sklepach. Mnie na razie zakupy nie interesują. Chociaż jest na co popatrzeć. Zwłaszcza w sklepach spożywczych. Ale obiecałem sobie nic o zaopatrzeniu nie pisać, żeby nie psuć krwi czytelnikom.

Cóż to za trójkąty w oknach? I w tym domu i w tamtym, na parterze, na piętrach... Zaczepiam starszego wiekiem przechodnia. Zna niemiecki.

— W tej dzielnicy mieszka dużo niepełnosprawnych ludzi. Inwalidzi, starcy. Specjalne komitety roztaczają nad nimi opiekę. Ale i przechodnie na widok takiego wystawionego znaku śpieszą z pomocą do lokatora. Kupują mu mleko czy inne produkty żywnościowe. Kartki z dyspozycją i pieniądze leżą na wierzchu.

Jakie to piękne. Jakie praktyczne i — jakie ludzkie! Gdyby tak i u nas...

Wsiadamy do tramwaju (określona godzina powrotu kończy się), wracamy na statek. Przy obiedzie wymiana doświadczeń. Co, gdzie, za ile. Pani doktor kupiła dla swej ulubienicy „Bolfo band" voor honden — przesyconą chemikaliami obrożę. Już za kilka godzin, jak zapewniono w sklepie, pies nie będzie się czochrał. Obroża produkcji znanej szwajcarskiej firmy farmaceutycznej Bayer kosztuje osiem guldenów tj. około trzech dolarów. Ale wydatek się opłacił. Hera przestaje się drapać, z wdzięcznością spogląda na swą panią, a ja wyraźnie czuję, że coś po mnie skacze. Inni pasażerowie też niespokojnie wiercą się w fotelach.

Godzina 16. Przeholowują nas na keję Vallhaven, gdzie zazwyczaj cumują nasze statki. Stąd dalej do śródmieścia, ale blisko do tanich sklepów. To strefa bezcłowa. Nic z zakupionych tu rzeczy nie może przedostać się do miasta, tak przynajmniej stanowią przepisy. Właściciele sklepów otrzymują od władz fiskalnych specjalne rabaty, dzięki czemu mogą sprzedawać o wiele taniej niż ich konkurenci ze śródmieścia. Nabyty towar kupcy własnym transportem dostarczają na statki na godzinę przed odpłynięciem.

Po kolacji oglądam telewizję, gawędzę z marynarzami. Chcę zadzwonić do Łodzi. Dowiaduję się od „radiego", że taka przyjemność kosztuje pięćset złotych. Gdy statek stoi w porcie nie można telefonować, dopiero gdy popłyniemy.

Do snu układam się prawie o północy. Nie mogę zasnąć. Wiercę się, kręcę, schodzę z koi i biorę prysznic. Może to nerwy, a może rzeczywiście „Bolfo band" tak piorunująco zadziałało?

(Druga część reportażu pt. „Afterpik i ulica maminków" — w numerze następnym)

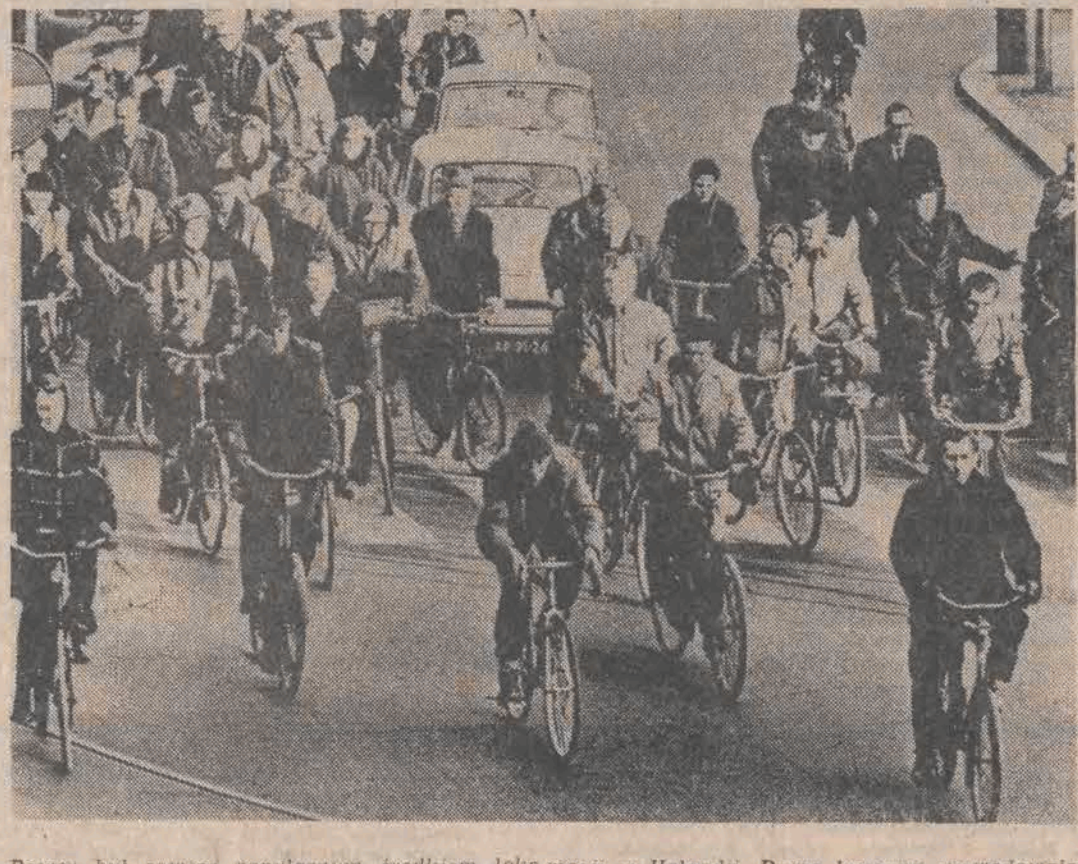

Rower był zawsze popularnym środkiem lokomocji w Holandii. Droga benzyna spowodowała jego renesans. *Foto: ANP*

ADAM OCHOCKI